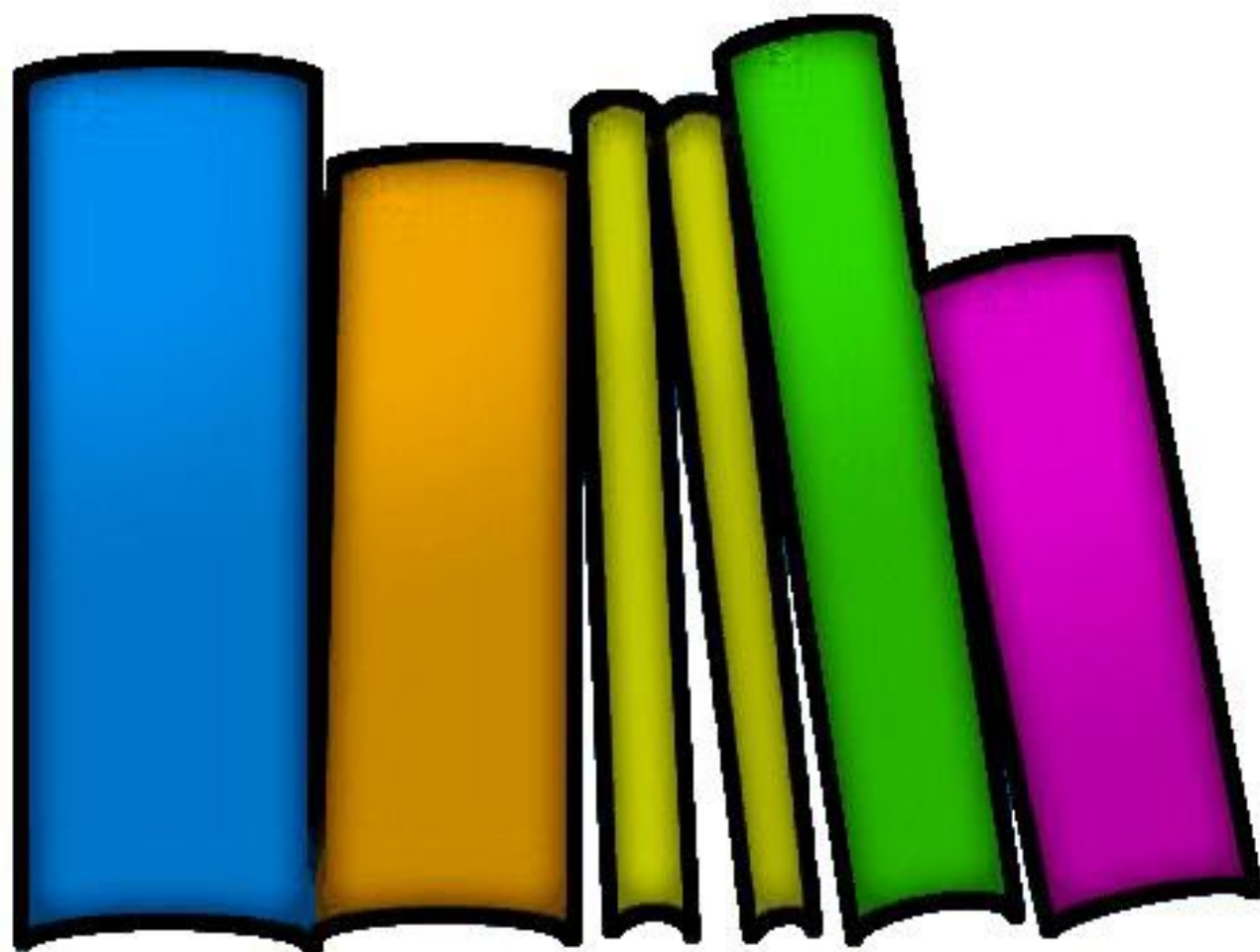


Za krola, Ojczyznie i garsc zlota

Brzezinska Anna



[calibre 0.6.53]

ANNA BRZEZIŃSKA GRZEGORZ WIŚNIEWSKI

ZA KRÓLA, OJCZYZNĘ I GARŚĆ ZŁOTA

Wielka wojna

tom 1



Agencja Wydawnicza

RUNA



ZA KRÓLA, OJCZYZNĘ I GARŚĆ ZŁOTA

Copyright © by Anna Brzezińska, Grzegorz Wiśniewski, Warszawa 2007

Copyright © for the cover and interior illustration by Jakub Jabłoński

Copyright © 2007 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2007

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Projekt okładki: Jakub Jabłoński

Opracowanie graficzne okładki: Studio Libro

Redakcja: Jadwiga Piller

Korekta: Renata Lewandowska, Urszula Okrzeja

Skład: Studio Libro

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o.

ul. Zabłocie 43, 30-701 Kraków

Wydanie I

Warszawa 2007

ISBN: 978-83-89595-36-2

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulec sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 408

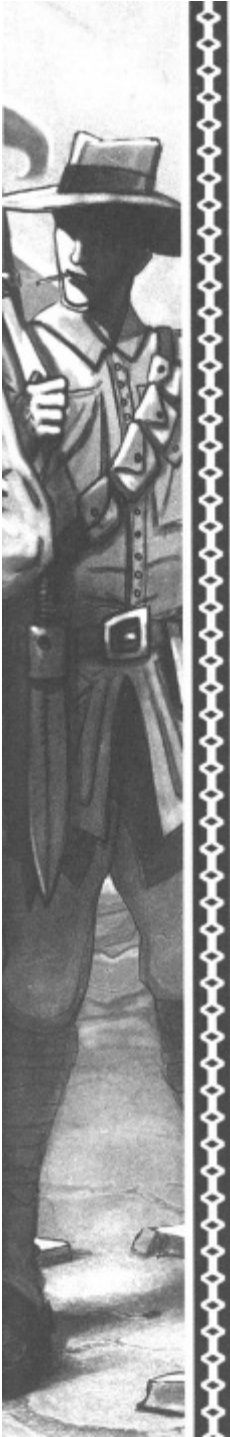
tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową:

www.runa.pl

ROZDZIAŁ PIERWSZY



To Kurczak przyniósł gadkę o złocie.

Zawsze się tak zdarzało, od lat. Znikał niespodziewanie, kręcił się, gdzie go nikt nie prosił, a potem wracał, zwykle z jakimś problemem. Raz przyniósł na dłoni żywego funnelweba, żeby dowiedzieć się, co to takiego. Pająk nie odważył się go ugryźć, pewnie wyczał, że tylko sprowadzi

na siebie jeszcze więcej kłopotów. Ojciec złożył wtedy Kurczakowi skórę i na jakiś czas był spokojny.

Tym razem nie dałoby się znaleźć chętnego do odwalenia tej ręcznej roboty: od ostatniego lania Kurczak przybył dobre dziesięć cali w barach. Zresztą drzemaliśmy akurat spokojnie na poboczu, w cieniu rozłożystego drzewa, odpoczywając po forsownym marszu. Przywołanie młodego do porządku wymagałoby podniesienia gnatów i wykonania niewdzięcznej, nierokującej efektów pracy wychowawczej. A po całodziennym wysiłku wszyscy byliśmy zbyt skonani. Nie wiem, jak innych, ale mnie bardziej bolały ramiona niż nogi. Kwatermistrz zapobiegliwie napchał nam zasobniki amunicją i żarciem, chociaż jak dotąd nie udało się nam skorzystać z jednego czy drugiego. Jerry po prostu wiali nieco za szybko i trudno było ich dogonić, żeby wywalić w nich choć część dźwiganego ołowiu, a potem w nagrodę przemieścić nieco żarcia z zasobników w miejsce lepiej się do tego nadające. A ja w dodatku targałem jeszcze kleifa.

Siedzieliśmy zatem spokojnie, jak Pan Bóg i sierżant przykazali, wietrząc nogi i skarpety, gdy nagle zjawił się zaaferowany Kurczak. Z tajemniczym wyrazem twarzy przykucnął obok brata i zaczął się rozglądać czujnie, jakby ktoś miał mu zniecka wskoczyć na plecy.

- Chodźcie no bliżej - powiedział cicho.

- Już dzisiaj chodziliśmy. - Przygięty Mick ziewnął ostentacyjnie. - Mnie starczy.

- Właśnie - włączył się Wielki Bill, oparty o pień (choć drzewa rosły tu jakieś rachityczne i moim zdaniem wyglądało to raczej, jakby pień opierał się o Wielkiego Billa). - Skoro ci zależy, sam przyleż.

Kurczak cierpliwy nie był, każdy to wiedział. Wsunął się głębiej w nieforemny krąg, jaki tworzyła nasza garstka.

- Zobaczcie, co znalazłem.

Pozostali ledwie raczyli przechylić głowy i zerknąć, unosząc nieco runda płaskich hełmów i przysłaniając oczy od słońca. Tylko ja wstałem przyjrzeć się bliżej: ostatecznie pokrewieństwo zobowiązuje, zresztą wobec braku zainteresowania Kurczak stawał się jeszcze bardziej namolny. W dłoni trzymał odłupany fragment sosnowej deski, niesezonowanej i porządnie nasyczonej żywicą - pali się takie coś aromatycznie i jasnym płomieniem. Na gładkiej powierzchni rysował się ślad stempla, świeżego i nieco rozlanego. Czarny ptak tych, jak ich nazywaliśmy, Boszów i jakiś napis wokół.

- No i co? - burknąłem.

- Te litery tutaj, widzicie? - entuzjazmował się dalej młody. - *Korps Intendant und Zahlmeister*. Rozumiecie, co znaczą?

Złośliwiec, wiedział, że nie mamy pojęcia. W naszej okolicy farmerskich synów z rzadka uczono czytać. Zresztą mój tatuniek był przeciwny takim nowomodnym fanaberiom i nie posłał mnie

do szkoły, tylko sam wyuczył liter na naszej Biblii - akuratnie tyle, żebym mógł wyczytać podpisy pod obrazkami w „The Bulletin”. W dodatku Kurczak jako jedyny wśród nas liznął tumskiej mowy i potrafił zaszwargotać po ichniemu. Prawdę mówiąc, mnie nigdy nie przyszło do głowy mieć mu tego za złe, chociaż w kompanii, a zwłaszcza wśród świeżych uzupełnień, trafiali się tacy, co z tego powodu krzywo na niego patrzyli - oczywiście tylko do chwili, kiedy z kolei na nich popatrzył Wielki Bill, bo potem to już woleli patrzeć w inną stronę. A Kurczak czasami okazywał się pożyteczny. Widzicie, w okopie u Boszów łatwiej znaleźć schowanego kirscha, gdy wie się, jak o niego zapytać wziętych do niewoli. Samym bagnetem się tak dobrze nie przepyta.

- A czy to koniecznie musi być nasz problem? - Dan Lloyd leżał płasko na podeptanej trawie, desperacko próbując odpoczywać. - Obiecałem twojemu ojcu, że będę na ciebie uważał, a nie łąził za tobą wszędzie, gdzie cię wiatr poniesie.

- To taki Andrew Fisher w armii Jerrych.

- Kto? - zdziwił się Przygięty Mick.

- Twój minister skarbu, matole. - Kurczak się zdenerwował. - Ten, co wieczorami liczy w piwnicy pliki funtów, czy mu się zgadzają. Albo złoto.

Nie wiem jak innym, ale mnie się wydało, że w okolicy zrobiło się jakoś ciszej. Nawet ptaki jakby zamilkły w tej pazernej krainie na drugim końcu świata. Trudno zresztą mieć pretensje do zwierzaków, skoro tutaj dziewczyny za datek w brzęczącej monecie zmieniały się w zwierzątka.

Lloyd usiadł, Wielki Bill oderwał plecy od drzewa.

- Złoto. - Przygięty Mick wymówił to jak niemowlak pierwszy raz wołający „Mama!”.

Posłałem Kurczakowi karcące spojrzenie. Pewnych słów po prostu nie należało wypowiadać, a w każdym razie nie w obecności Micka, który od lat miał za złe całemu światu, że w przeciwieństwie do Billa nie załapał się na wielką gorączkę złota w Croydon. Oczywiście zdążył już zapomnieć, że czas najlepszych interesów przeleżał na zadku na farmie po tym, jak sobie naciągnął grzbiet, kiedy próbował podnieść Ayers Rock, żeby odgonić kruki od zdechłej krowy. Cóż, w niektórych sprawach chłopaki ze Speewah miały krótką pamięć. Za to, niestety, przy innych wybystrzali się tak szybko, jak dingo, kiedy zwietrzą padlinę.

Myszak wstał i nachylił nad młodszym bratem swoje sześć stóp i osiem cali.

- Gdzie to znalazłeś, Kurczak?

Kurczak natychmiast się najeżył. Odkąd odrósł od ziemi, robił wszystko, żeby zatrzeć ślad po swoim dziecięcym przezwisku. Na początek wyniósł się z farmy - na kradzionym koniu Wuja Chucka, jak mu z lubością wypominał Myszak, dodając przy tym, że braciszek nadal żyje, bo po omacku buchnął najgorszą chabetę, czym tak ubawił starowinę, że ten litościwie mu odpuścił. Potem młody

włóczył się po całym kraju, jakby mu kto soli na ogon nasypał. Byle dalej od domu. Najmował się do pędzenia bydła, strzygł owce w miejscach, które nawet nie mają nazwy, szukał złoza Lassetera i wałęsał się bez celu, zwykle jako przewodnik jakichś frajerów, którzy nie wiedząc czemu postanowili sprawdzić, czy w samym środku pustyni jest równie gorąco jak na skraju. Gdzieś w międzyczasie pokumał się z chłopakami ze Speewah, co akurat okazało się jednym z bardziej fortunnych pomysłów, bo ledwo ciepłego wytropili go na Pustyni Gibsona, po tym jak mu uciekł wielbłąd. W każdym razie trzeba przyznać, że jak na takiego młodziaka naprawdę nieźle się już po świecie naobijał. Ale co z tego, skoro zawsze prędzej czy później trafiał się ktoś znajomy, kto przysiadł się do niego z nieszczęsnym „Co słyhać, Kurczak!”.

- Masz ochotę oberwać? - wycedził Kurczak przez zęby.

Nie chciało mi się nawet wzruszyć ramionami: chłopaki McAndrews były przewidywalne do bólu. Pierwszy raz wzięły się za łby w obozie szkoleniowym, tuż za bramą, a potem poszło już z górki - tłukły się pod Gallipoli, na Synaju, pod Pozieres i nad Sommą. Aż dziw, że nikt ich podczas tych wszystkich naporzanek nie zastrzelił. Ale Kurczaka i Myszaka tak pochłaniała ich własna wojna, ze zmiennymi kolejami losu trwająca od czasów, kiedy okładali się łyżkami do kaszki, że chwilami zapominali zupełnie o tej wielkiej awanturze, która toczyła się wszędzie wokół, aż wreszcie i ona położyła na nich krzyżyk. Co tu kryć, w całej kompanii nie było większych szczęściarzy niż szczeniaki McAndrews. Poniekąd dlatego uznałem, że warto się ich trzymać: pewnego dnia to szczęście, dotąd łaszące się do nich jak zbłąkany pies, wreszcie się odwróci, a wówczas ja będę tuż obok, gotów je serdecznie przygarnąć.

- Potem się ponaparzacie - osadził ich Wielki Bill. - Teraz o złocie.

Kurczak machnął ręką za siebie, nadąsany jak dziecko. Fakt, popsuto mu zabawę.

- Pewnie nie zwróciliście uwagi. Kawalek za nami z drogi odchodzi w bok przesieka, prosto w ten rzadki zagajnik po lewej. Ktoś niedawno się tam bardzo spieszył. Ciężki wóz z obsadą, ciągnięty przez wiele koni, i mała grupa piechoty. Sądząc po śladach butów - Bosze.

- No i? - ponaglił z rozczarowaniem Wielki Bill.

- Podskoczyli na wybojach i część z tego co wieźli spadła na ziemię. Szybko po sobie posprzątali, ale niestaránnie. Co mogli, wrzucili w najbliższą kępę krzaków. Mnóstwo tam takich resztek jak ta deseczka. Co oznacza mnóstwo skrzynek. I mnóstwo zawartości.

- Może nie zdążyli daleko odjechać - ożywił się Mick.

Wymieniliśmy spojrzenia.

- Dobra, idziemy sprawdzić - uznał Lloyd. - A nuż coś ci się pomyliło.

No to poszliśmy.

Sierżant od dawna miał na nas oko, nawet bardziej niż na innych. Tyle że miastowy był, od dziecka mieszkał w Melbourne, a z takimi przywykliśmy dawać sobie radę. My, chłopaki z buszu, bez najmniejszych trudności potrafiliśmy mu zniknąć sprzed samego nosa. Niestety, nasza kompania składała się nie tylko z sierżanta. Dwustu jardów nie zdążyliśmy przejść zagajnikiem, co się ciągnął w bok od drogi, gdy z tyłu doścignęło nas sapanie i tupot wielkich stóp. Gdy się zbliżyło, Przygięty Mick na ochotnika wyskoczył z krzaków.

- Dokąd?! Gdzie cię niesie, Marvin? Pluton zgubiłeś?

Ktoś tam trojga imion Marvin, z trzeciego plutonu. Świeże uzupełnienie, jednak podobno nie z aresztu. Cwaniakowaty grubas rodem z jakiejś dziury na wschodzie. Mało mówił, za to dobrze słuchał. Spotkałem go może ze dwa razy, ale co nieco mi jeden kapral przy piwie opowiadał. Wyrzalem na ścieżkę. Marvin stał lekko przechylony i sapał z wysiłku. Na plecach niósł spiętrzone toboły, które wydawały się większe od niego.

Przed nim Przygięty Mick wypręzał się w wyzywającej pozie, z uniesionym enfieldem.

- Wiem, po co idziecie - wystękał zniecka Marvin, bez skrępowania patrząc za plecy Micka. Musiał widzieć wcześniej, jak maszerowaliśmy. - I też chcę.

- Doprawdy? Sierżant posłał cię z nami po furaz? Oddech Marvina uspokajał się powoli.

- W siódemkę i tak nie udźwigniecie wszystkich skrzynek - zauważył spokojnie.

- Wozu nie trzeba nieść - odpowiedział z prostoduszną błyskotliwością Przygięty Mick.

Nie było sensu się dłużej ukrywać. Zbliżyliśmy się półkolem do Marvina, niespiesznie i bez słowa. Zwykle to odstraszało intruzów, ale ten jakoś się nie spieszył.

- Nie potrzebujemy pomocy - oznajmił Myszak. - Od nikogo.

- Lepiej wracaj do reszty. - Wielki Bill wskazał drogę powrotną. - Zanim napytasz sobie biedy na darmo.

- Sami sobie poradzimy - dodał Kurczak. Wtedy Marvin zaczął się śmiać. Donośnie i głęboko, trzymając się za trzęsący brzuch.

- Gdzie niby? - machnął tam, gdzie prowadził nas Snowy. - Z tamtej strony?

Nie udawał, szczerze zrywał z nas boki. Doprawdy, trudno było się nie zmieszać, bośmy wszyscy jak jeden słuchali już podobnego rechotu. Stary McElroy z sąsiedniej farmy śmiał się tak

samo, gdy się przyznaliśmy, że nasze bydło zeszło do wodopoju zwanego Rozlewiskiem Krokodyli. Do tamtej chwili myśmy go pod tą nazwą nie znali.

- Ale tam jest linia frontu. - Marvin zdołał się wreszcie uspokoić. - Chmary Boszów tam siedzą w okopach.

Popatrzyliśmy po sobie.

- Nie, front jest tam. - Myszak odwrócił głowę na wschód. - W tamtą stronę cały dzień gnaliśmy z wywieszonymi ozorami.

- Było słuchać, co wyższe szarże mamrolą. - Grubas uśmiechnął się protekcyjnie. - Idzie na nas kontratak ze skrzydeł. Bosze chcą ocalić St. Quentin. My jesteśmy w ruchu, oni też są. Jeżeli włamali się w nasze linie, mogą być niedaleko.

Milczeliśmy, jakby od niechcienia nasłuchując artylerii. Biła miarowo, z taką siłą, jak zwykle. A może nieco szybciej, bardziej zajadle? Snowy parsknął pogardliwie, potem rzucił po swojemu długą wiązaną. Cóż, łatwo być twardzielem, gdy się ma taką skórę, jak on. Wystarczy, że się ściemni i człowiek jest bezpieczny.

- A ty niby możesz nam pomóc? - zapytał w końcu Kurczak z wyraźnym powątpiewaniem.

Marvin płynnym - jak na grubasa - ruchem przesunął do przodu jeden toból z pleców, po czym poluźnił sznurowanie na brezencie. Wynurzyła się lufa lewisa w grubej otulinie chłodnicy.

- Oto mój erkaem i trzy jednostki ognia. Ja się Boszów nie boję, ale oni będą się bać mnie. Macie zatem moją odwagę i ochotę. Że macie moją lojalność i obietnicę dochowania tajemnicy, rozumie się samo przez się.

No i odtąd było nas ośmiu.

Snowy prowadził nas jak po sznurku. Nie szliśmy dokładnie po śladach, trzymaliśmy się trochę z boku, żeby nie wyleźć na przesiekę, którą tamci jechali. Musieli ciągnąć całe mnóstwo złota, bo na niektórych bardziej piaszczystych odcinkach koła zapadały się naprawdę głęboko. Zagajnik najpierw przeszedł w lasek, potem w las, więc nie było już tak łatwo. Wóz i jego obstawa musieli przedzierać się nieco na oślep i w dużym pośpiechu, bo zostawiali takie ślady, że nawet niewidomy by po nich trafił. Ale nie tracili czasu i przemierzili w tak trudnym terenie całkiem sporą odległość. Nie zanosilo się, żebyśmy szybko wrócili do swoich.

Dawno zapomniałem o odpoczynku, za to odezwał się wierny towarzysz marszu - ból nóg i pleców. Maszynka zaczęła mi porządnie ciążyć.

Dlaczego ją taszczyłem, zapytacie? Dobre siedemdziesiąt funtów metalowego baniaka z grubym gumowym węzłem i długą rurą, zakończoną iskrownikiem? Bo doceniałem, co można z niej w razie potrzeby wykrzesać.

Zobaczyłem ją pierwszy raz dawno, pod taką śmieszną miejsciną zwaną Pozieres. Jerry strasznie zależało, żeby nas stamtąd wypchnąć, i po prostu wychodzili ze skóry, jak by tu tego dokonać. Odrzucaliśmy ich wielokrotnie, chociaż walili w nas ze wszystkich dział, jakie tylko mieli pod ręką. No i właśnie gdy przyszli ostatnio, jak zwykle luźną szybką tyralierą, najeżoną bagnietami, wraz z nimi parli do przodu ludzie, którym z rąk pluły płomienie.

Powiadam wam, przykre doświadczenie. Widziałem wielu chłopaków, którzy wcześniej przed niczym się nie zawahali, a na widok ognia idącego prosto na nich wiali daleko na tyły, za nic mając wrzaski i webleye oficerów. Dla mnie jednak to była czysta groza i piękno w jednym, niesione na czele szyku Jerrych jak sztandar do bitwy. Kuciałem tam bez ruchu, wychylony w przysiadzie z leja, i nie odrywałem oczu od tych najbliższych Boszów, obserwując, jak go używają. Szli parami, ułatwiając sobie zadanie. Jeden niósł bańkę z paliwem, drugi rurę z urządzeniem zapłonowym. Ten ze zbiornikiem miał łatwiej, bo zwyczajnie człapał, jego kolega zaś zataczał łuki końcówką miotacza i ział na prawo i lewo, jak tylko dostrzegł cokolwiek wartego przysmażenia. Długo to nie trwało, bo w końcu seria lewisa rozwalila zbiornik na plecach Bosza i obu spowila jaskrawa chmura płomieni, jak dżin z bajkowych opowieści, jak żywioł uwolniony po kilkunastodniowej kwarantannie. Oniemiałem z wrażenia. Poprosiłem nawet Kurczaka, żeby wypytał jeńców.

Nazywali to *kleif*. *Kleinflammenwerfer*.

Drugi raz zobaczyłem go niedawno, gdy w trakcie ataku wpadliśmy do umocnień solidnie potrzaskanych przez artylerię. Jerry wiedzieli, że nie mają szans, więc wiali jak króliki, śmigając wzdłuż okopów jeden za drugim. Zobaczyłem dwóch, co taszczyli maszynkę, i zaraz ich profilaktycznie dopadłem. Jednego zastrzeliłem, a drugiego zadźgałem bagnietem, zanim cokolwiek zdążyli zrobić. Wiecie, w zamieszaniu bałem się, że jak ich ktoś inny zauważy, rzuci millsem i figę będę miał, nie kleifa.

Sporo mnie kosztowało przekonanie sierżanta, żeby przymknął oko. Łebski był z niego gość, bo jednak wolał faktycznie mieć miotacz płomieni obok siebie, a nie tylko potencjalnie naprzeciw. No i teraz oprócz zwykłego oporządzenia dźwigałem jeszcze i maszynkę, pocąc się obficie w sierpniowym słońcu. I chociaż ciężki był z niej skurczybyk, za nic bym się jej nie pozbył. Potrafiłem docenić możliwości, jakie oferowała. Koniec męki z pakułami, smołą, benzyną. Wystarczy pilnować czystości iskrownika i wedle życzenia można przywołać ogień. Nieco przyciemniony, wielokolorowy

jak mozaika. I bezsprzecznie mój własny.

Chłopaki wprawdzie krzywili nosy, bo zalatywało od kleifa dziegiem, ale kto by tam się nimi poważnie przejmował?

Zmierzch zaczął już na dobre zapadać, gdy Snowy, dotąd maszerujący równym tempem, nagle zwolnił i zatrzymał się, dając znak, że widzi niebezpieczeństwo. Ledwo żywi ze zmęczenia opadliśmy na brzuchy i podczołgaliśmy się do niego. Czarny kulił się w kępie krzaków, tuż na skraju lasu, który zniecka się skończył. W półmroku gestem nakazał ciszę, a my przekazaliśmy to dotykiem jeden drugiemu w zdrowej okopowej praktyce. Nie musieliśmy długo czekać na wyjaśnienia. Gdy nad głowami pękła nam przygodna flara, wydobyła z ciemności cienką linię świeżo przygotowanych okopów po drugiej stronie opadającej w dół łąki. Niby dobre kilkaset jardów od nas, ale nie należało lekceważyć tego odkrycia. Bosze, gdy się ich zniecka i po ciemku zdenerwowało, strzelali wprawdzie bardziej na oślep, ale jednak strzelali.

Cofnęliśmy się głębiej w las, a przy tej okazji Kurczak znowu gdzieś zniknął. Skoro tylko wyszło to na jaw, Wielki Bill chciał iść go szukać albo chociaż dać komuś w mordę. Uspokoił się trochę dopiero, gdy Snowy ruszył w mrok w ślad za Kurczakiem.

- Jest nas ośmiu - odezwał się Przygięty Mick tonem, jakim zwykle próbował powiedzieć coś mądrego.

- Jeżeli każdy z nas załatwi czterdziestu Jerrych, nie powinno być dalej problemu.

- Będzie siedmiu i pół. - Lloyd zgrzytnął zębami.

- Myszak, gdy twój brat znów się pojawi, mam zamiar mu coś złamać. Jak pamiętam z domu, nawet najszybszy kangur z przetraconą nogą jest łatwiejszy do upilnowania.

Starszy McAndrews natychmiast się naburmuszył.

- Tknij tylko młodego, a powiem matce, jak wrócimy.

Uśmiechnąłem się pod wąsem. Kiedy jeszcze plątaliśmy się pospołu po farmie, a Kurczak wyprostowany przechodził swobodnie pod końskim brzuchem, Myszak zasłynął wśród rówieśników tekstem „To mój braciszek i tylko ja go biję!”. Paru niedowiarków szybko się przekonało - niekiedy obmacując obluzowane zęby - że bynajmniej nie żartował.

- Może go chociaż zwiążę? - zakpił Lloyd.

- Nogi se zwiąż. Zaraz wrócą, zobaczysz.

- No, Snowy na pewno - wtrąciłem.

- Czemu? - zainteresował się Marvin, który dopiero zaczynał poznawać naszą kompanię.

Wielki Bill wzruszył ramionami.

- On zawsze wraca. Czarni mówią o takich, że znają ścieżki. Te właściwe, znaczy.

- Szczeniaka trzeba trzymać krótko. - Lloyd nie przestawał się zżymać. - A Snowy nie mógłby

nauczyć i mnie tych ścieżek? Łaski w końcu nie robi. Jest traktowany jak człowiek.

- Może go poproś - podrzuciłem złośliwie. - On się ostatnio tak rzadko śmieje.

Wtedy pokazali się Kurczak i Snowy.

- Mam! Mam! - zanucił tryumfalnie młodszy McAndrews. - Znalazłem!

W dłoni trzymał jakiś przedmiot, kanciasty i błyszczący. Podtykał nam go po kolei pod nos.

- Coś im się musiało stać - paplał z przejęciem. - Widzieliśmy drzazgi po następnych skrzynkach i trzy zabite konie zaprzęgowe. Ktoś ich chyba zniecka ostrzelał, i to chyba swoi.

- A sztabka? Też tam była? - Przygięty Mick, mimo zmęczenia, wyraźnie tryskał entuzjazmem.

- Zagrzebana w piachu, pewnie przeoczyli.

- Zabite konie? - odezwał się Lloyd. - A mieli zapasowe? Wątpię, sądząc po pośpiechu, w jakim wiali. Nawet jeśli im jakieś konie ocalały, dalej musieli wóz ciągnąć ręcznie. Daleko nie uciekli.

- No właśnie! - gorączkował się Kurczak. - Bardzo niedaleko.

- Dobra, a w którą stronę go pociągnęli?

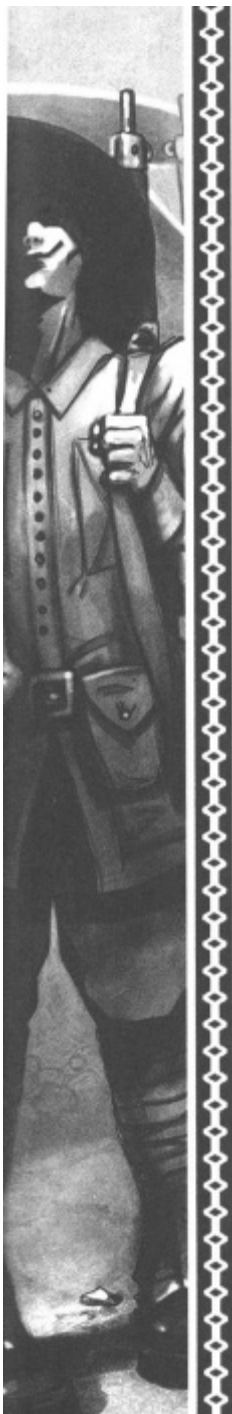
Chociaż Kurczak wręcz jaśniał zapalem jak małe słońeczko, teraz ciut za długo milczał. Ten moment ciszy jakoś w ogóle mi się nie spodobał.

- No, prosto.

- Gdzie prosto?

- Z zagajnika przez łączkę. W te okopy.

ROZDZIAŁ DRUGI



Sam nie wiem, jak to się stało. Lloyd, który nawet na wypadzie strasznie się wczuwał w rolę kaprała, kazał mi pilnować siedzącego na czujce Kurczaka. Długo nic się nie działo. Bosze zachowywali się cicho, a młodszy McAndrews sprawiał wrażenie żywotnie zainteresowanego naszym zadaniem i upewnianiem się, że nie zgubił sztabki złota, schowanej za pasem - co dwie

minuty macał ją i głaskał z czułością - przymknąłem więc na króciutki moment powieki. Wtedy poczułem szturchnięcie lufą i natychmiast się ocknąłem, zeszywniały i zziębnięty. Nie minęło wiele czasu, bo księżyc w pełni chyba dopiero co się pojawił. Nie widziałem go jednak wyraźnie. Pół nieba przesłaniał mi wnerwiony Lloyd.

- Następnym razem, jak cię będę musiał budzić, założę bagnet - wycedził półszeptem, zanim sobie poszedł.

Przetarłem oczy. Wszyscy byli już na nogach czy też raczej na tyłkach. Siedzieli wzdłuż pnia powalonego drzewa, odpędzając resztki snu. Przygięty Mick coś tam sobie przegryzał, tak samo Marvin. Wielki Bill trzymał w dłoni manierkę i nie wydawał się zadowolony. Obok niego Kurczak i Myszak ostrożnie wyglądali gdzieś w dal, w kierunku skraju lasu. Brakowało Snowy'ego, więc pewnie na niego czekali.

Jeszcze raz przetarłem oczy, potrząsnąłem głową i poczłapałem do reszty, ciągnąc za sobą graty. Nisko nad ziemią i właściwie wszędzie wokół wisiała mgła. Nie za gęsta, bo na paręnaście jardów było coś widać, ale niewiele dalej. W naszej sytuacji - szczęśliwe zrządzenie losu, Bosze nas łatwo nie zauważą, a usłyszeć ich z daleka jak zwykle da się bez trudu.

- Może rozpalimy ogień? Taki malutki? - zaproponowałem, upijając z manierki. - Zjemy coś ciepłego...

Lloyd parsknął, Mick ziewnął. Tylko Myszak popatrzył na mnie tęsknie.

- W domu, takich jak ty wieszają na gałęzi - wymamrotał Marvin, któremu wydawało się chyba że coś zrozumiał. - Ale po co szukać tak daleko, dla zapobiegania podpaleniom każdy porucznik ma rewolwer.

Zawsze się robili tacy nerwowi, kiedy wspomniałem o ogniu. A przecież, przysięgam wam, przyjaciele i sąsiedzi, ten skład kwatermistrzowski w Meaulte sfajczył się od niedopałka. Pewnie jakiś nedorajda nachlał się kradzionego i przysnął z petem. Ale oczywiście wszyscy i tak się mnie czepiali.

- Przecież nie mówię, żeby z ciebie od razu sadło wytopić - odciąłem się.

Grubas popatrzył na mnie ostro.

- Do końca życia nie zgadnę, jak to się stało, że pozwolili ci zatrzymać maszynkę. To chore.

Kurczak syknął na nas:

- Snowy wraca.

Czarny najpierw tylko się nam pokazał, ostrożnie i bez większego wychylania. Gdy zbliżasz się do grupy uzbrojonych ludzi, choćbyś był po tej samej stronie, co oni, lepiej ich zawczasu uprzedzić. Tak na wszelki wypadek, jeżeli akurat nie chcesz zginąć głupio i przypadkowo. Kurczak też dał znak i wkrótce Snowy siedział z nami, oparty o pień.

- Jest droga. Ja znaleźć - rzucił z tym swoim silnym akcentem.

Czasami mówił tak, że nie szło go zrozumieć. A nie rozumieć go było zwykle bardzo ryzykowne.

- Bosze?

Snowy napił się z manierki i potrząsnął głową.

- Możliwe obejść, ale... - urwał.

- Ale co?

Czarny milczał przez moment.

- Nigdy nie widzieć taka droga.

- Jesteś pewien, że jest właściwa?

- Właściwa.

Lloyd spojrzał tam, gdzie ciągnęły się linie Jerrych.

- Kiedy ruszamy? Teraz? Czekamy do świtu?

Ziewnąłem. To nie brzmiało źle, tak sobie zaczekać do rana.

- Iść teraz. Potem droga nie.

Przygięty Mick przerwał pracowite kruszenie suchara i zerknął na czarnego z niechęcią. Mnie również raczej się nie spodobała perspektywa natychmiastowego wstawania. Maszerować tempem jak wczoraj następny taki kawał i na dodatek o pustym żołądku? I jeszcze z maszynką? Kto by się do tego rwał? Tylko co zrobić, skoro Lloyd już się podniósł, a Kurczak jak sprężyna wystrzelił zaraz za nim.

Koniec dyskusji, a ten, co się ruszy ostatni, znaczy się, jest lebiega.

Kwadrans później ostrożnie wychynęliśmy z lasu prosto w ciemność i mleczny opar. Snowy prowadził, reszta szła za nim w luźnym szyku, jak przystało na szpicę zwiadowczą. Mimo że nic nie jadłem, czułem wyraźny ciężar w żołądku, bardziej dobitny niż kleif na plecach. Gdyby powiał byle cieplejszy wietrzyk, mgła rozpuściłaby się jak whisky w kuflu Tooheys. Diabeł podniósłby kurtynę tuż przed batalionem przysypiających w okopach Boszów, a my wynurzylibyśmy się zza niej jak puste butelki rozstawione na strzelnicy przy okazji festynu. Jedyłą pociechę stanowił Snowy, śmiało maszerujący na przodzie. Jak dotąd nigdy nas nie wystawił pod ostrzał.

Leżliśmy przez dziką łąkę, zarośniętą tutejszą bujną trawą i różnokolorowymi chwastami. Jak się wcześniej zorientowałem, schodziła łagodnie do najniższego punktu ze trzysta jardów od lasu za naszymi plecami, aby potem znów nieznacznie się wspinać. Tym razem trzymaliśmy się śladów i nawet w przymglonym świetle gwiazd dostrzegłem, jak niezwykle głębokie bruzdy zostawiły koła w tej miękkiej, wilgotnej ziemi. Wyglądało, jakby wóz pchała cała kompania, pas zieleni wydeptano na dobre kilkanaście jardów. Niemal widziałem oczyma wyobraźni, jak Bosze katują ostatnie ocalałe

konie i podczepiają liny do podwozia, wlokąc ładunek pod górę. Na pewno byli już zmęczeni. My też czuliśmy ten szybki marsz w mięśniach, a przecież nie obciążał nas głupi tysiąc funtów złota.

Mgła nie rzedniała, ale trudno było się nie denerwować. Od dłuższego czasu wspinaliśmy się i w każdej chwili mogliśmy się nadziać na okopy wroga. Wprawdzie nic nie słyszałem poza odległym mrużeniem artylerii, to jednak nie uspokajało. Raczej podsuwało obraz krwiożerczych, nie w ciemnie bitych Boszów, którzy wstrzymują oddech w oczekiwaniu na nasze nadejście.

Na dodatek troszkę hałasowaliśmy podczas marszu, a ja chyba najbardziej. Baniak mi ciążył jak kamień u szyi.

Przed nami pokazał się parapet okopu, świeży i pospiesznie umocniony. Nie zauważyłem żadnych zasieków czy pułapek. Koleiny szły prosto na niego, nikły między nierównościami na krawędzi, wynurzały się znowu i oddalały w swoją stronę. Uniosłem lufę mojej maszynki i sprawdziłem iskrownik, ale Snowy nie zdradzał oznak zaniepokojenia. Równy jak na paradzie kroczył przed siebie, aż dotarł do okopu. Zatrzymał się na moment i krótko rozejrzał, po czym podążył za koleinami. Z umocnień nikt się nie wychylił, nie krzyknął chrapliwie. Cisza pozostała właściwie niezmacona. W okopach pusto. Ni cienia Jerrych, sprzętu, broni, zupełnie nic. Wycofali się, a my mieliśmy więcej szczęścia niż rozumu.

Jakoś mi nerwy nie przeszły. Znacie takie uczucie, że coś jest zbyt piękne, aby było prawdziwe? Przeświadczenie, że chociaż moneta dostrzeżona na dnie stawu wydaje się złotym szylingiem, to kiedy wsadzicie po nią rękę, natychmiast okaże się, że w okolicy pływa krokodyl?

Dotarliśmy do pierwszych drzew następnego zagajnika. Koleiny znikły gdzieś między nimi, co nas trochę pokrzepiło, bo tutejsze lasy wprawdzie niewiele sobą reprezentowały, ale trudno było w nich spotkać Bosza albo całą ich gromadkę, bo plotki o legendarnych wszędobylskich *franc-tireurs* trzymały ich raczej na otwartej przestrzeni. Drzewa, co uderzało mnie właściwie za każdym razem, kiedy się natykaliśmy na jakąś większą kępę, rosły tu nędzne, jakby łyse, wyczesane, poprzcinane. Ani dorodne jak nasze eukaliptusy, ani zbite jak akacjowy skrub. Ale ten las wyglądał zupełnie inaczej niż powygradzane mizeroty, cośmy je wcześniej mijali. Ścieżka, z początku porządna i szeroka, po kilku zakrętach zbladła, przestała łyskać gołą, uklepaną kołami ziemią. Korony drzew spotężniały i splątały się, przesłaniając do reszty rozgwieżdżone niebo. Pomiedzy krzewami nadal wisiała mgła, gęsta jak mleko. Nie żeby ćma przeszkadzała, bo wiedzieliśmy, że Snowy wytropi ten wóz choćby i po wodzie, ale od wilgoci nieledwie strzykało w stawach.

Czarny parł naprzód, bez zatrzymania i odpoczynku, a my za nim z gorączkowym pośpiechem. W tym mroku i mgle odłączyć się od pozostałych znaczyło zgubić się naprawdę, bez taryfy ulgowej. A sami wiecie, na tej wojnie to było jak wyrok śmierci, powolnej i w męczarniach.

Nie mam pojęcia, ile szliśmy tak tępo i mechanicznie przed siebie, ale gdy Przygięty Mick

zapałił sobie wreszcie na rozgrzewkę papierosa, Snowy odwrócił się i zasyczał na niego ostrzegawczo. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że coś jest nie w porządku.

- Czego? - Kurczak błyskawicznie odzyskał animusz: dla niego kłopoty oznaczały wyłącznie kolejną okazję do dobrej zabawy.

Przygięty Mick tymczasem pracowicie zadeptywał peta. Jeśliby ktoś inny spróbował wyrwać mu papierosa z gęby, zapewne dostałby w łeb albo chociaż został siarczyście skłęty (gdyby się okazał wyższy szarżą), ale ze Snowym nie pozwalaliśmy sobie na nieuprzejmość. Z początku, owszem, chłopaki czepiały się go na potęgę, bo co to za porządki, żeby dzikus pchał się z białymi do armii? Ale prędkośmy się zorientowali, że ci, co patrzyli na niego krzywo, rychło kończyli sześć stóp pod ziemią, więc potem nikt mu zanadto nie dokuczał, zwłaszcza że Myszak i Kurczak stali za nim murem. Od małego chowali się z nim na farmie: złośliwi gadali nawet, że Snowy jest owocem jednej z wypraw tatki McAndrewsa w busz, bo wyglądał prawie jak człowiek, tylko gębę miał trochę ciemniejszą i włosy kędzierzawe jak u owcy.

- Bosze? - Myszak natychmiast wysunął się na szpicę, znacząco mierząc ze swojego enfielda w krzaki.

Snowy zachrząkał pod nosem jak świnia. Niby umiał po ludzku, ale zwykle mu się nie chciało, więc porozumiewał się z resztą właśnie takimi chrząkaniami i posapywaniami. Pewnie później śmiał się w kułak, kiedy chłopaki na wrywki prosili McAndrewsów, żeby im przetłumaczyli, o co chodzi. Bo, jak już wam mówiłem, Snowy'ego po prostu nie opłacało się nie rozumieć.

Myszak, choć trochę opuścił lufę, nadal rozglądał się czujnie.

Czarny przycupnął na skraju ścieżki, która tutaj odcinała się od ciemnej podściółki lasu zaledwie jaśniejszym łanem zgniecionej trawy. Rozkruszył w palcach grudkę ziemi, po czym zsuł buty i zdjął skarpety. Najchętniej w ogóle chadzałby boso, przy oficerach jakoś się jeszcze miarkował, ale teraz najwyraźniej puściły mu hamulce. Powiadam wam, wcale nie powinni przyjmować dzikusa do wojska, ot co. Tylko wstyd przynosił.

Słyszałem, że ci z komisji werbunkowej byli tego samego zdania i z początku pogonili Snowy'ego, gdzie pieprz rośnie. I nic dziwnego. Taki jeden stary pułkownik, co tam siedział z innymi i złopał piwsko na koszt rządu, tak się ponoć wkurzył, że zaczął do niego grzać z martini-henry'ego. Darł się przy tym straszliwie, że jak się zaczną czarni zaciągać, to niedługo zechcą też głosować, a wtedy to już nastanie sodoma-gomora i koniec świata. A tu niespodzianka, i to jaka przykra na dodatek. Nasz Snowy nie tylko mógł się zgłosić z pozostałymi na ochotnika, ale nawet pójść do sędziego i oskarżyć pułkownika o naruszenie swoich praw obywatelskich. I zrobił to jeszcze tego samego popołudnia, dla wzmocnienia swych argumentów zjawiając się w asyście kilkunastu chłopaków z farmy i Wielkiego Billa z Przygiętym Mickiem na dokładkę.

No i tym sposobem mieliśmy w naszych dzielnych szeregach Aborygena. Zapewne jedyne takie dziwadło na całej wojnie, więc długo się zastanawiałem, co go napadło. Inni czarni chyba się nie garnęli do wojska, w każdym razie ja nic o tym nie słyszałem. Owszem, toczyli te swoje walki na dzidy i bumerangi, ale zdaje się, że chodziło w nich głównie o to, kto komu wybije więcej psów i ukradnie kobiet - zupełnie jakby te gołe, brudne straszdyła były coś warte.

Tak mnie ciekawość zżerała, że wreszcie zagadnąłem samego Snowy'ego; McAndrewsów nie chciałem podpytywać, bo zaraz wyszedłbym na ignoranta. Ku mojemu zaskoczeniu czarny, który zwykle ledwo wyduszał z siebie kilka słów, wybuchnął stekiem straszliwych, całkowicie bezsensownych biadoleń. Piąte przez dziesiąte zrozumiałem, że starsi go wysłali, żeby kogoś zabił, bo dziadek tamtego zadźgał dziobaka czy inne bydlę w czasie, kiedy można było polować tylko na kangury, a w Snowym, który między nami liznął trochę cywilizacji, odezwało się poczucie przyzwoitości i odmówił. Wtedy starsi kazali z kolei załatwić jego, zwłaszcza że od dawna mieli mu za złe, że mieszka na farmie, bezwstydnie przejął obyczaje białych i gorszy tym współplemieńców.

I wiecie, co? Tak mi się zdaje, że Snowy'emu wcale nie wyszło na dobre, że jego matka i babka cierpiały na paskudną skłonność do białych, a on sam miał skórę jasną jak kawa z mlekiem i czasami, jeśli się naprawdę postarał, mógł uchodzić za jednego z nas, znaczy się, niekumatego poganiacza z buszu. Ale na wszelki wypadek nie dzieliłem się z nikim tymi przemyśleniami. Jeszcze by mnie chłopaki wzięty za jakiegoś liberała. W każdym razie czekaliśmy wszyscy pokornie, a Snowy przebierał brudnymi paluchami w pyle, aż wreszcie Przygięty Mick nie wytrzymał.

- Co jest?

Dopiero wtedy zauważyłem, że oba chłopaki McAndrews przyczały się tuż przy czarnym, a Marvin przykląkł nieco z tyłu i narychtował lewisa. Lloyda w ogóle nie umiałem wypatrzeć, pewnie stary koniokrad zwietrzył kłopoty i schował się w krzakach. Też się przygotowałem, iskrownik posłusznie zatrzeszczał. Sięgnąłem na plecy, poprawiając pas karabinu niewygodnie wiszącego mi na szyi, i odkręciłem zawór.

- No, co jest do... - zniecierpliwiał się do reszty Mick i w tej samej chwili spomiędzy drzew tuż przed nami wypadło to ptaszysko.

Było naprawdę wielgachne, kazuar wyglądałby przy nim jak kurdupel. Gdyby rzecz jasna istniały jaskrawo-żółte kazuary. Z początku nawet mi się zwierzak spodobał z tymi piórami barwy ognia, co falowały na nim jak płomienie, kiedy biegł. Zaraz jednak spostrzegłem, że miał dobre pięć stóp w kłębie i odpowiedni czub na łbie, mówię wam, musiał ważyć więcej niż pół tuzina Wielkich Billów, a to przecież nie ułomek. Stwór, jak nas zobaczył, rozdarł się przenikliwie, aż mi się krew puściła z nosa, pewnie z nerwów, bo ptaszysko zaszarżowało na nas bez ostrzeżenia, najwyraźniej wściekle jak ranny razorback.

Myszak i Kurczak wypalili jednocześnie, albo przynajmniej tak mi się zdawało, bo wszystko zagłuszyła równusieńka kośba z lewisa Marvina. Kule osadziły zwierzaka w powietrzu, tylko pierze poszło po lesie. Coś tam jeszcze zaskrzeczał, ale na wszelki wypadek go uciszyłem. Ogień rzygnął prostą strugą na stwora i drzewa za nim. Pociągnąłem ponownie, długim impulsem, i od razu poczułem się lepiej. Ptaszysko zaryczało złamanym głosem, podskoczyło, zamachało skrzydłami, choć te już mu się kopciły jak dwa wiechcie, i dopiero wtedy, całkiem efektownie, padło.

Naprawdę lubiłem tę robotę.

Kiedy było po wszystkim, Lloyd szybko wylazł z krzaków.

- Teraz to na pewno nas Bosze nie zauważą - sarknął. - Bill, Mick, zgasić mi to. Psiakrew, płomienie widać z odległości mili.

Kołysał się na obcasach, obracając w ręku kozik. Ciekawe, co nim zamierzał zrobić. Przycinać paznokcie?

Wzruszyłem ramionami. Lloyd mnie nie lubił, trudno ukrywać. Właściwie też za nim nie przepadałem: jak na kogoś o swojej przeszłości strasznie zadzierał nosa. Można więc rzec, że byliśmy kwita.

- Przynajmniej będą wiedzieli, z kim mają do czynienia - burknąłem.

- Zdaje się, że tego właśnie chcieliśmy uniknąć - mruknął pod nosem Myszak.

- A ty nie lepszy - ofuknął go natychmiast Lloyd, tocząc wokół nieprzychylnym wzrokiem. - Co to niby było? Salut armatni na dwudziestego szóstego stycznia?

- Mieliśmy się dać stratować? - nadał się Marvin. - Walił wprost na nas.

- Sposobem trzeba było! - rozdarł się stary. - Co to za sztuka cicho się podkraść i bydlę zaszlachtować?

Uśmiechnąłem się pod wąsem. Znaczy, teraz się okazywało, że Lloyd wcale nie czmychnął w krzaki, lecz usiłował sprytnie podejść ptaszysko i zakatrupić, tylko my, biedne ciołki, po prostu nie pojęliśmy jego sprytnego zamysłu. Jednak nie odezwałem się głośno, o nie. Lloyd, zwłaszcza kiedy się wkurzył, miał krótki loncik.

Ale Marvin, biedaczysko, nie zdążył go jeszcze poznać.

- Mnie tam tego nie uczyli - oznajmił dobrodusznie. - No, ale ja nigdy nie gustowałem w łatwych sposobach. Ani łatwych pieniądzech...

Błąd, pomyślałem, widząc, jak stary zeszywniał w jednej chwili. Choć tyle lat minęło, Dan Lloyd był bardzo czuły na punkcie swojej kariery bushrangera.

Tymczasem biedny, głupi Marvin zaraz do pierwszego dodał drugi błąd.

- No, ale wtedy, w Glenrowan, chyba wam te sposoby zbyt nie pomogły, co?

Łypnął na starego - taki cwaniak z małego miasteczka, cały dumny, że oto jest z nami w

kompanii zaledwie kilka tygodni, a już zdołał wyszpiegować tę wstydliwą, skrywaną pilnie tajemnicę. I trzeba grubasowi przyznać, że umiał węszyć, bo spośród tych, co służyli z nami od samego początku, od Gallipoli, jedynie garstka chłopaków o niej słyszała, chociaż niejeden pewnie oddałby wszystkie paczki z domu i na dodatek świąteczne prezenty od księżniczki Mary, byle poznać kogoś, kto był wtedy z Nedem Kellym w Glenrowan. Ale w tym się właśnie Marvin przeliczył. Bo Lloyd nigdy nie mówił o Glenrowan. Dostawał szału na sam dźwięk nazwy, a jak na swoje lata, ruszał się naprawdę szybko.

Marvin ani zdążył kwiknąć, kiedy Lloyd skoczył na niego, unieruchomił mu ręce i przyłożył nóż do gardła. Na usprawiedliwienie grubego trzeba rzec, że nie spodziewał się, aby od żartów tak prędko przyszło do jatki. Oczy mu wyszły i coś tam sobie rzeził, ale nikt się specjalnie nie rzucał na pomoc.

Właściwie, pomyślałem sobie, Myszak też mógł obsługiwać lewisa, zawsze był sprytny w rękach. Pewnie słyszeliście, kumotrowie, o tej sztuczce, co tak ogłupiła Abduli, kiedyśmy się wycofywali spod Gallipoli. Brało się dwie puste puszki, a czego jak czego, ale pustych puszek mieliśmy pod dostatkiem. Mniejszą się dziurawiło i nalewało do środka wody. Woda ciekła sobie do większej puszki, sprytnie przechylonej na kamieniu. Kiedy ta była już pełna, przewracała się, pociągając za spust, do którego była przywiązana cieniutkim sznureczkiem, i karabin wypalał jak złoto, może niekiedy nawet trafiając jakiegoś biednego Johnny'ego Turka. A my tymczasem maszerowaliśmy sobie spokojniusięńko na tyły. I kto to wszystko wykombinował? Ano nasz Myszak. Chyba nawet medal by dostał, gdyby się przy okazji odwrotu nie wzięli za łby z Kurczakiem - zatem jako wyraz uznania przydzielono im tylko po tygodniu paki.

No, myślę więc sobie, niech się Lloyd rozprawi z tym wścibskim grubasem. Złoto też łatwiej na siedmiu podzielić.

Snowy coś zachrząkał po swojemu. Lloyd obrócił się w jego stronę, wypuściwszy Marvina, który opadł na ziemię i rozkaszał się gwałtownie.

- Jesteś pewien? - zapytał po cichu Myszak, kiedy kaszel grubasa przeszedł w pełne żałości posapywanie.

Dzikus machnął przed siebie ręką.

- Patrzeć - odezwał się, o dziwo po ludzku. - Stamtąd. Teraz uciekł.

Zerknąłem z powątpiewaniem na kępę drzew, w których ginęła nasza ścieżka. Ciemne były jak, z przeproszeniem, dupa Snowy'ego. W życiu nie uwierzę, że zdołał w nich wyslepić szpiega, chociaż faktycznie sierżant nas ostrzegał, że mogą się tutaj czaić pod każdym krzakiem. No, ale dotąd żaden Bosz nie okazał się tak głupi, żeby nas podglądać.

- Tak mówisz? - Przygięty Mick poskrobał się po niedogolonej brodzie; bez względu na

napominania sierżanta, miał do „schludnego, wojskowego” wyglądu stosunek dość pogardliwy. - Nie omyliłeś się aby?

Snowy ani drgnął.

- Oczy - burknął. - Iskierki. - A potem znów zabełkotał po swojemu, niezawodnie na znak, że obrażony.

Wzruszyłem ramionami. Iskierkę, owszem, widziałem, nawet niejedną. Maszynka naprawdę się spisała i drzewa podhajcowały się aż miło.

- Może robaczki świętojańskie zobaczyłeś? - poddał Marvin, bo już się trochę pozbiarał i postanowił wykazać, że jest pożyteczny.

Popatrzyliśmy na niego jak na kretyna - którym istotnie był - aż Lloyd wreszcie zdecydował się przerwać ciężkie milczenie.

- Zbierajmy się - westchnął. - I ty też, robaczku - dorzucił łaskawie do Marvina, bo, trzeba przyznać, jak mu już złość przeszła, pamiętliwy nie był.

Niestety, dokładnie wtedy wyszło na jaw, że Kurczak znów gdzieś zniknął.

ROZDZIAŁ TRZECI



Powiadam wam, w jednej chwili Kurczak stał obok i razem z resztą przyglądał się, jak Dan dusi Marviną. A w następnej już go nie było.

- Gdzie on znowu polazł? - spieklął się natychmiast Lloyd. - Zobaczycie, obie nogi mu przetrączę, to się na drugi raz dobrze zastanowi, zanim znów gdzieś pokica.

Snowy tylko wzruszył ramionami i zabrał się do roboty. Miał wieloletnie doświadczenie w

wyszukiwaniu młodszego z McAndrewsów - zaczął je nabywać dawno temu, kiedy Kurczak na czworakach ganiał po farmie za każdym królikiem czy kotem, który zawczasu przezornie nie zszedł mu z drogi, a znużony pościgiem zasypiał w jakichś zupełnie nieprawdopodobnych zakamarkach stodoły albo kurnika - i zdążył się nauczyć, że narzekanie nic nie zmieni. Natura jest zawsze silniejsza od rozsądku. Kurczak był tego żywym - jak dotąd - dowodem.

- Tam - oznajmił czarny po chwili, wskazując zbity gąszcz krzaków, może trochę bardziej kolczastych od innych i pokrytych drobnymi, białymi kwiatami.

Wcale nie miałem ochoty tam włączyć w pełnym oporządzeniu, ale roztropnie postanowiłem się nie odzywać. Marvin zrobił to za mnie.

- Co to my, niańki? - zakpił. - Sam w końcu przylezie. A jeśli nie, tym lepiej. Mniej nas będzie do podziału złota.

Biedny głupek, strasznie się przeliczył. Wielki Bill, Przygięty Mick, a nawet Lloyd, który tuż przedtem odgrażał się, że pourywa młodemu nogi, spojrzeli na niego, jakby im kazał poderznąć gardło królowej matce. Bo z Kurczakiem była dziwna sprawa. Niby przysparzał nam samych kłopotów, wpłytywał nas w najdziwsze awantury. Nie zliczę, jak często jako dziecko brałem przez niego w tyłek, a potem, kiedy już podrośliśmy, w łeb. Chłopaki ze Speewah miały jeszcze gorzej, bo my z Myszakiem przez te wszystkie lata trochę się do niego przyzwyczailiśmy i uodporniliśmy na jego gadkę. A oni, nieboracy, dostali go od razu wyrośniętego, w największym, że tak powiem, stężeniu.

Opowiadałem wam chyba, jak ich namówił, żeby się wybrali balonem - kradzionym, jak się później okazało, bo jeden nieużyty bankier nie chciał użyczyć Kurczakowi swej ulubionej zabawki - w podróż dookoła świata?

Dolecieli tylko do Wielkiej Rafy Koralowej, a potem musieli naprawdę bardzo długo machać rękami, zanim ich zabrał przepływający kuter. Albo jak postanowili doprowadzić do Speewah kolej. Najbliżej mieli do stacji w Oodnadatta. Marne dwieście mil, ale oczywiście byle drobnostka nie zniechęci Kurczaka. W Oodnadatta ukradli regularny pociąg, znaczy, konkretnie buchnęli lokomotywę z jednym wagonem, jako że większość podróżnych nie podzielała zapału Kurczaka do egzotycznych eskapad i odmówiła kooperacji, po czym ruszyli w drogę.

Tak, jasne, że tory się wkrótce skończyły, ale kto by się tym przejmował? Przecież nie Kurczak. Odtąd Bill szedł przodem i układał tory, Mick biegał do tyłu i podawał mu szyny, po których już przejechali, a Kurczak siedział w lokomotywie, dorzucał węgla do kotła i wesoło trąbił do mijanych farmerów, którzy na widok ryczącego parowozu, wynurzającego się ni stąd, ni zowąd z pyłu przed ich domostwami, co prędzej czmychali do środka i ryglowali drzwi.

A słyszeliście, jak kiedyś postanowił zaszczepić w Speewah wyścigi emu? Wiecie, emu w

Speewah to nie byle wypierdki, niektóre znoszą jaja tak wielkie, że można z nich robić domy, jeśli tylko ktoś ma dość pary, żeby się kilofem przebić przez skorupę. No i świeże trzeba wybierać, bo lepiej nie natrafić w środku na wkurzonego pisklaka; one pod tym względem są bardzo podobne do ludzi i nie przyjmują dobrze eksmisji. Bill z Mickiem przygotowali tor wyścigowy, wykuli go starannie między skałami, żeby zwierzakom nie wpadło do głowy uciekać na boki. I z początku pomysł chwycił. Ludzie schodzili się ze wszystkich stron, a chłopaki równo kosili pieniądze.

Niestety, potem zniecka rozeszła się wieść, że Mick ustawia zakłady. A sędzia do Speewah zagłada raz w roku, na Nowy Rok, bo tylko wtedy jest wystarczająco pijany, by znieść podróż przez pustynię - pewnie słyszeliście, że wieją tam takie wiatry, że nawet kruki latają tyłem, żeby ich pył nie oślepił. Dlatego bogobojny ludek Speewah woli załatwiać sprawy po swojemu, zamiast czekać na interwencję opieszalej, wyschłej od wichru i skacowanej sprawiedliwości. Ani się nasi przedsiębiorczy kumple obejrzeli, jak ze dwa tuziny oszukanych - no, w każdym razie czuli się oszukani, a trzeba przyznać, że typy Micka sprawdzały się zadziwiająco często - ziomków stańło wysoko na skałach wzdłuż toru wyścigu i rozpoczęło kanonadę. Emu też dawały z siebie wszystko, to fakt. Najszybszy padł tuż przy mecie, z łbem o kilka cali od sznurka znaczącego koniec trasy.

O, Kurczak się wtedy strasznie obraził na dowcipnisiów i dobre pół roku nie pokazywał się w Speewah. Dlaczego? Bo, widzicie, on się do tych wyścigowych emu przywiązał. Zawsze się przywiązywał do swoich wynalazków, a jeśli wynalazł zwierzaka, to przywiązywał się jeszcze bardziej. Wspomniałem, jak hodował w spizarni funnelweba? No, właśnie. Oto nasz Kurczak w pełnej krasie.

Ani chybi zachodzicie w głowę, dlaczego po tym całym zamieszaniu wciąż chcieliśmy go znać. Ano, widzicie, Kurczaka po prostu nie dało się nie lubić. Wystarczyło popatrzeć na tę jego uśmiechniętą, pełną zapału mordę, a robiło się człowiekowi jakoś lżej na duchu. Kurczak był taki pełen... pełen wszystkiego.

Pewnie dlatego pierwszy z nas się zaciągnął. Przezornie nie pochwalił się nikomu, tylko czmychnął do obozu szkoleniowego i jak wieść doszła na farmę, trudno już go było bezkarnie dopaść i wbić mu trochę rozumu do łba.

- Przecież nie pozwolę, żeby się dzieciak zmarnował - oznajmił Lloyd po nocy suto zakrapianej bimbrem Wuja Chucka, a Myszak bez słowa zaczął pakować swój podróżny worek.

Moje pobudki, jak zapewne wiecie, nie były równie chwalebne, ale kiedy wreszcie znaleźliśmy się w jednym oddziale, poczułem się doprawdy jak w domu.

Tym razem Kurczak nie zdążył się daleko poszłajać. Natknęliśmy się na niego kilkadziesiąt jardów od ścieżki. Stał pochylony pod drzewem i namiętnie coś kontemlował.

Jaja były dwa. Nic specjalnego, powiadam wam, każde z półtora łokcia średnicy. Akurat na małą okopową jajecznicę. Tkwiły w wielkim gnieździe, wyścielonym trawą i mchem. Owszem,

trochę mnie zaniepokoiło, że jakoś tak metalicznie połyskiwały, ale po kilku latach na tej wojnie potrafiłem bagnetem, a jeśli przypiliło, i bez niego, otworzyć dowolną puszkę.

- Gdzie ty łazisz?! - napadł na młodego z marszu Lloyd. - Czy mam cię prowadzić na sznurku?

Opowiadałem wam, że jak już zupełnie nie mogliśmy z Kurczakiem wytrzymać, łapaliśmy go i za nogę przywiązaliśmy do słupka podpierającego dach werandy? Gonitwa za nim po farmie sama w sobie była niezłą zabawą i musieliśmy naprawdę z życiem przebierać nogami, żeby go doścignąć. Tyle że rósł szybko i niebawem nie dało się znaleźć wystarczająco mocnego sznurka, żeby go utrzymać. Raz wprawdzie uwiązaliśmy go na łańcuchu, ale okropnie się na nas obraził. Przepiłował łańcuch - nie bez pomocy Snowy'ego, bo ktoś mu przecież musiał tę piłkę podrzucić - i tak nas z Myszakiem nim wymłócił, kiedy przysnęliśmy na pastwisku, że się nam na długo odechciało.

Mówię wam, strasznie fajnie się dorastało na farmie McAndrewsów razem z Myszakiem i Kurczakiem. Aż czasami chce się człowiekowi spłodzić ze trzech-czterech takich małych wisusów, żeby się temu jeszcze raz, choćby z boku, poprzyglądać.

Kurczak nie przejął się połajanką Lloyd'a. Tyle razy słyszał już podobne wrzaski, że teraz pogodnie puszczał je mimo uszu.

- Tutaj prowadzą tropy - odezwał się. - Znaczy się, tego zwierzaka, cośmy go uwędzili. I tak się zastanawiam, co to może być.

- Jak to co? - burknął Lloyd, który nigdy nie miał zrozumienia dla badawczych pasji młodego. - Jajecznicza do zrobienia.

- Co się czepiasz dzieciaka? - Wielki Bill ujął się za ulubieńcem. - Dobrze kombinuje, trzeba myśleć o aprowizacji. Konserwy ostatnio nie nadają się do niczego.

Potwierdziliśmy zgodnym pomrukiem - wszyscy oprócz Marvin'a, który prychnął z pogardą:

- Kto się tym niby naje? Mysz sakramencka?

Trochę nas zaskoczył, bo na moje oko było tam dość żarcia dla czterech chłop'a - albo dla jednego Wielkiego Billa, który na spółkę z Przygiętym Mickiem zeżarł kiedyś całego osła, ledwie odrobinę go osmaliwszy nad ogniskiem. Strasznie się wtedy Abdule wkurzyły, ganiały po obozowisku wte i wewte, szukając zaginionego zwierzaka. Chyba przez myśl im nie przeszło, żeby się go domyślić w stercie dobrze ogryzionych kości za latryną. No, ale Abdule nie grzeszyły bystrością.

- A ty tylko o żarciu! - wrzasnął Lloyd na Wielkiego Billa, zupełnie niesłusznie moim zdaniem, bo przecież ten wcale nie proponował, żebyśmy się zatrzymali na popas, chociaż od poprzedniego posiłku minęło już naprawdę sporo czasu. - Co, mam ci teraz ognisko rozpalić i patelni szukać?

Przygięty Mick poskrobał się po głowie.

- E, nie trzeba - oznajmił tym swoim przewlekłym, tubalnym głosem. - Tak mi się zdaje, że

można je w hełmie przyrządzić.

- Prędzej w łusce po pocisku - burknąłem.

- Na miękko - rozmarzył się Przygięty Mick. - Na miękko są najlepsze.

Powiadam wam, gapili się obaj łapczywie i wyglądali tak, jakby zaraz mieli zacząć zbierać chrust na podpałkę. Ale też strasznieśmy byli na tej wojnie zlaknieni świeżego żarcia. Herbatniki czy konserwy może i smakowały - przez pierwszy miesiąc. Później nie śmieszyły nawet dowcipy o Boszach, którym rozłupano łeb domowym ciasteczkiem.

- Zapomnieliście już, po co tu jesteśmy! - huknął na nich Lloyd.

Wtedy właśnie do konwersacji włączył się Snowy, który dotąd łąził wokół gniazda, i jak to miał w zwyczaju, przyglądał się śladom.

- Nie jeść - oznajmił. - Nikt nie jeść.

- O, widzicie! - zatryumfował Lloyd. - Nawet dziki rozumie. Najpierw robota, potem żarcie.

Wydaje mi się, że czarnemu niezupełnie o to chodziło, lecz nie zaprotestował.

- Dobra, ale ja sobie je zabiorę - zdecydował Kurczak, pakując jajka do plecaka. - Na pamiątkę.

- Otóż to - zgodził się Przygięty Mick. - Będziemy o nich pamiętać na następnym biwaku.

Nikt się nie sprzeciwiał. Pewnie tak samo jak ja wyobrażali sobie, jak głupio będzie Kurczak wyglądał, jeśli mu się przez przypadek w plecaku te jajka zbiją.

Im dalej zagłębialiśmy się w las, tym bardziej miny nam rzedły: niby mieliśmy tylko wyskoczyć za linie po łatwą zdobycz, tymczasem po złocie ni widu, ni słyhu, a my doprawdy przeszliśmy już chyba za wiele. Mgła wreszcie zniknęła i znad sklepienia drzew świeciła na nas czyściutka jasna pełnia, więc maszerowało się jak w dzień. I było to niemal równie męczące. Jednak porządnie wkurzyłem się dopiero wtedy, kiedy usłyszałem chrapanie Wielkiego Billa. Zgodził się ponieść kawałek maszynkę, więc lazałem tuż za nim: przecież należało go pilnować, bo to tylko Wielki Bill. Podchodzę bliżej, patrzę, a ten idzie, czemu nie, nawet całkiem prosto się trzyma. Tyle że oczy ma zamknięte, uśmiecha się błogo i chrapie, aż echo między drzewami niesie. Wyobrażacie sobie?

No, zwyczajnie szlag mnie trafił. Pewnie bym mu przy grzmocił dla otrzeźwienia lufą - co, jak sobie teraz poniewczasie myślę, raczej - nie okazałoby się najlepszym pomysłem, bo Bill, znienacka

wyrwany ze snu, jak nic by się odwinął i oddał, nie patrząc komu - ale właśnie wtedy na naszą ścieżkę, przed samym nosem Snowy'ego, wyskoczyły dwie starowinki. Powiadam wam, sąsiedzi i przyjaciele, dwie staruchy w falbaniastych fartuchach i chustkach na głowach.

Dobrze, że nie Bosze, przeszło mi przez myśl, a potem już tylko przyglądałem się, jak drepczą do nas, podpierając się na sękatych kosturach. Na plecach każda dźwigała stertę chrustu w wielkiej, kraciastej płachcie, choć obie tak wyschły ze starości, że sięgały Wielkiemu Billowi ledwo powyżej pasa. Minęły naszego tropiciela z bożej łaski - Snowy na ich widok zwyczajnie wrósł w murawę, mówię wam, gapił się tak, że oczy mu mało z orbit nie wylazły, zupełnie jakby zobaczył nie dwie wiekowe babiny, ale tego ichniego bunyipa albo samego Tęczowego Węża - i bez lęku przystanęły z dwóch stron Przygiętego Micka, coś tam między sobą z cicha gulgocząc.

Zabijcie mnie, nie wiem, jak udało się im nas podejść, bo choć nie przepadałem za dzikusiem, powiem wam w sekrecie, że zawsze nieźle się spisywał. Pamiętam zwłaszcza jeden raz, pod Gallipoli. Siedzieliśmy wtedy stłoczeni jak indyki na wąskim skrawku plaży, a artyleria Abduli boksowała w nas jak wściekła. Pociski padały w najróżniejszych miejscach i co chwila ktoś z naszych obrywał. Nagle patrzymy, Snowy się wybystrzył i wstał. Pytam, co, a on milczy, a potem energicznie kiwa głową i idzie w inne miejsce. My za nim, bo jak puścimy czarnego samego w tłum na plaży, to go nam jeszcze ktoś pobije. No i przeszliśmy dobre parę jardów. Snowy siada, my też. Snowy wyciąga te swoje liście do żucia, my po papierosie. I w tym samym momencie w miejsce, gdzie siedzieliśmy przed chwilą, walnął ciężki pocisk. Mówię wam, lej wyrwało na dziesięć stóp.

No, ale każdemu pisane jest jego waterloo. Dla Snowy'ego okazały się nim dwie zgrzybiałe wieśniaczki.

W każdym razie wciąż wpatrywaliśmy się w nie, osłupiali, kiedy Marvin znów postanowił błysnąć intelektem.

- Czemu wy się, babcie, przy froncie szlajacie? - odezwał się życzliwie. - Ofensywa tu zaraz będzie, bomby będą rzucać, pociski. Jeszcze którejś łeb urwie.

Myślałem, że Lloyd mu przygrzmoci, bo gdzież tak do kobiety, przy tym wiekowej, która swoje przeżyła i lekko by mu mogła być matką, jeśli nie babką. Ale staruszki nie wydawały się urażone. Przeciwnie. Ta drobniejsza, z płachtą w żółtą kratę, zaniósła się śmiechem, a ta druga, z płachtą w zieloną kratę, przytruchtała do Przygiętego Micka i przyjacielsko bodnęła go łokciem w zebro.

- No, no, sama bym się nabrała! - Ta mniejsza chyba nie chciała być gorsza, bo obeszła Lloyda dookoła, macając przy tym jego mundur oraz kolbę karabinu. - Świetnie wyglądacie, chłopaki. Po prostu rewelacyjnie!

Lloyd się odruchowo wyprostował, Wielki Bill wciągnął brzuch, a Kurczak i Myszak unieśli łby jak konie wietrzące obrok. Bo trzeba wam wiedzieć, przyjaciele i sąsiedzi, że w całej tej wojnie jedna rzecz była naprawdę fajna - mamzelki. Nie wiem, skąd im się to brało, ale na sam widok

naszego munduru rozmaślały się na gębach, po czym wyskakiwały z pończoch i co tam jeszcze która miała na sobie. A jeśliś na dodatek pokazał jednej z drugą kilka konserw, to robiły takie rzeczy, jakich nie widziałem nawet w objazdowym burdelu Łysego Lonny'ego.

- Tak trzymajta, chłopcy - dodała ta pierwsza, chichocząc wesoło. Jej nos był niewiarygodnie haczykowany. - Na pewno sobie poradzicie z tym złotem.

I hyc z powrotem w krzaki, powiadam wam, rączo jak podlotki mimo tego całego chrustu na plecach. Ani którejś gałązka pod butem trzasnęła, zupełnie jakby się rozwiały w powietrzu. A my gapiliśmy się w te chaszczce, co w nich zniknęły, żaden z nas nie zrobił ni kroku.

- Co to być? - w ciszy zawisło samotne pytanie Snowy'ego.

Oczy nadal miał jakby nieco wybałuszone. Przygięty Mick pierwszy otrząsnął się z wrażenia.

- Staruszki - rzucił, przedeptując już z niecierpliwości, bo strasznie go piliło do złota.

Nie jego jednego zresztą, więc byłem gotów machnąć ręką na dziwaczne babiny. Ba, byłem gotów machnąć ręką na całą ofensywę, byle tylko nie rozpoczęła się przedwcześnie i nie przeszkadzała, gdy człowiek wreszcie ma szansę na zarobek, który go ustawi na resztę życia.

Lecz czarny nie wyglądał na przekonanego. Mamrotał coś do siebie, pocierał nogą o łydkę. Ale pewnie po prostu było mu głupio, że tak łatwo dał się podejść.

- Szkoda czasu, przyjaciele - zdecydował Lloyd. - Idziemy!

Snowy wykonał serię bezładnych, pełnych dezorientacji gestów, zanim ostatecznie wzruszył ramionami i znów zaczął się przyglądać śladom na ścieżce.

- Słuchajcie... - odezwał się po chwili Myszak. Po tym, jak zawiesił głos, natychmiast odgadłem, że powie coś paskudnego. Myszak nie wyrywał się przed szereg i w ogóle niewiele gadał, ale w skrytości zawsze coś tam we łbie miał.

- Czego znowu? - Lloyd odwrócił się do niego z niechęcią.

Ale jeśli już starszy McAndrews raz coś sobie uroił, za nic nie dało się go powstrzymać.

- Słuchajcie, a skąd one wiedziały o złocie?

Ja to generalnie nie lubię takich, co za dużo myślą.

- Pewnie trochę już tutaj chrust zbierają - orzekł po zastanowieniu Lloyd. - Mogły je z krzaków wypatrzeć.

- Przez te drewniane skrzynie? - bąknął z powątpiewaniem Kurczak, ale na tyle cicho, byśmy zdołali go zignorować.

Powiadam wam, sąsiedzi, utrapienie z tymi dzieciakami.

- Słuchajcie - ożywił się nagle Przygięty Mick - a jeśli tamtym znowu coś z tych skrzyń wypadło? Na przykład następna sztabka? A może baby miały ją schowaną pod chrustem?

Na jego zwykle nieruchomej, wygarbowanej słońcem i wiatrem fizjonomii malował się wyraz

najszczęśliwego przerażenia, że oto upragnione złoto ponownie mogło przejść mu koło nosa. Powiadają wam, prawie się bałem, że zaraz skoczy za starowinami w krzewy.

- Mick, przyjacielu - Lloyd pocieszająco klepnął go po plecach - takie starowinki? Na pewno czmychnęły w gąszcz, jak tylko zobaczyły Boszów. Pomyśl, co oni mogliby im zrobić. Toż to prawdziwi Huni.

Potaknęliśmy skwapliwie. Już w pierwszym obozie po wylądowaniu żabojady zaczęły nas straszyć, jacy to straszni z Hunów - osobliwie zaś z Prusaków - barbarzyńcy, że palą, mordują, gwałcą, dzieci żywcem pożerają. Całkiem fajnie się tego słuchało, zupełnie jak opowieści czarnych o Tęczowym Wężu i powstaniu świata. I przy naszym pierwszym spotkaniu z Pruską Gwardią okazało się taką samą bujdą. No, ale jak słusznie Lloyd zauważył, jeśli się kilku przeciwników odeśle do okopów z odciętymi uszami, reszta skrupulatnie przemyśli, czy opłaca się używać zębatych bagnetów. Wciąż jednak nie traciliśmy nadziei, że uda się nam gdzieś przydybać takich prawdziwych, wypasionych na piwie i wurście dzikusów. Naprawdę byłem ciekaw, jak się sprawdzi to ich barbarzyństwo w starciu z chłopakami ze Speewah.

Młodszy McAndrews ściągnął wargi i zacmokał z powątpiewaniem.

- Jak dla mnie, te staruszki nie wyglądały zbyt płochliwie - poparł go nieoczekiwanie Myszak.

Przygięty Mick obrócił się ku niemu, jakby go ktoś przyżegł w zadek prętem do znakowania bydła.

- Ukradły nasze złoto?

- A nie macie nic lepszego do roboty - zdenerwował się w końcu Wielki Bill - niż wrastać tutaj w murawę i rozpaczać nad jedną czy dwiema sztabkami, podczas kiedy cały wóz ucieka nam jak sen złoty?

Mick łypnął na niego podejrzliwie. Trzymali się razem od lat, sam widziałem, jak dzielił się z Billem ostatnią maconachie, kiedy dwa dni siedzieli pod ostrzałem w leju po pocisku. Ale gdy szło o złoto, uraza wręcz ulewała się Mickowi z uszu. Za nic nie umiał wybaczyć, że kumplowi tak się powiodło w złotonośnym Croydon.

- Nic z wozu nie wypadło. - Lloyd postanowił wreszcie uciąć spór. - Bo jakby wypadło, to ślad by został. I Snowy by go zobaczył. Prawda, Snowy?

Dzikus solennie przytaknął, choć według mnie po tej wpadce z babinami mocno stracił na wiarygodności. Ale uznałem, że lepiej się nie odzywać. Mick wciąż wyglądał jak królik, gotów w każdej chwili kicnąć w krzaki.

- W zasadzie to dobrze, że stare widziały złoto. - Marvin, niepytany, włączył się do konwersacji. - Znaczą się, że przejeżdżali tędy. Nasi Bosze.

Nikt nie raczył mu odpowiedzieć, bo i po co? Grubas był albo ślepy, albo głupi, a najpewniej i

jedno, i drugie. Gleba się tu zmieniła, zrobiła się bardziej zbita, ale za to porastał ją bujny mech. Koleiny po kołach wozu widziało się z daleka, lecz rozpoznawałem też ślady stóp. Złoto nie stało się jeszcze tak całkiem bezpańskie.

- Ilu? - zapytał Lloyd, wskazując brodą stratowany mech.

- Dwa razy dziesięć - ocenił szybko Snowy. - Szare mundury. I jeden... półkoń.

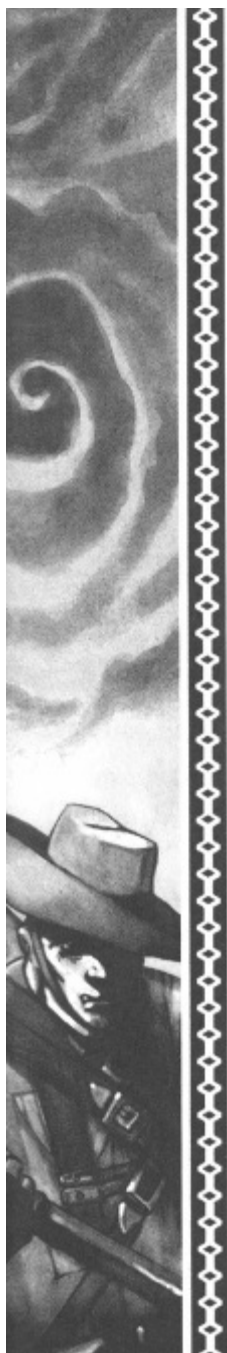
- Jeden koń?

- Nie. Półkoń.

Prawdę mówił. W splątanych tropach podkutych butów wyróżniał się jeden, pozostawiony przez parę niepodkutych kopyt.

- Przynajmniej go nie dosiądą, żeby pognać po pomoc - powiedział Przygięty Mick, zatrzymując się obok Snowy'ego. - Tak se myślę, diablo trudno musi się na nim jeździć.

ROZDZIAŁ CZWARTY



Mówię wam, sąsiedzi, nic w tamtych dalekich stronach nie jest, jak należy.

Nawet gwiazdy - kiedy wreszcie je wypatrzyłem między koronami drzew - wyglądały dziwnie. Niby nic nadzwyczajnego, bo tu wszędzie zupełnie inne świeciły, niepodobne do naszych i nigdzie nie można było wedle nich trafić. Ale wtedy, nad lasem, wydały mi się jeszcze bardziej zwichrowane niż zwykle. Zacząłem się gapić w górę i jakoś tak krok po kroczeniu powolutku odstałem od reszty - a

Wielki Bill ze mną, bo szedł obok i znów drzemał.

Idę więc sobie, łeb mam w górę zadarty, aż tu znienacka jak mnie coś przez gębę nie chlaśnie. Nie żeby mocno, mamuśka McAndrews miała spust ze dwa razy mocniejszy, kiedy nas pędziła do roboty. Pewnie nietoperz, myślę, i na wszelki wypadek walnąłem łapą na odlew. Nawet trafiłem, ale chyba przyłożyłem się za bardzo, bo coś chrupnęło, a potem zaleciało mi w oczy jakimś palącym, srebrzystym proszkiem. Rozkaszałem się, że mało mi płuca przez gardło nie wyskoczyły, a tu przez własny charkot słyszę:

- Patrz, gdzie leziesz, ciołku jeden! - wrzeszczy coś cieniutkim, wściekłym głosem.

Zupełnie takim samym darła się moja świętej pamięci babunia. Jeszcze trzy dni przed skonaniem czaiła się pod płotem i jeśli kogoś nakryła, że skraca sobie przez grządki drogę do wygodki, tłukła kijem po grzbiecie. Powiadam wam, jakby na mnie zza grobu na tej ścieżce naskoczyła. Gaz! - myślę sobie i aż mi zimny pot pociekł po plecach. Zwidy mam, więc już po mnie. Z wrażenia wstrzymałem oddech, choć przecież i tak sporo łyknąłem tego świństwa, i czekam w cichości, aż się na dobre wykopyrtnę. Ręce mi same latają jak na szkoleniu i wyciągają maskę z torby, a to cholerstwo jak zwykle pochłaniaczem zaczepiło się o pasek. I trzyma, ścierwo, gdy ja już czuję prawie, że umieram.

Wtedy nagle słyszę obok, że Bill wciąż człapie, gałęzie mu pod butami trzaskają. Znaczy się, może jeszcze ze mną nie wszystko stracone.

Ostrożnie wciągnąłem powietrze w płuca, potem drugi raz i znowu. Nic. Znaczy się, jest dobrze, żyję.

Tyle że mało co widzę. Nie wiem, może tak mocno tego nietoperza trzasnąłem, że rozpękł się i oczy mi zaprószył? Żabojady o takich nie mówili, ale w przeważającej części nie odróżniliby jelenia od świni. Może więc nie wiedzieli, co tu za zwierzaki siedzą w lasach?

Na wszelki wypadek postanowiłem się nie przyznawać - ślepy na nic się chłopakom nie przydam, myślę, jeszcze mnie gdzieś zostawią albo, co gorsza, odbiorą mi mój udział w złocie. Przetarłem zatem twarz rękawem i spoglądam na Billa, żeby sprawdzić, czy coś spostrzegł. Ten zaś gada:

- Chodźmy, bo nam uciekną. - Tylko głos miał jakiś dziwny i zaraz wyrwał do przodu, jakby mu krokodyl buty podgryzał.

Podyrdałem więc za nim na oślep, bo łzy mi wciąż ciekły po policzkach jak z fontanny.

Dlatego zorientowałem się dopiero, kiedy wlałem na Wielkiego Billa.

- Co jest, do...?! - zacząłem, bo mało sobie nosa nie złamałem.

Dokończyć już nie zdążyłem. Bill złapał mnie za mundur na piersi i jedną ręką podniósł tak, że nasze oczy nagle znalazły się na tym samym poziomie.

- Stul dziób! - syknął mi prosto w twarz. Zamknąłem się natychmiast. Z kim jak z kim, ale z Wielkim Billem nie zamierzałem zadzierać. Podobno w Croydon potrafił walnąć w głaz i wyciągnąć samorodek, ukryty pod jardem litej skały. Przygięty Mick się przysięgał, że podczas buntu w Eurece gołą ręką wyrwał serce adiutantowi Charlesa Hothama - a poprzestał na nim tylko dlatego, że ten zastąpił mu drogę do samego gubernatora. Zresztą chłopaki mówiły, że do tej pory nosi ze sobą flagę Eureka, tę niebieską z Krzyżem Południa, co ją zmajstrował kapitan Henry Ross, ale ja mu się nie kwapiłem zaglądać do plecaka. Bill miał gorący łeb, kiedy ktoś nastawał na jego własność. Pewnie dlatego, że wywodził się z rodziny kompletnych gołodupców.

Reszta już czekała za zwalonym drzewem. Spod pnia wystawały jedynie lufy karabinów, na wszelki wypadek ostrożnie wysunięte między niskopiennymi krzakami. Wytarłem rękawem łzy i smarki z gęby - przez ostatnie kilkanaście jardów Bill prawie mnie włókł, bo wciąż nic nie widziałem. Niezawodnie dlatego nie zrozumiałem od razu, co też tak poruszyło moich drogich przyjaciół. Zastanowiło mnie dopiero, że wokół nagle mocno pojaśniało.

- Nieźle przywalili. - Bill zacmokał ze znanstwem. - Ciężka artyleria jak nic. Gruba Berta i jej koleżanki po fachu.

- Nie słyszałem wycia ani wybuchów - zauważył sceptycznie Myszak. - Dziwne.

No, łoskotu allemańskich pocisków tośmy się ostatnimi czasy dosyć nasłuchali, więc cisza stanowiła poniekąd przyjemną odmianę. Właśnie zamierzałem go opieprzyć za szukanie dziury w całym, kiedy zdałem sobie sprawę, że faktycznie coś jest na rzeczy.

Zaczynało świtać, aż strach pomyśleć, ileśmy mil przeleźli. Od światła łzy znowu napłynęły mi do oczu, tak obfite jak raz, gdy w Wigilię, niosąc miskę świeżo posiekanej cebuli, potknąłem się na progu i zanurkowałem w niej twarzą. Parę dobrych minut siedziałem sobie spokojnie z dala od pozostałych, a ciepło i szczypanie rozlewało mi się po policzkach. Tak jak i wtedy, nie mogłem się powstrzymać od gmerania w ślepiach paluchami. Przetarłem je parę razy energicznie i na jedno coś zacząłem widzieć.

Wyjrzałem zza pnia. Widok był wspaniały, trzeba przyznać, wręcz urzekający. W tamtą stronę teren opadał dość gwałtownie i przed oczami mieliśmy panoramę rozpościerającego się aż po horyzont lasu. Milę z okładem od nas, już w dole, wielkie drzewa stały w przepięknym ogniu, jak olbrzymie pochodnie zapalane pod wieczór na pikniku. Może i artyleria potrafiła zrobić coś podobnego, tyle że tym razem nie zrobiła. Płonące drzewa ciągnęły się równym pasem z północnego wschodu, wąskim i starannym, choć niespecjalnie prostym. Nikt, kto na tej wojnie choć jedną kampanię przesłużył w piechocie, nie uwierzyłby, że dzieło artylerzystów może być tak precyzyjne. Tutaj cieszyliśmy się, kiedy pociski własnej artylerii spadały po tej stronie departamentu, gdzie siedział wróg.

- To nie artyleria - sucho podsumował Lloyd.

Na potwierdzenie jego słów kolejne drzewa na przedłużeniu pasa pożogi bez dźwięku stanęły w płomieniach. Chociaż były zielone i żywe, żywioł bez wahania ogarnął je, otulił i przemienił w zachwycającą, jaskrawą płataninę.

- Pewnie mają miotacze. - Myszak spojrzał na mnie.

- Nie - zaprzeczyłem od razu. - Ogień pojawia się nagle od dołu i błyskawicznie pochłania całe drzewo, jakby oblano je naftą. Zdrowe zielone drzewo. Cokolwiek to jest, musi być piekielnie gorące.

Nie powinienem tego mówić, popsułem wszystkim humor. Wleźliśmy głęboko na tyły wroga i władowanie się teraz na Boszów, zwłaszcza posiadających coś piekielnie gorącego, po prostu było *gutzer*. Z drugiej strony dość przyjemnie pogadać z chłopakami na temat ognia i nie usłyszeć dla odmiany:

- Zamknij się, czubku!

Nie musieliśmy się naradzać, decyzja została podjęta jednogłośnie. Najzdrowszym podejściem wydawało się zaczekać. I nawet się nam udało - w każdym razie przez jakiś kwadrans, bo zaledwie rozgościliśmy się za osłoną, zerkając z obawą na coraz to nowe drzewa stojące w oddali w ogniu, a już Snowy zaczął się niespokojnie kręcić.

- Idą - wyrzucił z siebie w końcu, wpatrując się w chaszczę między pniami.

- Kto? Bosze?

Nie zdążył odpowiedzieć. Przed nami, spomiędzy drzew wynurzyło się kilka grup, miarowo maszerujących w naszym kierunku. Na pierwszy rzut oka dostrzegłem, że to nie Bosze. Nie mieli mundurów ani hełmów, ani żadnej widocznej broni. Na grzbietach nieśli wielkie toboły z dobytkiem, kosze, haftowane chusty wypełnione różnym dobrem. Wcale nie nowy dla nas widok, chociaż wciąż do niego nie przywykliśmy. Uchodźcy uciekający przed frontem wszędzie wyglądali tak samo. Nie przeszkadzaliśmy im, gdy tak przepływali mimo nas, w rzeczy samej lepiej było ich nie zaczepiać. Potrafili zrobić się nieprzyjemni, obwiniać przypadkowych żołnierzy o całe zło świata. A jakoś głupio strzelać do ludzi, którzy już tyle wycierpieli.

Ci nie byli inni. Część minęła nas bez słowa, z nosami spuszczone na kwintę, ale kilku podeszło nieufnie, żeby zbadać, cośmy za jedni. Najbliżej znalazł się wysoki chudy dziad z siwą brodą, w zawadiackim kapeluszu z wywiniętym nad czołem rondem.

- W imię najmiłościwiej nam panującego, uciekajcie stąd, dobrzy ludzie - zaczął zgnębionym głosem. - Tam tylko siarka i ogień, nic więcej.

- Siarka i ogień? - Kurczak oczywiście poczuł się w obowiązku podtrzymać konwersację.

Powiadam wam, przyjaciele i sąsiedzi, nie było na tego dzieciaka sposobu, ciekawość go po

prostu roznosiła. Nawet na samym początku, na Synaju, musiał sobie pogadać z Abdulami. Na przepustkach włóczył się po sukach, wygrzebywał jakieś cuda, a to starą lampę oliwną, a to jakiś dywan na wpół zeżarty przez mole. Każde gównu potrafili mu sprzedawcy wcisnąć, byle okraszone jakąś niesamowitą opowieścią. Aż chłopaki się trochę zzymały, że nie chce z pozostałymi przepuszczać żołądu na gorzałę i dziwki.

Pewnie prędzej czy później ktoś by spuścił młodemu łomot, że nie przejawia chęci, aby się należycie zintegrować z resztą kompanii, gdyby nie wyszło na jaw, że mamy z tej Kurzęcej ciekawości pewną niebanalną korzyść. Otóż tak się z tymi sprzedawcami zaprzyjaźnił, że któregoś dnia w naszym okopie pojawił się zniecka miejscowy smarkacz. Dzieciak miał może z siedem lat, nie więcej, a chuderlak był z niego taki, że kości mu prawie przebijały tę śniadą skórę. Po naszymu nic nie mówił, ale psim swędem wytropił nas w plątaninie przejść i transzei, dopadł porucznika - niewątpliwie nasze gęby wydawały mu się wszystkie takie same, więc wybrał tego, który nosił najbardziej kolorowy mundur - po czym na oczach zaskoczonej drużyny odstawił najdziwniejszy taniec, jaki zdarzyło mi się oglądać. Składało się na niego gromkie gdakanie, machanie rękami, które zapewne miało imitować bicie skrzydłami, i kręcenie kuprem. Porucznik z początku wrzeszczał, że osobiście zastrzeli wartowników, którzy pozwolili, aby podszedł nas byle smarkaty obszarpaniec, po chwili już tylko pokładał się ze śmiechu, kwicząc przy tym jak zarzynane prosię. Wreszcie jakaś litościwa duszyczka zaprowadziła malucha do Kurczaka. Jak możecie się domyślać, młodszy McAndrews nie podzielał naszej wesołości, ale z kwaśną miną wysłuchał wiadomości, która brzmiała:

- Ty nie iść tam - dzieciak pokazał na kamieniste wzgórze, które dla nas było centralnym punktem ziemi niczyjej. - Ty iść tu - machnął ręką z dziesięć jardów w prawo, w suchy parów częściowo przysypany pustynnym piaskiem.

I tymże sposobem kontratak na pozycje Abduli kosztował nas zaledwie kilku rannych.

Tylko Kurczak potem przez dwa tygodnie nie chciał z nikim gadać, taki był rozżalony, że rozpaplaliśmy jego przezwisko między tubylcami. Ale oczywiście ciekawy został, jak wcześniej.

- Tak właśnie - odparł dziad z dumą dobrze poinformowanej osoby. - Rano wieść do nas dotarła, że Tarasque nadciąga. Ogień z nieba zniszczył mu siedzibę. Nie ma dla nas innego ratunku, jak uciec.

Przybliżył się do nas ktoś drugi, młodszy mężczyzna z wielkim koszem na ramieniu. Ubranie miał skromne, na farmie tak odzianego pastucha w życiu nie widziałem, a pracowałem w paru miejscach, gdzie gospodarzy stać było ledwie na płacenie jedzeniem.

- Słuchajcie Hartigerna, bo wie, co mówi. Tarasque lata jak wściekły, tędy to już chyba trzeci raz. I ciągle jeszcze nie złapał śladu. Klątwa na niego! I na Salamandra.

Starzec skwapliwie przytaknął.

- I na Salamandra, co za pomiot nieczysty... - umilkł nagle, jakby wyczuł, że ukryty za jego plecami Marvin wymownie stuka się w czoło.

Ale stary nie spojrział nawet na grubasa, tylko gapił się na drogę. Zbliżała się nią kobieta, stara i zmęczona życiem, pochylona pod ciężarem przytroczonego do pleców tobołu. Do piersi tuliła jakieś małe zwierzę, które z początku wziąłem za kota.

- Hartigern, Albiasz, zadajecie się z obcymi? Głos miała skrzekliwy, podniesiony, pobrzmiwało w nim coś jakby szpony drapiące po szkle.

- Słowo im tylko powiedzieliśmy krótkie, wiedząca - wykrztusił młodszy, bo starszy w widoczny sposób struchlał. - Po co mają iść na zatracenie tam, skąd los nas wyгнаł?

Teraz spostrzegłem, że w rękach trzymała nie kota, ale nietoperza. Nie takiego dużego znowu, u nas w szopie na pastwisku mieszkały większe. Kobieta podeszła bliżej, podejrzliwie łypnęła na Snowy'ego, który popadł w dziwny bezruch, potem okrążyła Kurczaka i Wielkiego Billa.

- Wy jesteście jego kompani? - Skrzywiła się z ewidentną złością. - Że też wam nie wstyd!

- Ale my... - zaczął zaskoczony Kurczak.

- Nie zaprzeczaj! Czuć was nim, wyraźnie. - Przypatrzyła się uważniej naszym mundurom. - I takóž tamescie byli! - Rozejrzała się wokół, jakby któregoś z nas brakowało.

Postanowiłem się nie przejmować. Ostatecznie nie była pierwszą wariatką, jaką spotkaliśmy na tej wojnie.

- Sal! - Złapała jakiś Bogu ducha winny kijek i jęła dźgać nim krzaki. - Jesteś tu gdzieś? Jesteś? Po coś się tam szlajał, ciekawa cholero? Po co? Tyle czasu ścieżki były zamknięte, Jego Wysokość sam pilnował! Tyle czasu był spokój!

Nikt z nas się oczywiście nie odezwał, okoliczne chaszczce również zachowały milczenie. Bynajmniej nie uspokoiło to krewkiej starowiny.

- Jakeście już tam poleźli - napadła zniecka na Lloyda - należało coś z tym ogniem z nieba zrobić! Nie może być, żeby byle kto dziedzinę Jego Wysokości tak sobie pustoszył.

Lloyda zatkało, chociaż powinien dotąd przywyknąć. Miał wygląd, który sprawiał, że gońcy zawsze meldowali się najpierw u niego, zamiast u sierżanta czy porucznika. Czasem dawało mu to fory, ale często kończyło się tak jak teraz, ściągnięciem nowych ciekawych kłopotów, bez których zwykły bushranger mógł bez problemu wyżyć.

- A wy nie dość, że pałętacie się nie tam, gdzie trzeba - perorowała - zgarniacie, co się tylko nawinie pod rękę, to i o nikim innym nie pomyślicie! A mnie ten ogień z nieba dom rozwalił! Pół wioski zrujnował. Uroczysko! Polanę ziół! Nic nie zostało!

Nie wiem jak reszta, ja stałem po prostu i od czasu do czasu mrugałem.

- Mojej kumie całe obejście poszło z dymem, a w miejscu spiżarni ma dwie dziury w ziemi, że konia można schować.

Dwaj nasi przypadkowi rozmówcy zaczęli dyskretnie oddawać pole, cofając się krok za krokiem. Potem hyc, w jeden moment byli z powrotem na swojej ścieżce i popędzili za rzednącą już kolumną uchodźców.

- A na dodatek jeszcze to! - miotła się dalej babina. - Runęło z nieba wprost w legowisko Tarasque'a i wyrwało go z letargu. Teraz bydłak włóczy się po całym lesie, wściekły niezmiernie, bo jego rodzaj zna tylko dwa stany - furję i nieistnienie. Gdybyście cokolwiek zrobili wcześniej, żeby śmierć przestała nam spadać na głowy, nie musiałabym jak przybłęda tutaj krążyć.

Lloyd wykrzesał z siebie całą kurtuazję, jaką przez te lata podejrzwał u oficerów.

- Szanowna pani, zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy.

Brzmiał jak ktoś, kto jest całkowicie przekonany, że mówi prawdę. Może zresztą i miał rację. Właściwie nic nie było w naszej mocy i właśnie tyle ostatnio robiliśmy.

- Skoro chodzicie sobie tu i tam, odwiedzacie różne miejsca - odezwała się staruszka - obiecuj mi, że położycie temu kres. Sprawicie, że więcej żadna śmierć z nieba nie spadnie na lud tej krainy.

Ciekawe, że nikomu z nas proste kłamstwo, które bezpiecznie skończyłoby tę dziwną rozmowę, z jakichś powodów nie przeszło przez gardło.

Snowy nagle drgnął, nadstawił uszu. Zawsze tak robił, gdy coś do niego docierało tymi jego dzikimi kanałami. Staruszka też podniosła czujnie głowę i rozejrzała się mocno przygaszonymi zaćmą oczami.

- Pies z wami tańcował - rzuciła jeszcze z niechęcią, poprawiła bagaż i różnym krokiem ruszyła tam, gdzie niedawno zniknęli ostatni uchodźcy.

Gdy się oddalała, zauważyliśmy, że cisza w lesie się spotęgowała. Ledwie kilka owadów brzęczało tu i ówdzie, lecz śpiewy ptaków prawie umilkły. W oddali, jedno za drugim kolejne drzewa niespiesznie stawały w płomieniach.

Minęło parę minut, zanim rozległo się wycie i na las runęły pierwsze pociski artylerii Boszów. W zaistniałej sytuacji wydało mi się to niemal kojące.

Tkwiliśmy w wykrocie za pnem już całkiem długo, kopiąc przydziałowe papierosy, podczas gdy artyleria macała okolicę, to przybliżała się do nas, to oddalała, by zaraz znów wrócić. Pocieszałem się, że obecni właściciele złota, jeśli mają choć trochę rozumu, też się gdzieś przyczaili, żeby przeczekać spodziewaną nawałę ogniową. Odpoczynek pasował mi tym bardziej, że Wielki Bill się znudził taszczeniem maszynki i po prostu mi ją oddał. Otwierała się przede mną urocza perspektywa dźwigania jej samemu, a to dość, żeby do dalszego marszu podchodzić z rezerwą.

Marvin postanowił przerwać milczenie i wypowiedzieć na głos coś, o czym wszyscy po cichu myśleli.

- Słuchajcie, to chyba będzie już ta ofensywa, co o niej szarże gadały, nie?

Popatrzyliśmy na niego jak jeden mąż i powiadam wam, gdyby od spojrzenia można spłonąć, po Marvinie zostałyby jedynie dymiący dół.

- Powiesić raczej nas nie powieszą. - Grubas zupełnie nie wyczuł nagłego ochłodzenia atmosfery. - Ochotników przecież nie można wieszać, co? Jak się człowiek zgłosił z własnej woli, to zawsze może się mu odwiedzić, nie?

Lloyd mruknął coś nieartykułowanie, a Wielki Bill dorzucił przez zęby przekleństwo.

- Ja w ogóle uważam, że bez sensu wlec się na drugi koniec świata tylko po to, żeby sobie postrzelać - ciągnął niezrażony Marvin. - Jakby nie można w domu położyć ze sztucera kilku królików albo dzikusów - zarechotał dobrodusznie.

Łypnąłem na Snowy'ego. Wychylał się właśnie zza pniaka i ani, skubaniec, drgnął, lecz oczy mu dziwnie błyszczały odbiciem pożaru. Na miejscu Marvina ugryzłbym się w język. Ale grubas należał do tych czarujących gawędziarzy, którzy czuli się w obowiązku każdą chwilę ciszy wypełnić dźwiękiem własnego głosu. Trafiło mi się dotąd paru takich w okopie. Czasami miałem ochotę przyczepiać im do mundurów tarcze strzelnicze.

- Jak do nas przyjeżdżali werbownicy - Marvin poprawił się na grubej warstwie mchu i wygodniej rozprostował nogi - zawsze byłem za tym, żeby ich w ogóle do miasta nie wpuszczać. Co będą ludziom w głowach mącić? W referendum głosowałem przeciwko poborowi. A jak ktoś do nas do banku zachodził i pytał o radę, bo ja w banku pracowałem, a bankowy urzędnik ma poważanie, też od początku mówiłem, że trzeba się trzymać z daleka od tej awantury, bo to nie jest nasza sprawa i po co się rząd do niej wmieszał.

- W takim razie czego tu szukasz? - nie zdzierzył Przygięty Mick.

Grubas zacukał się na trochę.

- Widzicie - machnął po chwili lekceważąco ręką - prowadziłem księgi rachunkowe i wyszło na jaw takie małe, malusieńkie niedociągnięcie. - Powiódł wzrokiem po naszych twarzach, szukając zrozumienia. - Znaczy się, wcale go nie było, tego niedociągnięcia, ale zrobiło się zamieszanie, więc

postanowiłem się na jakiś czas wynieść, póki się wszystko nie ustoi.

Aha, pomyślałem, czyli takiś ty, bratku. On mi się od początku wydawał za cwany, ten cały Marvin, a tu proszę, wyszło szydło z worka - nie tylko gryziپیórek, ale i defraudant. Musiał sporo nakraść, skoro czmychnął aż na inny kontynent. Swoją drogą, niektórzy mają w życiu lekko. Lloyd na ten przykład porządnie się na swoją dolę napracował, bo napad na bank, choćby na zadupiu, to przecież nie przelewki. A Marvin sobie swoją kasę wyskrobał piórem na papierze.

I wiecie, co sobie jeszcze myślę? Może i tatko wiedział, co robi, jak zaczął strzelać do tych przybłędów z kasy pożyczkowej, którzy kilka lat temu przypałętali się na farmę. W końcu sami sobie winni, kto normalny od progu krzyczy, że przyszedł odbierać? Cokolwiek by to było, długi czy coś innego, tak nie ma sensu, jeśli ktoś chce przeżyć swoje w spokoju.

- A ty czego tu szukasz? - Marvin zwrócił się do Micka, jedyne, który nieopatrznie dał się wciągnąć do rozmowy.

Mick skrzywił się kwaśno. Nie lubił wspominać tej historii.

- Marsz werbunkowy - odpowiedział lakonicznie, kiedy grubas wciąż wpatrywał się w niego wyczekująco.

Marvin potrząsnął głową z udawanym współczuciem.

- Zmusili? Nic dziwnego, jak się ich kilkudziesięciu napatoczyło...

Mick odwrócił spojrzenie, wyraźnie usiłując pogrzebać temat.

- Zaraz tam zmusili...

Zerknąłem w bok, skąd dobiegło dziwne, przytłumione sapnięcie. Wielki Bill coraz bardziej dusił się ze śmiechu.

- Zastraszili? - Głos grubasa był tak grubo powleczone ubolewaniem, jak chleb w oficerskiej kantynie masłem. - Ponoć ci z marszów werbunkowych potrafili zagrozić spaleniem farmy, jeśli się z niej nikt nie chciał zgłosić. Albo do bydła strzelali, póki ktoś się do nich nie przyłączył. A co jeden człowiek poradzi przeciwko takiej zgrai?

- Co ty pleciesz, chłopie? - zdenerwował się Mick. - Jakie tam zastraszyli? Sam poszłem.

- Zaraz po tym - uzupełnił usłużnie Wielki Bill - jak roznieśliście w drzazgi gospodę Starego Jacka.

- Bo co mi się będą na moim własnym podwórzu chojraczyć, jak to idą Boszów rąbać! - wybuchł Przygięty Mick. - Że każdy co najmniej dziesięciu jedną ręką powali. A co to, my w Speewah gorsi? Co ja, strzelać nie umiem? W garści krzepy nie mam?

- Nie musiałeś jej demonstrować akurat na szopie Jacka - rzekł Bill. - Tyle razy stary prosił, żebyś otwierał drzwi, nim zaczniesz kogoś wyrzucać na majdan...

- A co, miałem się z nimi na rękę siłować?! - ofuknął go Mick.

To by już z nich armia większego pożytku nie miała, pomyślałem. Mick, chociaż Bill się z niego podśmiewał, że na starość traci siły, wciąż giął w palcach lufy od karabinów i powiadał, że nigdy nikomu nie ustąpił pola. Nic więc dziwnego, że nie wytrzymał, kiedy gromada cherlawych zapaleńców rzuciła mu wyzwanie na jego własnym terenie.

- Zaraza z tymi marszami werbunkowymi - mruknął pod nosem Lloyd.

W duchu przytaknąłem mu z całego serca. Ilu porządnych chłopaków wachało od spodu stokrotki z powodu tego przeklętego Hitchena i jego szatańskiego pomysłu! Co innego, kiedy się trzeba przejść do punktu werbunkowego - w domu zawsze jest robota, wieczorem nie chce się tyłka trząść, rano sąsiedzi zagadają, w nocy kobita jęczy i tak dzień za dniem jakoś człek odsuwa tę wyprawę, aż wreszcie mu przejdzie wojenny animusz i ciekawość świata wraz z nim.

Ale co innego, kiedy ci werbownicy pojawiają się znienacka tuż przed drzwiami! Kiedy bezczelnie wydeptują ci majdan przed zagrodą, na trąbkach grają, nieledwie nad dachem strzelają, do kobiet zęby szczerzą i kłapią dziobami. Bo pewnie jeszcze pamiętacie, sąsiedzi, gęby im się po prostu nie zamykały - gdzie to oni nie jada i czego na tej wojnie nie dopną. A który chłop wytrzyma, jak mu się u niego we własnym domu obcy przechwala i chełpi odwagą? No, który? I najmądrzejszemu może na chwilę rozum zaćmić, a ci werbownicy tylko na to czekali i od razu podtykali pod nos listy do zaciągu.

Na ten przykład ja. Powiadam wam, gdybym wiedział, co mnie tu spotka, chyba bym już wolał siedzieć w więzieniu. Ale przydybali mnie, obskoczyli jak dingo zdychającego wombata, akuratnie w najgorszym momencie. Bo czy sami byście się dobrze namyślili, gdybyście właśnie wyglądali procesu, koroner głądził o stryczku, a połowa okolicy tylko czyhała, żeby was wypuścili, bo wtedy rozprawi się z wami na własną rękę?

Nie, no dajcie już spokój! Przysięgam na wszystkie świętości, nic nie miałem wspólnego z tymi trzema smarkulkami, co się uwędziły na farmie Nicka Laira. Owszem, nie wypieram się fajerwerków w buszu ani spalonej stodoły Nashów, choć ci akurat sami sobie winni, niepotrzebnie zadzierali z tatkiem o te kradzione kurczaki. Jednak dziewczuszek Laira nikt mi nie wmówi i sami byście do tego doszli, gdyby wam złość z oczu opadła.

Wiele rzeczy można o mnie rzec, a i tatuńcio miał swoje za uszami, ale każdy potwierdzi, że płomień się nas słucha. I jakbym na ten przykład chciał ogień podłożyć - a byłoby za co, bo stary Lair był nieużyty i z dawna się odgrzązał, żeśmy są koniokrady i podpalacze - toby się tam ani jeden kurczak nie uwędził, a co dopiero trójka dzieciaków. Najpewniej jakiś włóczęga albo poganiacz zaproszył z niedbalstwa ogień w stodole.

No, ale jak zwykle poszło na nasze konto. Zasadzili się nas tuż przed świtem, ze wszystkich stron, i wygarnęli z domu jak pisklęta spod kwoki. A koroner straszliwie się ucieszył, że niby

wreszcie nas przydybał, i to, powiada, na gorącym uczynku. Ani chciał słuchać tłumaczeń, chociaż byli tacy, co mnie widzieli i mogli zaświadczyć, że akuratnie tamtego wieczoru piłem z Wujem Chuckiem w gospodzie Starego Jacka. Ale gdzie tam! Zamknęli nas w areszcie i czekali na sędziego, coby nas z tatkiem powiesić, a dwóch młodszych, Jima i Jacka, przymknąć na parę latek, chociaż są jeszcze smarkacze, dotąd ani księżycówki nie próbowali, więc gdzie by się mieli do ognia brać.

I wtedy do więzienia przyszedł stary McAndrews i powiada:

- Opamiętaj się, Bill - bo tak właśnie koronera wołali - przecież wiadomo, że to nie on.

Wypuść go i młodziaków też, zanim się z tego całkiem brzydka sprawa zrobi.

A koroner na to, że jeśli nawet ze mną rzecz nieco wątpliwa, przy tatku nikt go nie przekona, bo z tej stodoły Laira wyraźne ślady prowadzą na naszą farmę. Gadam mu zatem, że tamtego wieczoru tatko poszedł do Laira, żeby się wywiedzieć o cenę buhaja. Jednak koroner tylko mnie wyśmiał i rzecze:

- Skąd byście, koniokrady, mieli mieć pieniądze na bydło, na dodatek pełnokrwiste, jakie stary Lair chowa?

- A pies cię trącał - ja mu na to.

I w ten sposób jeszcze bardziej koronera zeźliłem.

Ale McAndrews znowu wziął go w obroty, a że miał wśród miejscowych poważanie, więc, chcąc nie chcąc, musiał koroner słuchać.

- Dajże spokój, Bill - mówi McAndrews - przecież tobie nie o to chodzi, żeby śmierć niewinnego człowieka na sumienie brać, tylko żeby w okolicy spokój wreszcie nastął. Inaczej należy to załatwić.

I tak go męczył, mówię wam, sąsiedzi, całą nockę, dwie butelki bimbrowa w siebie wlał.

Nad ranem koroner się poddał.

Przychodzi tedy do mnie McAndrews, a pijaniusieńki, że się o kratę musiał oprzeć i tłumaczy, co oni tam na farmie uradzili, żeby mi skórę ocalić. Bo trzeba wam wiedzieć, że ja się z Myszakiem i Kurczakiem chowałem, bo nasze matki stryjeczne kuzynki czy jakoś tam były, tyle że mojej się zmarło, biduli, kiedy wciąż nosiłem w zębach koszulinę.

Z początku aż mną zatrzęsło, jak mi wszystko wyłożył. A tu jeszcze czas nagli, bo, McAndrews powiada, zaraz koroner wytrzeźwieje i wtedy wcale nie będzie taki chętny, żeby mnie na swobodę wypuścić.

Jak mus, to mus, myślę sobie. Postrzelać sobie lubiłem, a może się też na tej wojnie trafi okazja coś podhajcować.

Powiedziałem więc McAndrewsowi, co i jak. Bardzo się ucieszył.

- O dzieciaki też się nie martw - obiecuje - na farmie je przechowamy.

I tu mnie coś tknęło.

- A czemu niby u was ma im być lepiej? - pytam. - Tatko się nimi zajmuje.

Lecz ojciec z McAndrewsem popatrzyli na siebie, ale jakoś tak, że mnie ciarki po grzbiecie przeszły. Już chciałem się rozedrzeć, że nigdy, że po moim trupie, ale wtedy tatko mnie w łeb strzelił i na dobrą chwilę ogłuszył, bo łapę zawsze miał ciężką.

- Ty mi tu nie rezonuj, gówniarzu - powiada - tylko rób zaraz, co starsi uradzili.

No więc się zaciągnąłem.

A tatkę następnej niedzieli w miasteczku powiesili.

I tak sobie myślę, że teraz koroner ze swoją starą powinien co wieczór na kolanach paciorek odmawiać, żeby mnie Bosze szczęśliwie za tym morzem ukatrupili. Sam bym tak na ich miejscu robił.

ROZDZIAŁ PIĄTY



Wspominałem sobie, aż tu artyleria w końcu się zmęczyła. Kanonierzy nie mieli chyba nic poważnego na myśli, bo to, co zaczęło się jak zdrowe wstrzeliwanie w cele do nawały, ostatecznie zrzędoło, by wreszcie ustać, zupełnie jakby sam Pan w niebiosach nakrył nas ochronnym parasolem swojej łaski. W samą porę, bo parę pocisków rąbnęło bardzo blisko, uświadamiając nam, jak nagi czuje się czasem człowiek pozbawiony swojego okopu, głębokiego co

najmniej na dziesięć stóp.

Czas było ruszać dalej, aleśmy się jeszcze dobrze nie zebrali, gdy osadziła nas w miejscu wrzawa zza pleców. Doskonale znałem te dźwięki, jak zresztą każdy chłopak z buszu - to była pogoń. Aż mi się przypomniało, jakeśmy, wciąż smarkami będąc, chodzili z Kurczakiem dla wprawy podbierać jaja z kurnika Blairów, a potem uciekali przed ich pastuchami.

Zwierzyna z pewnością biegła w naszym kierunku, zaganiana może niezbyt zręcznie, ale całkiem żywiołowo. Oprócz tupotu stóp po lesie niosły się obelgi i wyzwiska, wykrzykiwane zgodnie przez wiele głosów. Wyglądało na to, że wnerwieni cywile ścigali wyciągniętego skądś Bosza.

Jakaś postać wynurzyła się z chaszczy - szczupła sylwetka w luźnym, jasnym, potarganym ubraniu. Ledwo się pojawiła, a paproch wpadł mi do oka i podrażnione spojówki natychmiast zaczęły znów łzawić. Cofnąłem się o krok, symulując smarkanie - chłopaki poznały mnie już wystarczająco dobrze i na pewno żaden nie podejrzewał, że spróbuję się dekować na tyłach, ale jeśli mieli mieć ze mnie jakikolwiek pożytek, musiałem po prostu doprowadzić się trochę do porządku.

Przetarłem twarz rękawem, ale obraz wcale się nie wyostrzył. Widziałem ściganego tubylca jakby w świetlistym owalu, czasami jego postać falowała przede mną jak odbicie na powierzchni wody, czasami zestalała się, by wkrótce znowu się rozmyć. Jeżeli był Boszem, nieźle się przebrał w cywilne łachy. Tyle że ta maskarada raczej mu nie pomogła, bo za nim spomiędzy drzew wypadła horda byle jak odzianych wieśniaków. Niektórzy wyglądali znajomo. Śmieszne, ale wydało mi się, że Allemaniec gna prosto do nas. Jeżeli sądził, że znajdzie u nas ochronę, miał się w przykry sposób omylić. Wszyscyśmy myśleli tak samo. Obróciliśmy się przodem do uciekiniera. Nawet Marvin odsunął nieco lewisa na plecy i zacisnął pięść, chcąc godnie powitać nieproszonego gościa, ale się przeliczył, tak jak i pozostali. Nadbiegający człowiek, ciemnowłosa mężczyzna z bródką, zgrabnie ominął cios grubasa, wskoczył za plecy Myszaka i odezwał się po naszymu, choć jakoś tak nieskładnie:

- Wiem, gdzie złoto wasze. Tośmy mieli głupie miny wtedy! Kurczak przyjrzał się uważnie ściganemu.

- Ktoś ty?

- Sal! - zawrzęsła w odpowiedzi tłuszcza prześladowców. - Nie ujdiesz nam!

Przewodził im wielki czarnobrody chłop: wymachiwał jakimś antycznym samopalem i darł się jeszcze głośniejszymi niż inni. Jednak ujrawszy Wielkiego Billa, roztropnie się zatrzymał, a tak gwałtownie, że mech mu prysnął spod obcasów. Bo Bill się bynajmniej nie przejął, choć nadbiegająca ciżba wręcz dyszała żądzą mordy. Po prostu wystąpił przed Myszaka, który wraz z nieznajomym zniknął doszczętnie za jego zwalistymi plecami, po czym zrobił parę powolnych

kroków ku czarnobrodemu, aż wylot dwururki dotknął jego piersi.

Broń z nagłą zaczęła drżeć w palcach właściciela. Bill uśmiechnął się do niego tak zachłannie, jak spragniony wędrowiec do zroszonego kufła z piwem, ujął lufę w dwie ręce, zgiął ją i pomalutku zawiązał na supełek.

Z kilku gardeł wyrwały się nabożne westchnienia, a czarnobrody kwiknął i wypuścił beużyteczną teraz dwururkę, jakby mu się w dłoni zamieniła w jadowitego węża.

- Zatem jak będzie, ludkowie mili? - odezwał się przyjaźnie Bill. - Chcecie czegoś?

Ten z czarną brodą zagulgotał coś z przejęciem. Nic nie rozumiałem, ale sens był jasny: pokazywał brudnym paluchem za plecy Myszaka, wyraźnie domagając się wydania zbiega.

Przygięty Mick stanął u boku kumpla i wyszczerzył zęby jak przyczajony w bajorku krokodyl, kiedy widzi dorodną krowę, w nieświadomości ducha zbliżającą się do wodopoju. Obaj z Billem uważali, że wojna ma swoje dobre strony: można sporo obejrzeć i nażreć się za darmo, postrzelać do rozmaitych celów - a niektóre z nich ruszały się naprawdę szybko, więc nie było to zupełnie niesportowe - i poznać mnóstwo ciekawych cudzoziemskich obyczajów, na przykład fotoplastykon z upadłymi kobietami. Jednak zdaniem Micka szarże stanowczo przesadzały z przestrzeganiem regulaminów i wtrącały się za każdym razem, kiedy trafiała się szansa na dobrą zabawę.

- Bo co to w ogóle za porządki - perorował Mick, aż echo szło po ścianach aresztu - żeby przeszkadzać, gdy dorośli mężczyźni z własnej woli postanowią sobie porozbijać łby? To wręcz przeciwko naturze - dodawał z oburzeniem. - Po prostu zaprzeczenie wszelkich naszych tradycyjnych wartości.

Dlatego teraz ani myślał pozwolić, żeby taka wspaniała okazja przeszła mu koło nosa. Niespiesznie wy dobył z pochwy wielgachny, zębaty bagnet - nam takich nie dawali, ale fasowały je niektóre allemańskie pułki i tak się Mickowi spodobały, że szybko sobie zorganizował jedną sztukę, przykładowo poderżnąwszy gardło poprzedniemu właścicielowi. Bagnet tego typu zostawiał okropne, poszarpane rany, i Bosze, którym przypadł w udziale, starali się go pozbyć jak najszybciej, bo nasi, jeśli któregoś z takim złapali, kończyli sprawę krótko, nie oglądając się na żadne gadki o oszczędzaniu jeńców i tym podobne. Trzeba przyznać, że teraz, w rękach Micka, który zdążył go nasadzić na lufę swojego enfielda, sprawiał naprawdę paskudne wrażenie. A nasz kumpel wręcz rozkoszował się sytuacją.

- Odsuń się - poradził Billowi - bo flaki ci spodnie obryzgają.

Czarnobrody jakby trochę posiniał na gębie. Przystąpił z nogi na nogę, głośno przełknął ślinę.

- Przecież to Salamander! - wrzasnął z pretensją ktoś zza jego pleców. - Co wam do niego?

Ciekawe, pomyślałem, czym im ten Salamander tak zawinił.

- Salamander nie Salamander - rzekł sentencjonalnie Bill - ale jest nasz i nikomu go nie

oddamy. Jasne?

Potaknęliśmy rażno, a Marvin, który nawet rozłożył lewisa, popatrzył znacząco na moją maszynkę.

- Co się ociągasz? - spytał.

Wzruszyłem ramionami. Wiedziałem, że chłopaki same sobie poradzą. Zresztą do ludzi jakoś z kleifa nie lubiłem walić - no, chyba że do Boszów, ale ci tutaj wyglądali na zwyczajną gromadę wieśniaków, którzy z jakiegoś powodu dostali wściku. Nie żebym się im dziwił. Huni przewalali się w tych stronach od dłuższego czasu, a kiedy człowiekowi spalą dom albo wybiją bydło, po prostu musi komuś przyłożyć. Tyle że ci biedacy dokonali naprawdę złego wyboru. Na ich miejscu prędzej rzuciłbym się z kijami i widłami na Pruską Gwardię.

Najwyraźniej czarnobrody doszedł do podobnego wniosku, bo znów przestąpił z nogi na nogę, strzyknął śliną przez szparę po siekaczu i wycedził przez zęby:

- A to se go weźta! Chodźmy, ludziska! - Machnął ręką na towarzyszy. - Tak im dokuczy, że jeszcze pożałują!

Odchodzili powoli, wygrazając nam z oddali kułakami i pokrzykując wyzwiska - a im byli dalej, tym głośniejsze i odważniejsze wrzeszczeły. Dopiero gdy stało się jasne, że nie zamierzają wracać, ten nowy, co go zwali Salamander, wychynął zza pleców Myszaka. Nie wyglądał okazale: niewiele wyższy od Marvina i jakiś wątyły, wąski w barach i chudy jak sztacheta, powiadam wam, wszystkie kości dało się mu policzyć przez skórę. I patrzył dziwnie, boczkiem, unikając naszego wzroku. Ale pewnie było mu wstyd, że dał się tak pogonić gromadzie wieśniaków.

- A teraz gadaj, brachu - zagadnął go Lloyd ostro - gdzie nasze złoto?

- W skrzyniach.

Mick kiedyś opowiadał, że jak się Lloyd zniecka mocno wkurzy, to mu na skroni taka gruba żyła zaczyna pulsować. No i patrzcie, nie kłamał.

- Chłopcze, za takie żarty nawet w tancbudzie McFergusona dostałbyś kuflem w dziób, a jest to miejsce bardziej cywilizowane od tej głuszy. Lepiej gadaj po dobroci.

Salamander musiał jasno zrozumieć, że Dan nie bez przyczyny sapie ciężko przez nos co drugie słowo.

- Ludzie Jego Wysokości kręcą się z wozem po całej okolicy. Czekają, aż Tarasque złapie trop - wydusił z siebie i umilkł wymownie, jakby się spodziewał, że resztę sami sobie dośpiewamy.

Przynajmniej sapanie Lloyda ustało.

- Jaka Wysokość? - zapytał ciekawie Kurczak. - A myślałem, żeście tu wszystkie wysokości wyrznęli dawno temu.

Salamander zamrugał i zmarszczył brwi, wyraźnie zaskoczony. I urażony.

- Ale wiesz, gdzie ten wóz jest? - Dan przeszedł do konkretów.

- Znam skrót i mniej więcej ich trasę. Powiniennem trafić.

- Lepiej, żebyś trafił. W przeciwnym razie rozstaniemy się przy kolejnym spotkaniu z twoimi krewkami znajomymi.

- Zgadzam się na to, czcigodny panie - odezwał się Salamander, jakoś tak uroczyście, i wyciągnął rękę.

Lloyda zamurowało, bo nie od wczoraj był kapralem i przywykł, że takie rzeczy robią tylko wyżsi stopniem. Zmierzył złym wzrokiem naszego nowego towarzysza, ale w końcu uściśnął jego dłoń.

- No dobra.

Ale Salamandra nadal coś nurtowało.

- A Tarasque?

- Po kolei. Najpierw złoto. Nim zajmiemy się, jak spróbuje do nas szurać.

Staliśmy tak sobie i rozmawialiśmy jak byle durnie z uzupełnienia, gdy nagle przemknął nad nami wielki cień, ciągnąc za sobą basowy ryk. Salamander aż przyklęknął z wrażenia, z obawą unosząc wzrok na niebo.

- O, tak mi się zdaje, że chyba właśnie zaczyna - rzekł powoli, z wyraźnym ostrzeżeniem.

- Dla nas to nie pierwszyna - odpowiedział Myszak. Czujnie się rozglądał, starając się zgadnąć, skąd przybył latający wróg i czy wróci. - Nic specjalnego.

Ja tam bym raczej wolał, żeby to było coś specjalnego. W tym roku już dwa razy aeroplany Boshów odwiedziły nasze pozycje, zrzucając bomby i siekąc z wysoka ogniem karabinów maszynowych. Nienawidziłem ich, bo zdecydowanie były wbrew naturze. Okopuje się człowiek, ryje w ziemi głęboko, umacnia, czuje się bezpiecznie, tylko po to, żeby go później z góry jakiś Jerry oglądał jak na patelni i gonił celownikiem. A już najgorsze wydawały mi się te wielkie ważki z dwoma silnikami i mnóstwem karabinów maszynowych. Na sam ich widok człowiek stawał jak oniemiały, niski warkot silników przyciskał go do ziemi niczym stufuntowy głaz. A wtedy one zrzuciły grad bomb...

Nic dziwnego, że przeszedł mnie dreszcz. Myszak tymczasem nasłuchiwał.

- Wraca. - Kiwnął głową, potem wskazał kierunek. - Stamtąd.

Niespiesznie poprawił celownik w swoim enfieldzie.

- Chcesz do niego strzelać? - zapytał Lloyd niedbale.

- A czemu by nie?

- Chłopcze, to nie albatros. Nie zdejmiesz go jednym strzałem, a jak chybisz, to ci odda.

- Nie chybimy - dodał Kurczak spokojnie. Też przestawił celownik. - Marvin, dołączysz się?

Nie wyglądało, żeby grubas miał specjalnie wiele serca do tego pomysłu.

- W niebo? Muszę mieć się o co oprzeć, z wolnej ręki to mogę Panu Bogu w okno. Do aeroplanów ponoć najlepiej z czyjś ramienia. Słyszałem raz o jednym, co tak umiał.

- Strzelać?

- Nie. Trzymać lufę koło ucha podczas strzelania. Stał jak skała.

Znów śmignął nad nami cień. Nie było innego wyjaśnienia, musieli nas z powietrza zauważyć, dranie. Następnym razem dostaniemy ogniem z broni pokładowej, a może i bombami - chyba że uda się ich zniechęcić.

Wielki Bill strzyknął śliną.

- Powiedz tylko, gdzie się ustawić.

- Słuchajcie no - wtrącił Przygięty Mick, a minę miał wybitnie nieszczęśliwą. - Dlaczego po prostu nie skręcimy w las, w kępę jakichś krzaków? Przeleci taki ze dwa razy i da spokój.

No i było jasne, czemu Mick jest nieszczęśliwy. Ciągłe grał chojraka i pierwszy rwał się do rozróby, a teraz coś go ni stąd, ni zowąd napadło, żeby odezwać się jako głos rozsądku, znaczy ten, co namawia do odpuszczenia draki. Gdyby na farmie zrobił coś takiego, wszędzie w okolicy od razu by się rozeszło, że mięczak.

Sal odchrząknął śmieiej.

- Nie można zaprzeczyć. W twoich słowach kryje się niejaka mądrość.

- Mądrale, co tak gadają, to nie przypadkiem zawsze jakieś gołodupce - sprzeciwił się Kurczak. - My skręcimy i przycupniemy, tamci za nami polecą i postrzelają, a nasze złoto tymczasem pójdzie w cholerę. - Zerknął na Micka z tym wyrazem twarzy Mc Andrewsów, jak wtedy, gdy liczyli swoje krowy, z góry wiedząc, że jest ich o tuzin za mało. - Nie ma czasu. Parę serii powinno zniechęcić lotnika. On ruszy swoją drogą, my swoją.

- Zaraz wróci po raz trzeci - zauważył Myszak. - Może by tak zająć jakieś stanowiska?

Lloyd wskazał szczyt niedalekiego pagórka, wokół którego korony drzew nie formowały tak szczelnej zasłony. Jeżeli skądś mieliśmy dać latającemu natrętowi do myślenia, najlepiej właśnie stamtąd.

- Zaczekam tu na was - zaoferowałem się Lloydowi. - Mogę popilnować gratów.

Stary nie był w miłosiernym nastroju, bo obrzucił mnie chłodnym spojrzeniem.

- Bierz naszego nowego przyjaciela i ruszaj. Do nadstawiania tyłka wszyscy, do podziału złota wszyscy, jasne?

Szybkośmy z Mickiem skinęli głowami, na wszelki wypadek po kilka razy.

Za to Snowy ani drgnął. Stał nieruchomo, w typowej dla siebie pozie, i jakby węszył. Powiedział coś po swojemu do Lloyd'a, ale tak szybko, że nie zrozumiałem.

- Krokodyl? - zdziwił się Lloyd.

Snowy się poprawił. Wyglądał na nielecho zdenerwowanego.

- Latający krokodyl? Skoro tak mówisz. Jakiś, znaczy, wyjątkowo brzydki musi być ten aeroplan.

Czarny pokręcił głową i wskazał na niebo. Lloyd jednak nie słuchał dłużej, ruszył na górkę. My posłusznie za nim.

- Tarasque! - wrzasnął Sal, ale nikt zanadto nie zwrócił na niego uwagi.

Tubylcy zwykle sporo krzyczeli, kiedy przyszło co do czego, lecz nam nie uchodziło. Choć właściwie to było przygnębiające uczucie, siedzieć tak na pagórku, w znacznej części świetnie widocznym z powietrza, i czekać, aż nadleci nasz duży skrzydlaty problem. Na wszelki wypadek zdjąłem z pleców zbiornik, bo świetnie wiedziałem, co spotkało paru takich, co akurat zaliczyli trafienie w mieszankę. Oparłem enfielada o udo i tak sobie uspokajająco zacisnąłem na nim palce.

Chłopaki też już się naszykowały. Myszak wypatrywał na niebie nadlatującego wroga, a pozostali ustawili się w rzadkiej tyralierze z uniesionymi karabinami. Marvin opuścił grubą lufę lewisa na ramię Wielkiego Billa. Lloyd zdążył mnie jeszcze przywołać i syknąć w ucho, że mam pilnować Sala, gdy w zasięgu wzroku pojawił się koszmar.

Wydał mi się większy, niż pamiętałem z poprzedniego razu, i mimo wszystko inny. Dwumotorowce Boszów były raczej szaroczarne, kanciaste i dwupłatowe. Ten wyglądał na bardziej okazały i miał tylko jeden płąt, kształtem przypominający skrzydło ptaka albo prędziej nietoperza. No i nie pomalowali go na czarno, ale czerwono-złoto - tu i ówdzie farba połyskiwała na obłościach. Bosze zrezygnowali ze zwyczajnego kamuflażu i na kadłubie zamocowali dwa wyraźnie wystające rogi, a sam przód tak przerobili, że sprawiał wrażenie rozdziawionej paszczy jakiegoś stwora z wielkimi zębami.

Od tego gapienia się w słońce łyzy znów nabiegły mi do oczu, a wokół aeroplanu pojawiła się lśniąca poświata, wiecie, trochę podobna do eukaliptusowej mgiełki nad Górami Błękitnymi, ale jakby rozświetlona od środka. Zaraza z tym nietoperzem! Jakbym wiedział, że bestia okaże się tak dokuczliwa, ani palcem bym jej nie tknął, a jeszcze bagnetem gałęzie odgarnął, żeby jak najszybciej sobie ode mnie poleciała.

Na wszelki wypadek pochyliłem się, niby to zajęty celowaniem. Nie chciałem, żeby kumple zrozumieli, jak bardzo mi tamten nietoperz zaszkodził. Zresztą i tak nieprzesadnie wiele widziałem.

Oczywiście miałem rację, że Bosze prędko nas zobaczą na tym niemal голуśkim pagórku. Aeroplan pochylił się w naszym kierunku i wydał ryk. Tak się im do nas spieszyło, że nic a nic nie oszczędzali silników. Zaraz potem otworzyli ogień z tego, co mieli na pokładzie, i ku mojemu zdziwieniu był to jakiś miotacz płomieni. Plunęli w locie chmurą ognia, raz i drugi, ale za krótko i

żadna z wielkich eksplozji nas nie sięgnęła. Całość jednak zrobiła wrażenie. Lloyd opuścił w zdumieniu enfielda, Snowy krzyknął coś po swojemu i wykonał serię szybkich gestów, które musiały być odczynianiem uroku.

Potrząsnąłem głową. Płomienie z nieba. Bosze to po prostu bestie.

Ale w sumie, jeśli ktoś raz widział porządny pożar buszu, to na dłużej nie przejmie się byle fajerwerkiem. Jeszcze aeroplan dobrze nie wyrównał po oddaniu salwy, a już nasi się do niego dobrali. Leciał jak po sznurku, niczym najedzony albatros. Na polowaniach się zwykle do takich nie strzela, bo niehonorowo ubijać, gdy się zwierzak tak sam podkłada. Tyle że tutaj nie byliśmy na polowaniu.

Chłopaki wpompowali w niego dobre kilka tuzinów kul - Lloyd, Mick i młodzi mniej, a Marvin w duecie z Wielkim Billem więcej. Gruby świetnie się sprawił, trzeba przyznać. Strzelał jak księgowy, krótkimi, kontrolowanymi seriami, biorąc minimalne poprawki i pewnie ściągając spust. Wielki Bill zaś stał bez ruchu, z gorącą lufą lewisa przyciśniętą do ramienia, w pozycji, jaką podejrziałem kiedyś u takich starożytnych golasów na jednej wystawie w Paryżu. Wyglądał imponująco.

Bosze nie mieli wyjścia, wymiękli. Zobaczyłem, jak od kadłuba odrywają się kawałki, a ze skrzydeł tryska coś na boki i opada w las. Nic dziwnego, jeden przemądrzały kapral mi tłumaczył, że aeroplany mogą wozić w skrzydłach paliwo. Potem znów tak osobliwie zaryczał silnik, gdy Jerry zmieniali zdanie i zbierali się do poszukiwania mniej kolczastego celu. Chybaśmy im coś uszkodzili, bo nigdy nie słyszałem takiego silnika. Jego łoskot wręcz pulsował bólem.

- No i po kłopocie - odezwał się Przygięty Mick, wciskając łądkę naboju w enfielda. Wzrokiem odprowadził oddalający się aeroplan. - Na drugi raz się zastanowię, czy zadzierać z chłopakami ze Speewah.

- Co? - Wielki Bill próbował przetkać sobie ucho. - Co mówiłeś?

- Nieważne. - Mick machnął ręką. Obejrzał się na Snowy'ego, który wciąż z napięciem wpatrywał się w niebo. - No jak, umie się strzelać, nie?

Tropiciel nie odpowiedział. Ożywił się natomiast Salamander.

- Przegналиście Tarasque'a, i to kiedy szybował we własnej domenie.

Marvin usiadł ciężko obok niego.

- Żadna tam wielka sztuka - pochwalił się niby mimochodem. - Mój kuzyn pod Morlancourt zdjął z nieba Czerwonego Barona. A jego szwagier twierdził, że załatwił Boelckego. Co mi tam byle Tarasque. Jak się tu takim czymś chełpić?

Słuchałem ich i czułem, że po plecach rozchodzi mi się przyjemne ciepło, zupełnie jak po bimbrze Wuja Chucka. Ostatecznie popędziliśmy Boszom kota i nawet paplanina Marvina wyjątkowo

nie razila. Chcialem cos dorzucic od siebie, ale wtedy wlasnie otworzyl paszcze Lloyd. I od razu popsul cala zabawe.

- Ty durniu! - napadl na biednego Marvina. - Ty ofermo nieszczesna!

Grubego - a samozadowolenie wciaz prawie wylewalo mu sie uszami - ze zdumienia wrylo w murawe. Ja zaś przezornie zerknalem na mlodych McAndrewsów, bo sam nijak nie potrafilem rozgryzc, o co Lloydowi chodzi. Faktycznie wygladali na speszonych, choc zwykle nie przejmowali sie jego polajankami, i zaden nie kwapil sie wziac biednego Marvina w obrone.

- Co ty, Lloyd? - wyrwal sie za to Przygiety Mick. - Przeciez...

Stary koniokrad obroutil sie ku niemu z szybkością atakujacego węża. Wyraz twarzy, o ile moglem ocenic przez lzy, tez mial mocno jadowity.

- A ty co? - wysyczal przez zęby. - Jemu - pogardliwie kiwnal na Marvina - wlasciwie sie nie dziwie, miastowy, gównu rozumie. Ale ty sie powinienes poznac, a nie szarzowac na oslep jak razorback!

Mick wciagnal glowe w ramiona. Przypominal teraz zbesztanego uczniaka w szkole.

- Na kim? - wybakal po chwili.

Stary poczerwienial na twarzy i zaczal sapać ze złości. Powiadam wam, przyjaciele i sasiedzi, wygladal jak imbryk nad ogniskiem. I tylko patrzyłem, czy mu para z dziobka nie pojdzie.

- Tym tam Tasaku - ostatnie slowo wyplul z obrzydzeniem. - Trzeba chyba byc slępy, zeby dac tak sie wpuścić. - I tutaj lypnal na mnie jakoś znacząco, jakby bardzo dobrze wiedzial, ze wciaz mi sie emi w oczach. - Przeciez to wcale nie byl aeroplan Boszów.

- A co? - zdumial sie Marvin.

Lloyd wyprostowal koscisty paluch, wymierzyl go oskarzycielsko w Sala i rzucil rozkazujaco:

- No!

Ale nasz nowy towarzysz skulil sie tylko w sobie i zaczal dygotać. Powiadam wam, sasiedzi, tak przerazonego chlopiny dawno nie widzialem. Ani slowa nie umial z siebie wykrztusic.

- Smok - odezwal sie za to mlodszy z McAndrewsów.

ROZDZIAŁ SZÓSTY



Popatrzyliśmy po sobie: ja, Mick i Bill, bo Marvin gapił się wytrzeszczonymi oczami na Kurczaka, zupełnie jakby mu się tuż przed nosem przemienił ze swej pocziwej Kurzęcej osoby co najmniej w tasmańskiego tygrysa. Za to Snowy jakoś dziwnie unikał naszego wzroku, podobnie jak Myszak, który z uwagą kontemplował zdarte czubki swoich kamaszy. W miarę jak cisza się przedłużała, ogarniało mnie coraz głębsze przekonanie, że tym razem Kurczak wciągnął nas w takie bagno, że się z niego o własnych siłach nie wydobędziemy. Cholera, trzeba było plunąć na

złoto, pewnie je sobie od początku do końca wymyślił. Przecież znałem go dobrze, powinienem być mądrzejszy. Zwłaszcza że wciąż miałem na gębie blizny po oparzeniach - pamiątkę po jednym z najwcześniejszych wyczynów Kurczaka, mianowicie naszej nieocenionej wyprawie na poszukiwanie bungarry czy jak to tam wedle niego tę jaszczurę zwali.

Co, nie mówiłem wam o naszej pogoni za bungarrą?

Ano wybraliśmy się wtedy we czterech: ja, Myszak, Kurczak i jeszcze taki jeden pętaś, Jerry go wołali. Też nasz kuzyn, ale z tych dalszych, i na dodatek miastowy, jego ojciec był domokrążcą i tak go czasami podrzucał na farmę. A sam Kurczak nie mógł mieć więcej niż siedem-osiem lat. Dotąd zachodzę w głowę, jak nas zdołał wszystkich zbajerować, knypek jeden, ale tak dużo gadał o tej bungarze, tak się ekscytował, że to największy jaszczur na świecie, długi na ponad dwadzieścia stóp, ale bardzo rzadki i nikt go od dawna nie widział, tylko tu czy tam odkrywano ślady lub kości. Więc niby będzie wielki zaszczyt znaleźć go i przywrócić - do tej pory pamiętam, jak to powiedział - dla nauki i ludzkości. A owo przywrócenie miało się odbyć na południowym skraju bydłęcego pastwiska, bo tam Kurczak podobno wygrzebał w ziemi jakieś kości. Potem się okazało, że natrafił na resztki mułów, które dwa lata wcześniej padły na jakąś zarazę, ale sporo czasu musiało minąć, zanim się w tym zorientowali.

Z początku wszystko wydawało się łatwe. Wzięliśmy osła Wujka Chucka, załadowaliśmy na niego bukłaki z wodą i wyżerkę. Sami szliśmy piechotą. Słońce przyżegało jak pogrzebacz, powiadam wam, czułem, jak skóra na karku kurczy mi się i pęka od żaru. Podeszwy butów paliły w stopy. Najgorętsze lato od dwudziestu lat.

Naprawdę gorąco zrobiło się jednak dopiero wtedy, kiedy osioł, chyba znużony upałem, wyrwał się Myszakowi i dał w długą. Myszak popędził za nim na oślep, a my, jak durni, za nim. Osła oczywiście nie dogoniliśmy, za to zgubiłem kapelusz, koc i torbę. A kiedy wreszcie daliśmy sobie spokój z pościgiem, żaden z nas nie wiedział, gdzie jest. I tak cud boski, żeśmy się sami nie pogubili, bo pewnie by się nasze kości poniewierały gdzieś pod piachem, razem z tą bungarrą, i też by ich nikt nigdy nie odszukał.

Zresztą, co wam będę dalej gadał? Po trzech dniach, ledwo żywych, znaleźli nas stary McAndrews z moim tatkiem, a i to tylko dlatego, że Myszak oprócz osła zwinął Wujowi Chuckowi strzelbę i skrzynkę naboju, i skoro już stało się jasne, że sami z siebie nigdzie nie trafimy, urządził o świecie taką kanonadę, że aniołowie w niebiesiech zasłaniali uszy. Potem poniekąd sam darł się równie głośno, kiedy mu ojciec na gołą dupę wyliczał co jego, że niby jako najstarszy i najmądrzejszy powinien był Kurczaka zawczasu powściągnąć. Mnie też się oberwało, ale lekko - tatko uznał, że tym razem słońko załatwiło za niego sprawę, wtłoczywszy mi przez skórę trochę rozumu do głowy.

Dlatego nie dziwota, że po tamtym poszukiwaniu bungarry tośmy już więcej nie mieli serca do Kurczakowych pomysłów. A jeśli czułem, że znów ogarnia mnie ochota, by go posłuchać - a mówię wam, gadanie to on miał zawsze takie, że gdyby pozwolić mu pokłapać dziobem, wygrałby dla Billy'ego Hughesa referendum poborowe - wystarczyło, żebym się pomacał po tych bliznach na gębie i od razu mi wszelki animusz i chęć przygody mijały.

Na szczęście dokładniusięko w tym momencie odezwał się Marvin i jego zdrowy, prząsny rechot natychmiast przywrócił światu właściwe proporcje.

- Smok? - wykrztusił, bo aż się dławił. - Oj, trzymajcie mnie, ludziska. A czemu nie wiedźma z chatki na kurzej nóżce?

- Bo ona to tam dalej mieszka - wtrącił z zakłopotaniem Sal. - Za tamtymi wzgórzami - machnął ręką w kierunku pagórków, majających niemrawo na zachodzie.

Marvin wybałuszył na niego gały - wyglądał z tym nawet głupiej niż zwykle - po czym popatrzał po nas z nadzieją, jakby wyczekiwał, kto się pierwszy roześmieje. A tu reszcie jakoś nie było do śmiechu.

Grubas przymrużył oczy.

- Nabijacie się ze mnie? - zapytał jeszcze podejrzliwie. - Przecież to był aeroplan.

Właściwie go rozumiałem. Jego rozsądek zaparł się jak muł Wuja Chucka na mostku i ani rusz do przodu czy do tyłu, choć przecież wszyscy widzieliśmy, co widzieliśmy. Znaczy się, jak mówiłem, ja akurat po przygodzie z nietoperzem wciąż widziałem jakby przez mgłę, tyle że nie zamierzałem się przyznać przed pozostałymi. Już lepiej wyjść na durnia niż ślepaka.

- Jaki aeroplan?! - rozdarł się Lloyd. - Widziałeś kiedy taki, co kręci w locie ogonem i macha skrzydłami?

- I zijeje z paszczy ogniem - dorzucił Myszak.

Nie wiem, jak innym, ale mnie się to całkiem podobało. Aż byłem ciekaw, co też taki zwierzak musi mieć w brzuchu. Jakiś wielki zbiornik nafty chyba?

- Smok czy aeroplan - odezwał się nagle Wielki Bill - to bez znaczenia.

- U nas w Speewah komary trafiają się większe - zawtórował mu Przygięty Mick.

- Zresztą liczy się to, że przygrzaliśmy mu w kuper, nie, chłopaki? - dokończył Bill.

- No, jasne, że tak - rozległo się dookoła. Chyba wszyscy poczuli ulgę, bo właściwie kogo to obchodzi, czy intruz zwał się smok, czy Bosz. No i Lloyd przestał się na nas wydzierać.

- Ale on wróci - mruknął po cichu Sal i oczywiście natychmiast zepsuł nam humor.

- Przecież oberwał, sam widziałem - zaniepokoił się Przygięty Mick. - Aż mu coś ze łba odpadło.

- Grzebień - zgodził się nasz nowy towarzysz. - Odstrzeliliście grzebień, ale mu odrośnie.

- Niby jak odrośnie? - oburzył się Mick. - To nie po bożemu.

I dobrze gadał! Wyobraźcie sobie, sąsiedzi, co też by było, gdyby na przykład Boszom zaczęły odrastać nogi, co im je granat urwał. Zupełnie by już człek życia nie miał na tej wojnie.

- Trzeba łeb obciąć, żeby nie odrosło - poinstruował nas tymczasem Sal. - A z grzebieniem to w ogóle był kiepski pomysł, bo Tarasque zawsze się nim bardzo chlubił i koronę na nim nosił...

- Koronę? - wybystrzył się nagle Mick.

Nie uwierzcie, jak byle wzmianka o kosztownościach poprawiała mu rozumienie.

- Właśnie tak. - Sal dał się podpuścić jak dziecko.

- Wielgachną koronę i całą ze złota, a z każdej strony miała rubin jak gołębie jaje i kilka diamentów na dodatek.

Teraz i Wielki Bill spojrzał ciekawiej na Sala, nozdrza mu się rozděły i przez chwilę wyglądał jak pies myśliwski, kiedy zwietrzy trop. Przygięty Mick powiedział nam kiedyś - strasznie mu tamtego wieczoru miejscowa księżycówka zaszkodziła - jak lata temu włóczyli się razem w okolicy Pilbara w poszukiwaniu zarobku i jednego razu przy biwaku Bill wydłubał ze skały trzy diamenty wielkie jak oko wołu. Pił za nie później przez pół roku w Perth, podczas gdy nieszczęsny Mick krążył to tu, to tam i na próżno roztlukł kilofem chyba każdą skałę w promieniu dziesięciu mil od znaleziska.

Ponoć nie odzywali się potem do siebie przez dwa lata.

- A gdzie ją trzyma? - dociekał Mick. - Bo tam u niego na czubie nicem nie widział?

Po minie poznawałem, że całkiem wróciła mu werwa. Pewnie uwierzył, biedny głupek, że tym razem szczęście uśmiechnie się właśnie do niego.

- Koronę mu Jego Wysokość zabrał, kiedy był Tarasque'a pokonał i pod ziemią na wygnaniu uwięził - wyjaśnił nasz nowy kumpel. Po chwili, pod wyczekującym spojrzeniem Micka, dodał: - I ukraść się jej za bardzo nie da, bo jest schowana w skarbcu, w samym królewskim zamku.

- No i dobrze - warknął Lloyd - bo kto za pięcioma papugami goni, temu tylko pierze z kupra w garści zostanie. Najpierw zajmijmy się naszym złotem, a potem pogadamy o diamentach. Choć mnie się wcale nie widzi następne spotkanie z tym... - obrócił się ku Salowi - jakże go zwiecie? Tasakiem?

- Taraskiem - odpowiedział usłużnie tubylec.

Lloyd splunął przez zęby z niechęcią. Zagraniczne udziwnione imiona szczerze go mierzily i skoro już musiał rozmawiać z tubylcami, i tak wszystkich tytułował po swojsku Billem i Jimem. A jeśli czasami nie rozumieli, co chce, zawsze miał jeszcze pięść, żeby im to skrupulatnie wytłumaczyć.

- A pies z nim tańcował - prychnął, najwyraźniej postanowiwszy nie kalać sobie ust cudzoziemszczyzną.

Myszak w zamyśleniu poskrobał się za uchem. Minę miał jakąś taką, że od razu zwietrzyłem niebezpieczeństwo. Na pewno znów coś wymyślił. No, ale on po prostu nie potrafił przestać.

- Mnie bardziej zastanawia - zaczął powoli - jak on tego Tarasque'a pokonał...

Obróciliśmy się ku niemu jak na komendę. Niby głośno tego nie powiedział, ale natychmiast wyczuliśmy, że powątpiewa, czy aby na dobre rozprawimy się z potworem.

- Nie, ja tylko tak na wszelki wypadek - zastrzegł się Myszak. - Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć, nie?

Odpowiedziała mu głucha cisza.

- Właściwie - Sal odchrząknął - Tarasque'a to żona Jego Wysokości, nasza słodka pani Titania poskromiła.

Natenczas wciąż u pustelnika siedziała, co naszemu władcy wielce nie w smak było, ale wiecie, jak jest, nic człek nie poradzi, kiedy baba się uprze...

Zgodnie potaknęliśmy. Nawet Kurczak przywołał na twarz coś na kształt zrozumienia, choć pojęcia nie mam, czemu się mądrzył, bo dopiero zeszłej jesieni porządniej mu się broda puściła. Jeśli miał jakieś doświadczenie, to raczej w uciekaniu przed rozmaślonymi mamzelkami. Powiadam wam, łańcuszek złamanych serc włókł się za nim aż od wybrzeża. Ale trzeba przyznać, że chłopaki się całkiem tatce McAndrewsowi udały - jasne, rosłe i niebieskookie. Zresztą my też nie narzekaliśmy na te amory Myszaka i Kurczaka. Przynajmniej wciąż mieliśmy świeże jajka i masło.

- I tenże pustelnik jej w głowę nakładł - ciągnął tymczasem niezrażony Sal - że na Tarasque'a, co wtedy straszliwie cały kraj pustoszył, ani żelazo, ani czary nie pomogą, jedynie wiara szczerą, pokora i poświęcenie.

- Co?! - wyrwało się Lloydowi.

Reszta tylko gapiała się z wytrzeszczonymi gałami, zbyt zdumiona, by rechotać.

- No właśnie. - Sal westchnął. - Jego Wysokość też prawdziwej wścieklicy dostał, kiedy o tym usłyszał, ale pustelnik tak się prędko uwinął, że było już jakby po wszystkim.

- Znaczy - Marvin poskrobał się po łysiejącej głowie, jak gdyby chciał tym gestem wspomóc myśl, mozolnie przekopującą się przez zwały mózgowia - wy też macie tutaj naszego króla? Jerzego?

Sal odął się na gębie, na skórę wystąpiły mu dziwne, czerwone cętki. Powiadam wam, wyglądał na urażonego.

- Jakiego Jerzego?! - warknął przez zęby. - Jerzy to się tu tylko raz przypałętał i zaraz go Tarasque zeżarł razem ze zbroją, kopia i koniem. Tutaj panuje Jego Najwyższa Magiczna Wysokość Auberon, pan zmierzchu i cieni.

Marvin prychnął pogardliwie, ale błyskawicznie spoważniał pod karcącym spojrzeniem

Lloyda. Mnie też ciarki przeszły po grzbiecie, bo stary koniokrad wyczuwał z daleka kłopoty, zupełnie jak wielbłąd wietrzy wodę na pustyni. A teraz minę miał naprawdę ponurą.

Przeklęty Kurczak, zdążyłem jeszcze pomyśleć, kiedy Lloyd zagadnął Sala ze zwodniczą łagodnością:

- Jakże w końcu było z tym smokiem?

Tubylec skwapliwie powrócił do opowieści, też widać nie miał ochoty do zwady.

- Smoka nikt zabić nie potrafił. Właściwie nikt się za bardzo nie kwapił do tego zadania, bo wedle przepowiedni zabójca Tarasque'a zostanie skalany jego przedśmiertnym oddechem i będzie się męczył, póki nie zgnije za życia...

Przygięty Mick natychmiast dostrzegł okazję, żeby się pochwalić.

- O, z jadowitymi bydlakami to nie jest prosta sprawa - wtrącił z lubością. - Jak mnie raz w Speewah ukąsił wąż morski, jeden z tych mniejszych, musiałem sobie dobry funt mięsa z nogi wykroić. Patrzcie, wciąż mam ślad, chociaż już z pół wieku przeszło. - Zaczął podwijać nogawkę spodni, ale Wielki Bill kolnął go łokciem w bok, żeby nie błaznował.

I słusznie, bo nikt na niego nie zwracał uwagi. Nawet Snowy wgapiał się w Sala jak dingo w zdechłą kurę.

- Co gorsza - ciągnął Sal - smok tak dokazywał, sioła palił, bydło żarł, dziewice porywał, i to nie tylko z gminu, ale i szlachetne panny, że w królestwie jęły się podnosić głosy, jakoby powinnością władcy było poświęcić się w potrzebie za swój lud i własną ręką ubić gadzinę. Z początku nasz dobry pan Auberon kazał wichrzycieli wywieszać...

- Za gadanie? - obruszył się Marvin. - Jakby u nas wieszali tych, co wygadywali na Hughesa, żeby sam sobie w łeb strzelił, zamiast wysyłać naszych chłopaków na wojnę, pół kraju by się wyludniło.

- I u nas też by prędko do tego przyszło - przyznał trochę zawstydzony Sal - bo egzekucja prowodyrów wcale nie uspokoiła nastrojów. Wręcz przeciwnie, rzekłbym, jako że tutaj każdy ma cały tłum kuzynów, wujów i pociotków.

Lloyd wzruszył ramionami. Pewne rzeczy były zrozumiałe same przez się, a krwawa wendeta, szczególnie wobec przedstawicieli prawa, stanowiła jedną z nich.

- Słowem, nasz dobry pan Auberon cierpiał coraz cięższe kłopoty przez obmierzłego Tarasque'a. A na dodatek słodka Titania, najpiękniejsza nasza pani, popadła w moc pustelnika, który kładł jej w głowę, że bestia za przyczyną naszych występków obraca okolicę w pogorzeliisko. Wiedzący szemrali, że ani chybi rzucił na nią jakiś czar - dodał konfidencjonalnym szeptem - bo równie szlachetna pani z własnej woli nigdy nie przychyliłaby ucha przybłędzie bez rodu, znaczenia i majątku. Za nic miała napominania i prośby małżonka, dzień w dzień zachodziła do groty, gdzie pustelnik siedział, a ten tak długo jej truł, tak długo głądził, aż uroiła sobie, że to właśnie jej pisane

Tarasque'a pokonać.

- Babie? - Marvin się zaśmiał.

Myszak i Kurczak posłali mu przeciągłe spojrzenie i tak jakoś posepnieli.

- Ty nie znać jeszcze mamuśka McAndrews - odezwał się znieścaka Snowy i, o dziwo, dało się go całkiem dobrze zrozumieć. - Ale ty poznać. I ty wtedy żałować, że ty poznać.

Kiedy chropowaty głos czarnego umilkł, grubas otrząsnął się, jakby oblano go miską pomyj, lecz wyraźnie nie pojął przestrogi. Nic dziwnego. Jeśli ktoś nie widział, jak mamuśka McAndrews wyganiała witkami krokodylami różańcowe z zakola rzeki, gdzie zwykły się bawić jej pociechy, ani się domyślał, czego potrafi dokonać jedna rozjuszona baba. Ja widziałem - pamiętam nawet, że najbardziej opieszalemu, takiemu młodemu wypierdkowi, co wyrósł ledwo na trzy stopy, zawiązała nos z ogonem na supeł i wrzuciła go do zagrody dla bydła. Tak, mamuśka była baba z piekła rodem i strasznie się wówczas wkurzyła.

No, ale później już żaden jaszczur nie próbował podkraść gumowych kaczuszek, jakeśmy kąpali Kurczaka.

- I tak pewnego dnia słodka nasza pani Titania wyruszyła o świcie z pałacu, boso i z rozpuszczonymi włosami. Najpierw udała się do pustelnika, który sprawował nad nią osobliwe gusła, w wodzie ją obmywał, olejami mazał i coś tam po swojemu mamrolił. Wszystko oczywiście w tajemnicy, bo choć nasz dobry pan Auberon wielce ceni małżonkę, przecież nie pozwoliliby jej wystawiać się na pośmiewisko. Ale Auberon ani się domyślał, podobnie jak reszta dworu, a przed wiedzącymi całe przedsięwzięcie jakoby osłoniła magia pustelnika. Za jej też pomocą słodka pani Titania Tarasque'a odnalazła, akuratnie uctował na końskim ścierwie, bo jeźdźca, jednego z myśliwych, co ich dobry pan Auberon wyprawił na potwora, pochłonął na samym początku. Kiedy zobaczył królową, nadał się w sobie, ogniem szczerym z nozdrzy buchnął i byłby ją pewnie w jednej chwili spopielił, jak się już przydarzyło licznym niewiastom i zacnym mężom wcześniej, gdyby nie rósł tam krzak różany, pokryty białym kwieciem. Słodka pani Titania zerwała z krzewu dwie witki i uczyniła z nich znak, ot, taki - Sal z przejściem skrzyżował wskazujące palce. - A kiedy potwór straszliwy zoczył ów znak, natychmiast zatrzymał się jak wryty. Wówczas słodka pani skropiła go cudowną wodą z flaszeczki, którą jej podarował pustelnik, a ledwo pierwsze krople spadły na smoczą skórę, wygasł ogień, który dotąd gorzał w jego gardle, sam zaś potwór przypadł do stóp królowej, liząc je niczym podwórzowy kundel.

- A co to za woda była? - zainteresowałem się.

Bo widzicie, sąsiedzi, jeszcze takiej wody nie widział, coby parę jej kropli zdusiło pożar.

Inni jednak nie doceniali podobnych niuansów i w krótkich żołnierskich słowach kazali mi się zamknąć. Zupełnie jakby nie rozumieli, że w wypadku kolejnego spotkania z Taraskiem taka woda

może się nam bardziej przydać niż opowieść o losach jakiejś miejscowej paniusi.

Bo wiecie, wcale mi się nie podobał ten Tarasque. Ja to całkiem lubię, jak się porządnie hajcuje, ale tylko wtedy, gdy sam podpalam.

- Królowa pochyliła się nad nim i ostrym kłem jadowym bestii obcięła pukiel włosów, a włosy nasza słodka pani Titania ma jasne jakoby światło księżycy i wijące się niczym pędy powoju... - Sal rozmarzył się nagle, aż Przygięty Mick musiał go szturchnąć w bok, bośmy byli ciekawi, jak się to wszystko kończy. - No, i zamotała ten pukiel potworowi wokół szyi, a potem, potulnego niczym baranka, poprowadziła go na zamek. Tarasque wciąż był tak otumaniony, może po tej wodzie pustelnika, że ani sapnął, kiedy go dobry pan Auberon pętał czarem snu. Uśpionego cztery tuziny sług zaniósł wysoko w góry, z dala od ludzkich siedzib. Tam go nasz mądry władca skałą potężną przywalił i ukrył przed oczami swych poddanych, aby nikt głupi i niebacznym na niebezpieczeństwo nie zakłócił jego odosobnienia.

- Jak się da coś schować, to się da i znaleźć - wtrącił sentencjonalnie Marvin.

Nikt nawet nie raczył tego skomentować. Po ostatnim starciu nie trzeba nam było tłumaczyć, że gdziekolwiek się dotąd ten Tarasque krył, zdążył już wyleźć na boże światło, a na dodatek wkurzony jak trza.

Nic dziwnego zresztą. Kurczak też nie lubił, jak go ojciec dla ukrócenia wiercidupstwa zamykał w piwnicy.

- I długo był z Taraskiem spokój - dokończył Sal. - A wszystko to dzięki naszej słodkiej pani Titanii.

Trochę jeszcze milczeliśmy, pochłonięci nurtem opowieści.

- Tylko potem już panu Auberonowi nijak było wygnać tego pustelnika - Sal skrzywił się, jakby poczuł w zębach coś bardzo paskudnego, na ten przykład biszkopty, co je tutaj paniusie z zacięciem wypiekały na melasie, a których, powiadam wam, w żaden sposób nie dawało się rozgryźć - skoro z jego pomocą nasza słodka pani poskromiła potwora...

- To może by się spiknęli znowu - poddał niecierpliwie Przygięty Mick, który, owszem, zawsze chętnie wysłuchał o babach, zwłaszcza co ładniejszych, ale nie zamierzał marnować czasu na pogaduszki o obcych dziadygach - i go gdzieś zamknęli?

Tubylec posłał mu tak oburzone spojrzenie, jakby mu ktoś kazał wyczałować samego Kaisera.

- Po tamtej awanturze z Taraskiem pani Titania prędko ochłonęła spod czaru pustelnika i poprzysięgła mężowi, że nigdy więcej nie będzie się zadawać z tym obmierzłym staruchem. Zresztą - dorzucił po chwili - od tamtego czasu pustelnik posunął się w latach i moc w nim osłabła. Już nawet zanadto rusalek nie wyklina, że goło pod księżycem łażą, ani wiedzącym źródeł nie mąci. Siedzi podobno tam u siebie przy grocie, obok kamienia, co się do niego łańcuchem przykuł, i mamrocze coś

pod nosem. Tak mi się zdaje, że może tęskni za podobnymi do siebie - łypnął na nas jakoś tak badawczo - i dlatego mu się rozum pomieszał.

- O, to zupełnie jak z dzikimi - wypalił Marvin, który jak zwykle postanowił dorzucić coś od siebie. - Jak u nas jednego takiego czarnego zamknęliśmy za złodziejstwo...

Kurczak i Myszak znów posłali mu spojrzenie, tym razem takie, że wręcz się ugiął pod ich wzrokiem. Za to Snowy przebierał włochatymi paluchami w pyle, na pozór całkowicie skoncentrowany na tej czynności. Jednak my, którzy znaliśmy go lepiej, wiedzieliśmy, że nic nie uszło jego uwagi i jeśli biednemu głupiemu Marvinowi znów wypśnie się jedno słowo za dużo, czarny niebawem wymierzy mu dotkliwą nauczkę. Z jednej strony właściwie nic nie miałem przeciwko temu, miastowych trzeba tępić. A z drugiej - Marvin całkiem gracko się spisał, kiedy przyszło co do czego z tym Taraskiem, więc wołałem, żeby Snowy jeszcze trochę poczekał.

- No dobrze - przemówił wreszcie Lloyd. - Ale niby czemu on, ten Tasak, czeplił się właśnie nas?

- Nie, on wcale was jakoś w szczególności nie napadł - obruszył się Sal. - Po prostu za złotem idzie, a wy mu się dodatkowo napatoczyliście.

Atmosfera w jednej chwili stężała.

- Co? - wyrwał się przed wszystkimi Przygięty Mick, a dolna warga zaczęła mu latać, co działo się tylko w momentach wielkiego zdenerwowania. - Za czym idzie?

- Za złotem - powtórzył cierpliwie tubylec. - Przecież to smok - dodał ze wzruszeniem ramion.

- Ale to nasze złoto. - Mick uniósł wzrok, jakby wzywając niebios na świadka tej jawnej niesprawiedliwości.

- Na razie - Lloyd postanowił wydać z siebie głos rozsądku - to jeszcze złoto niczyje albo raczej tych Jerrych, co je tutaj ściągnęli. I jeśli dalej będziemy po próżnicy gadać, pewnie tak zostanie.

Zaraz poderwało nas na nogi: Lloyd jak nikt inny potrafił psuć wszelką zabawę. Jednak tym razem Sal zdołał go przebić, bo naraz odezwał się tym swoim miaukliwym głosikiem:

- A dlaczego nazywacie ich Jerry?

Popatrzcie, tyle czasu mozoliłem się na tej wojnie, a nie przyszło mi do głowy równie głupie pytanie. Nawet Kurczak, zwykle wścibski jak sroka, tym razem nie wrywał się z odpowiedzią.

- Bo tak się zachowują - zlitował się w końcu nad tubylcem Przygięty Mick.

- Słuchajcie - odezwał się Myszak tonem, przysiągłbym, pełnym rozwagi - nie szkoda wam czasu na tę paplaninę? W domu przy kuflu sobie pogadacie, nie teraz, gdy nam złoto ucieka.

Lloyd najpierw chrząknął karcąco, ale szybko się zreflektował.

- Zbierajcie się - burknął. Sam wstał dla przykładu i zarzucił enfielda na ramię. - A ty -

wskazał na Sala - prowadź. I lepiej w tę stronę, co trzeba.

ROZDZIAŁ SIÓDMY



No i znowu zrobiliśmy kawał drogi, tym razem spokojniejszym tempem, żeby nam się przewodnik nie zmęczył. Ślady wozu kluczyły po lesie z jakąś, przysięgłbym, bezczelną złośliwością, przez bujne zagajniki, piaszczyste przesieki, zarośnięte krzakami wykroty. Parę razy spadały na las pociski artylerii, a nawet niewielkie nawały rujnujące połacie starego boru. Jedna z nich spadła bezpośrednio przed nami, zupełnie odmieniła teren w promieniu kilkuset jardów i

zamazała ślady. Sal od razu się zgubił i kręcił w kółko po gęsto naćkanych lejach, próbując zgadnąć, dokąd dalej. Szczęściem Snowy okazał się niezawodny jak zwykle. Zniknął, żeby się zaraz pojawić i wskazać właściwy kierunek. Sal skwapliwie skorzystał z pomocy i jak najszybciej poprowadził nas naprzód. Chyba się obawiał, że możemy uznać jego osobę za zbędną.

W miarę jak pokonywaliśmy kolejne mile, namacalna niemal wizja góry złotych sztabek bladła. Nawet Mick przygasł i przestał zrzędzić, co było widomym znakiem, że się martwi. Sal chętnie by go zastąpił w jęczeniu, ale jednak czuł mores i nie odważył się pisnąć. Wszyscyśmy się jakoś zacięli, jak na nieudanym polowaniu, gdy się człowiek nie wiadomo czego spodziewa, stara z całych sił, a tu mu ledwie wyliniały królik wyłazi przed lufę.

I tak byśmy jak nic doszli do Alice Springs, gdyby nie pewna długa polana, co nam się trafiła po drodze. Słońce na niej paliło prawie jak w domu, więc w którymś momencie zgodnie sięgnęliśmy po manierki - puste, niestety. Jeden tylko Marvin się napił, bo wyfasował dwie, i tę drugą wychylił do dna na naszych oczach, zanim pokazał, że przecież nic w niej nie ma.

- Dobra. - Lloyd zamknął swoją i odwiesił na pas. - Znajdziemy wodę i odpoczniemy chwilę.

- Ale... - Mick wskazał na ślady, po których maszerowaliśmy.

- Idź, idź - zdopingował go spokojnie Lloyd. - Maszeruj. Padniesz za milę, góra dwie. A my, jak już się napijemy i odpoczniemy, będziemy wiedzieć, gdzie cię znaleźć.

Kurczak otarł pot z czoła i rozejrzał się.

- Gdzie chcesz szukać wody? Albo odpoczywać? Tak tu niby zielono, a całkiem jak w skrubie. Nie spotkaliśmy choćby marnego potoku czy stawu. Może ich tutaj po prostu nie ma?

- Snowy nam pokaże sztuczkę - zaproponował Myszak. - Oni takie coś umieją, że gdy potrzebują wody, nawet na pustyni, idą w odpowiednie miejsce, kopią dziurę i woda zjawia się na jej dnie. Sam widziałem.

Spojrzeliliśmy na Snowy'ego, który najpierw wybałuszył na nas oczy, a potem pokręcił głową.

- Na pustyni woda być tylko tam, gdzie woda być. Tu woda być wszędzie wokół, ale nie tam, gdzie znaleźć.

Lloyd się zafrasował.

- Chłopcze, boję się myśleć, dokąd zaprowadzą nas kiedyś te twoje pomysły - mruknął do starszego z McAndrewsów. - Mój plan jest prostszy. Sal nam powie, gdzie można odpocząć, dla swojego własnego dobra. Widzieliśmy uchodźców, więc ta okolica nie jest niecywilizowaną białą plamą pośrodku mapy.

Nasz przewodnik wyraźnie nie był zachwycony.

- Sądziłem, że nie zamierzacie się spoufalać z tym motłochem. Jak mnie złapią, wpadnę w poważne tarapaty, sami widzieliście.

- Sal - Lloyd klepnął go w ramię - nikt cię nie złapie. Jesteś teraz naszym towarzyszem - skłamał tak gładko, że właściwie się nie zorientowałem - i krzywda wyrządzona tobie to krzywda wyrządzona nam. Rozumiesz?

Tubylec zmarszczył brwi, tak że sprawiał wrażenie bardziej zamyślonego niż zadowolonego.

- Rozumiem, że nie mam wyjścia - odpowiedział przytomnie.

- To też - przytaknął Lloyd z prostoduszną szczerością. - Ale jesteś na razie bezpieczny.

- Więc na razie mogę was poprowadzić do źródła.

- Wystarczy. Na razie. Gdzie to źródło?

- Najbliższe? W wiosce drwali i węglarzy. Ze dwa stajania w lewo.

- Ktoś tam mieszka?

- Drwale i węglarze. O ile Tarasque ich nie wypłoszył.

Lloyd starannie zmierzył Sala wzrokiem: wyglądał jak wtedy, gdy na palcach liczył owce do upieczenia na piknik.

- Dobra, prowadź. Krótki popas, bo język wysechł mi na wiór, a potem w drogę.

Nie żebym się szczególnie palił do spotkania z wieśniakami, tymi co poprzednio czy ich ziomkami, ale woda i odpoczynek sprawiedliwie się nam należały. Poza tym prawdziwy żołnierz z chęcią odpocznie w szczerym polu, lecz z jeszcze większą w suchym zadaszonym pomieszczeniu. Zwłaszcza gdy istniała szansa, że będzie tam co wypić i przekąsić. Nic zatem dziwnego, że maszerowaliśmy za Salem, wyciągając szyje jak konie do obroku. Towarzyszyło nam przy tym ciągle gderanie Micka, który za dużo się chyba napatrzył w Egipcie na poganiaczy wielbłądów.

- Szybciej. No szybciej - perorował. - W tym tempie nie zdołamy dotrzeć do wody, nie mówiąc o dogonieniu złota. Myszak, mocniej. Większe kroki. Kurczak, jesteś, widzę, wolniejszy od brata, ale nie wstydź się, u młodszych to normalne...

Wszystkich nas tak obskakiwał, aż zrobiło się to doprawdy irytujące. Na szczęście zagapił się i za którąś rundą spróbował przywołać do porządku Lloyd.

Natychmiast pojął, co zrobił, i resztę drogi odbyliśmy w milczeniu.

Mila okazała się raczej z tych dłuższych albo pragnienie tak na mnie działało. Kiedy wreszcie zobaczyłem niedużą polanę, na której wyrastały liczne dachy drewnianych domostw, miałem już solidnie dość. Widok nie rokował dobrze. Dachy były słomiane, a domy z bali, co nawet tu, u żabojadów, rzadko się spotykało. Osiedle otaczał pokaźny ostrokół z grubych pali. U jego podstawy ciągnął się wyschnięty rów melioracyjny, pewnie do obrony - właściwie nie wiadomo po co, bo bramę otwarto na roścież, a na wypadek gdyby ktoś ją przeoczył, po prawej w ostrokole ziała dziura tak wielka, że obok siebie mogłyby przejechać z zapasem dwa pociągi. Co ciekawe, wyglądała na

wygrzyzoną. Na dodatek nad tym wszystkim wisiał welon gęstego dymu, z lewej zaś zza drzew przebijały żywe wysokie płomienie. Cokolwiek się tam paliło, było z drewna, lecz wcale nie świeżego.

Ledwie podeszliśmy bliżej, całkiem straciliśmy zainteresowanie. Wyraźnie dochodziły nas pełne pretensji pokrzykiwania, łomoty typowe dla plądrowania, wrzaski drobiu i jakichś niezidentyfikowanych zwierząt. Ktoś się tam w środku niezłe bawił. I nie był sam, bo za którymś razem krzyk złości podjęło więcej gardeł.

Lloyd zrobił kilka szybkich kroków i złapał Sala za ramię. Gdy się zatrzymali, my natychmiast też.

- Dobra, zmieniłem zdanie - oświadczył Lloyd. - Poszukajmy czegoś bardziej odludnego.

Sal popatrzył na niego oskarżycielsko, ale nic nie powiedział. W końcu kiwnął głową, rozejrzał się i wskazał nowy kierunek prosto w zarośla. Zanim jednak zdążyliśmy zrobić chociaż krok, w prześwicie bramy ktoś się pojawił. Wysoka postać - raczej w cywilu, chociaż ubranie na niej połyskiwało metalem. Nieznajomy trzymał w ręku coś, co najpierw wziąłem za stary model mausera, taki sam, jak te, co je nam przynosili na Synaju atakujący Abdula, zanim znów brali nogi za pas. Zrozumiałbym swoją pomyłkę wcześniej, tyle że nie miałem pojęcia, po co komuś pięciostopowa dzida.

Tak czy owak tajemniczy wartownik, skoro tylko nas zobaczył, wrzasnął coś nieprzyjaźnie i zniknął za ostrokołem, ani chybi żeby sprowadzić posiłki. W tych warunkach nasz pierwotny plan wymagał modyfikacji. Raczej niezdrowo odwracać się tyłem do dziury, z której za chwilę nos może wystawić silny liczebnie przeciwnik.

- Gotujcie się! - zakomenderował Lloyd i wszyscyśmy osadzili bagnety na enfieldach i zdjęli bezpieczniki.

Tkwiliśmy w szczerym polu bez osłony, co jednak miało i pewne zalety. To na przykład niezła pozycja, żeby wystrzelać przeciwnika w wąskiej bramie, gdy będzie się próbował przez nią przepchnąć, z konieczności w zwartym szyku.

Ale nikt jakoś nie nadchodził. Wyglądało na to, że wróg nas przejrzał i czeka, co się dalej stanie. Czy może się oddalimy, odwracając do niego plecami. Jużeśmy spotykali naiwniaków, co na coś takiego liczyli, naturalnie bezskutecznie.

- Do przodu, z obu stron pod ostrokół - rzucił sucho Lloyd i sam pobiegł pierwszy, jakby był oficerem.

We łbie mu się chyba jednak przewróciło, tak sobie czasem myślę. Ale po cichu. Zresztą nie było się o co spierać.

Oczywiście Mick skorzystał z okazji, żeby jak zwykle powiedzieć coś, czego nie musiał:

- Nie wleczcie się tak.

Plan wydawał się sprytny, jak większość planów Lloyda. Jeśli z bramy wyszedłby ktokolwiek - sam albo w towarzystwie - źle do nas nastawiony, mogliśmy go dość bezpiecznie potraktować. Znaczący, odstrzelić albo zadźgać, zanimby się spostrzegł. Tyle że nic takiego nie nastąpiło. Czekaliśmy w napięciu z bronią w gotowości z dobry kwadrans, lecz nikt się nie pojawił. Nie wiem, jak inni, ale ja miałem wrażenie, że nasz błyskotliwy plan spełźnie na niczym. Jak większość planów Lloyda.

Tak sobie staliśmy, jeden przez drugiego garbiąc się i wyciągając głowy ku bramie, gdy w oddali rozległ się krzyk. Jakaś kobieta wołała coś niezrozumiale, naprawdę w wielkiej desperacji. Myszak niemal odruchowo spróbował zrobić krok naprzód, lecz Lloyd od razu go złapał za ramię i osadził.

- Dalej sterczymy jak kołki czy idziemy? - Mick przypomniał sobie, że nadal ma język w gębie.

Pewnie przypomniał sobie też, że kobieta ocalona przed niebezpieczeństwem czuje przede wszystkim wdzięczność. Do kogokolwiek.

- Tamten już nie wróci - jęknął Kurczak. - Słyszycie, jest zajęty.

- Stul dziób - wycedził Lloyd.

Musiało minąć jeszcze parę chwil, nim stary koniokrad ostatecznie zrozumiał, że nie wyjdzie na jego. W sumie nie powinniśmy narzekać, zwykle zajmowało mu to więcej czasu. Skinął na nas dłonią i podkraść się do otwartych wierzei.

Wtedy krzyk umilkł.

Wioska za ostrokołem nawet nie wyglądała tak źle jak na zapyziałą dziurę pośrodku lasu. Naoglądałem się w naszych stronach, jak mieszkają niektórzy poszukiwacze złota, i moje wrażenia z ich osad były o wiele gorsze. Większość ich chat po prostu sobie zasłużyła na spalenie, w ogóle nie rozumiem, skąd się brało to powszechne oburzenie po mojej wizycie. Tutaj też wszystko było z drewna, ale zadbane, zręcznie ociosane, a strzechy wysokie i równe. Podmurówki z polnych na oko kamieni, lecz dopasowanych i uczciwie pobielonych. I wszędzie gęsto od chat, przy samym wejściu dwie po lewej, a trzy po prawej. Dalej jeszcze więcej, bo cała ta spora polana była ze szczętem skolonizowana.

Tylko ludzi ani widu, ani słyhu. Nawet tam, gdzie w niebo biły płomienie, nie dostrzegłem żywego ducha. Środkiem osady, od samej bramy, kluczyła wydeptana ścieżka, gdzieniegdzie równa i wzmocniona kamieniami. Tamtędyśmy w końcu poszli, bo ten krzyk wcześniej rozlegał się jakby z głębi wioski.

Podzieliliśmy się na dwie grupy. Lloyd i trzech z jednej strony, a pozostali z drugiej. Jak na wypadek do obcej wioski wydawało mi się to z gruntu niemądre, bo rozdzielanie kupy ludu na dwie

mniejsze jest znakomitą metodą na zebranie manta. Wojna nie ma jednak wiele wspólnego ze zdrowym rozsądkiem.

Dwie chałupy z prawej wyglądały na rozgniecione, zupełnie jakby ktoś opuścił na nie kamień, nieco tylko mniejszy od Ayers Rock. Porozrzucane, rozszczerzone bale ścian i roztarte na klepisku strzechy stanowiły zaledwie początek pasma zniszczeń. Trop wiódł od nich dalej między budynki, prosto do okazałej wyrwy w ostrokole. Zdaje się mieli tu nielichą zabawę z tym, jak mu tam, smokiem.

Ścieżka nieco się poszerzyła, doprowadzając nas do niedużego placu pośrodku, gdzie ostatecznie wyjaśniło się, że osada nie jest opustoszała. Na wprost zobaczyłem jeden długi budynek, solidny, z dachem krytym gontem. Miał na głucho zatrzaśnięte okiennice, a drzwi porządne, dębowe chyba i jak sądzę, mocno podparte od wewnątrz. Oceniłem to, obserwując wysiłki tuzina obszarpańców, którzy ze sporego pnia zrobili sobie taran i zaciekle próbowali te wrota sforsować. Jakeśmy wyszli na placyk i stanęli w ubezpieczeniu, przez moment mogłem napawać się ich widokiem, gdy cofnęli się kilka ładnych kroków, a potem ruszyli z kopyta, by walnąć lekko zaostrzonym czubem w wejście.

Takich cudaków jeszcze nie oglądałem. Jeden w drugiego pstrokaci, poubierani w najrozmaitsze sfatygowane części garderoby, na pierwszy rzut oka przypominali stado papug. Dopiero gdy się człowiek uważniej wpatrzył, docierało do niego, że jednak mają coś wspólnego. Każdy nosił zamotaną na rękawie grubą chustę z czarnej materii i byłem dziwnie pewien, że tylko po nich potrafią odróżnić swoich od obcych. Każdy też miał przy sobie mnóstwo najrozmaitszych ostrzy.

Dużych, małych, szabli, sztyletów, dzid albo długich dzid, względnie bardzo długich dzid. Przy tym wyglądali na takich, co często i chętnie ich używają, odróżnianie swoich od obcych musiało zatem być dla nich bardzo ważne.

Nie przybyliśmy z zaskoczenia. Luźna grupka przebierańców stała nieco bliżej, skupiona wokół przysadzistego mężczyzny w podrapanym acz nadal nieco błyszczącym hełmie. Jeden z nich, wyższy i chudszy, perorował coś do przysadzistego z przejęciem, wskazując w naszą stronę. Gdy nas dojrzał, umilkł i zamarł, jakby się zawstydził, że nas obgadywał, ale potem wyprostował się, wypinając pierś.

Dopiero wtedy dostrzegłem, że te ich kaftany obito niewielkimi płytkami metalu. Co za dziwaczny pomysł, sensu to nie miało, a nijak też nie przydawało urody. Przysadzisty sprawiał wrażenie kogoś ważnego, bo jako jedyny miał na hełmie kolorowy pióropusz, w zamierzeniu pewnie mający go wyróżniać wśród podwładnych, ale teraz zupełnie ginący w pstrokaciźnie. Mężczyzna krzyknął coś gardłowo i chaotyczny szturm natychmiast się skończył. Taran runął na ziemię, a cała

zgraja zgrabnie rozstawiła się w półkole i zaczęła do nas podchodzić.

Przynajmniej to było prawie jak w domu, chociaż tam siły nie rozkładały się zwykle dwudziestu na ośmiu...

Co mieliśmy robić? Też szybko przeszliśmy do rzeczy, rozwinęliśmy się w lewo, w prawo, prawie jak ta cienka czerwona linia, co się nią wyspiarze przy gorzałce raz po raz przechwalają. Tyle że tamci podeszli tak blisko, że wygarnąć do nich specjalnie się już nie opłacało. Może z jedną pospieszną salwą zdołalibyśmy wystrzelić, ale bardziej Panu Bogu w okno niż dla prawdziwego efektu. Szczęściem, sterczące bagnety też dały pstrokatym do myślenia, bo przybliżyli się na parę jardów i ten z piórami dał znak do zatrzymania. Powoli wystąpił przed szereg - nie za daleko, rzekłbym, na praktyczną odległość.

- To miejsce chroni hufiec Tristana - odezwał się głosem nawykłym do wydawania poleceń. - Odejdźcie lub walczcie.

Che, che, myśmy do takich głosów w armii nieźle przywykli, osłuchali się z nimi i traktowali je mniej więcej tak, jak nakazywał rozsądek ochotnika ze starej dobrej Aussie. Niektórych oficerów całkiem to wyprowadzało z równowagi.

- Chroni? - upewnił się Wielki Bill, wskazując bagnetem szturmowany budynek. - Ci tam w środku was napadli?

Przysadzistego wyraźnie ubódł brak szacunku, ale powściągnął gniew.

- Nie wasza to sprawa. Jesteśmy z auksyliów. Lennicy Jego Wysokości Auberona. A wy? Z której roty?

Od razu zgadł, żeśmy żołnierze, bez omyłki. I nic dziwnego, dla jego oczu, przywykłych do pstrokacizny, musieliśmy w naszych khaki wyglądać zupełnie identycznie.

- Z której roty? A nie widać? - Lloyd popatrzył po sobie, jakby cały był wyhaftowany niczym pułkowy sztandar. Potem chwilę jeszcze myślał nad najtrafniejszą odpowiedzią. - Z pieszej.

Przysadzisty znowu się zmarszczył i sądziłem, że nas rozszyfrował. Ale jedynie rzucił coś pod nosem pogardliwie.

- Z chłopskiej? - dodał na głos. - Od Wallensteina? - Bacznie przyjrzał się Lloydowi. - Może tyś sam Wallenstein?

Jednego tylko Lloyd nie cierpiał bardziej niż anonimowości - mianowicie kiedy brali go za kogoś innego.

- Nie - wycedził. - Nie znam człowieka.

Pstrokaci poruszyli się niespokojnie, ale nie spadli na nas. Muszę powiedzieć, że nie spodziewałem się karności po tego rodzaju obdartusach. Przysadzisty tymczasem popatrzył po swoich ludziach, po części zadowolony z tej karności, a po części - zawiedziony. Mniej więcej

wtedy zacząłem wątpić, czy aby ta rozmowa zmierza w dobrą stronę. Rozpiąłem szelki kleifa i powoli opuściłem go na ziemię.

I tak bym sobie z niego nie postrzelał w takim tłumie.

- Ja również nie znam - podjął przysadzisty. - To w końcu człowiek z plebsu. Kiedyś zapalała się tutaj kilku jego maruderów i strasznie się przechwalali, że wyjątkowo bezczelny. Podobno odzywa się nieuprzejmie nawet do pasowanych. To mógłbyś być ty.

Fakt, nie zabrzmiało to grzecznie, ale było całkiem podobne do zagrań kiepskich oficerów. Nieraz ich doświadczyliśmy i sztuka polegała na tym, aby nie dać się wciągnąć w spiralę odzywek, bo oficerowie zawsze w nich wygrywali. Pewnie z tego powodu ich szkolenie było tak długotrwałe.

Jakimś cudem Lloyd sobie o tym przypomniał. Wyprostował się i odetchnął.

- Ja tylko wykonuję rozkazy - rzucił beznamiętnie. To w większości przypadków skutkowało i oficer zniknął jak zmyty. Niestety, nie tym razem.

- Jakie rozkazy? - zainteresował się pstrokaty.

- Za smokiem szliśmy - wtrącił Myszak. Przysadzisty typek pozwolił sobie na lekceważący uśmiech.

- Za smokiem? W dziewięciu? Toście się spóźnili, bo tak się składa, że był tutaj. Ani ja, ani mój hufiec, który jest teraz po okolicy rozpuszczony i daleko liczniejszy niż to co widać, rady byśmy mu nie dali. Ale już żałuję, że w was przy robocie nie zobaczyłem - dodał, krzywiąc się w sarkastycznym uśmiechu. - Byłaby uciecha.

- Myśmymy się na smoka nie zasadzali, panie - włączył się Sal. W głosie pobrzmiewała mu nutka rewerencji, której tak po prawdzie u nas w pułku nigdy, nawet podczas przeglądu, nie słyszałem. - Mieliśmy tylko godzinę tropić, żeby o szkody w majątku i ludziach zadbać. Wybaczcie tedy, hrabio Tristanie.

Przysadzisty zmierzył Sala nieco innym spojrzeniem, niż dotąd raczył nas wszystkich.

- Ty nie jesteś z rotty - zauważył.

- Nasz przewodnik - wyjaśnił Lloyd, nieco zbyt nachalnie jak na mój gust, ale hrabia poczytał to najwyraźniej za gorliwość.

Sal kiwnął głową.

- Bywałem dawniej w Leonais, panie, i widywałem cię na jarmarkach.

Jakiś grymas przeskoczył hrabiemu po twarzy. Tak sobie myślę, zastanawiał się, co zrobić ze świadkiem swojej przeszłej chwały i obecnej mizerności. Chwilę ze sobą walczył, zanim się wreszcie uśmiechnął.

- Piękna była dziedzina - płynął dalej Sal. - Kasztel, tuzin wsi, zacne miasteczka. I ziemia

urodzajna.

Uśmiech hrabiego nieznacznie się poszerzył.

- Może jestem niskiego stanu - przyznał szczerze nasz przewodnik - ale boli mnie taka niesprawiedliwość losu...

Litość mnie po prostu zdjęła, gdy tak słuchałem paplającego Sala i widziałem, jak bardzo Tristan uważa się za kogoś bez porównania lepszego. Idąc przez życie, człowiek cały czas potyka się o takich zadrzynosów, co to zupełnie nie dbają o właściwe słowa, o ile nie wypowiedzieli ich właściwi, najlepiej równi im stanem ludzie. Założyłbym się, że ten tu nie słuchał nawet dokładnie, co się do niego mówi.

- Niesprawiedliwość losu? - wycedził hrabia, znenacka wyrwany z letargu. - To była zbrodnia! Zbrodnia na szlachetnie urodzonym! Czy tak się lennikowi po latach służby okazuje wdzięczność? - Zamachał z oburzeniem rękami, prezentując w tych gestach długo ćwiczoną wprawę. - Odbierając mu wszystko? Czy tak postępuje wart szacunku suweren?

Profesjonalnie się rozindyczył, musiał często korzystać z tej umiejętności. Pozostało nam do zrobienia już tylko jedno.

- Z całą pewnością nie - podpuścił go Lloyd fachowo.

- Oczywiście, że nie! - hrabia wyrzucił to z siebie, udając, że nie słyszał głosu publiki. - Taki był zazdrosny o moją sławę nasz jaśnie miłosierny koronowany. Za grosz w nim powabu i oglądy, a miłości niewiasty też nigdy nie zaznał. Dlatego innym broni rozkoszy, ot, choćby właśnie tymi swoimi sztuczkami.

Staraliśmy się wyglądać na zainteresowanych i chyba nam się udało, bo kontynuował:

- Zatrzasnął mi ścieżki tuż przed nosem, na samych rozstajach, kiedym w rodzinne strony zdążał! O jedną chwilę przed tym, nim z pocztem wyjechałem z tej przeklętej krainy. A doskonale wiedział, że odebrać szlachcicowi jego dziedzinę i uwięzić go na obczyźnie to jak otworzyć mu trzewia i pozwolić umierać w męczarniach.

Wziął głębszy oddech, a jego oczy ciskały błyskawice.

- W istocie uczyniono mi coś o wiele gorszego. Zostałem bowiem sam z garścią sług w miejscu pełnym wrogów, do tego całkowicie zdany na ich łaskę. Owszem, przyjęto mnie w poczet dworu, ale czymże jest życie miękkiego fircyka dla pasowanego? Bez środków i stronników, bez władzy i przyjaciół? Błazna Auberonowego poważano bardziej niżli mnie.

Zacisnął dłoń na szabli przy boku. Stale tak robił, ale teraz aż mu pobielewały kłykcie.

- Co mi zostało? Ruszyłem w końcu w pole, za ostatni grosz ufundowałem nawet hufiec swojego imienia, byle tylko wyrwać się z tego gniazda żmij. Szczęściem w tych stronach pamiętano jeszcze mój rodowy miecz, zatem wielu się do mnie przyłączyło. Łatwiej służyć jako żołnierz niż

jako pośmiewisko. - Powiódł po nas złowrogim wzrokiem, ale się rozczarował: za mądrzy byliśmy na kpiące uśmieszki. - A jakieśmy się dla Jego Wysokości nawalczyli, sam on jeden wie i nie do śmiechu mu, gdy o moim hufcu myśli.

Nie wszystko z tej przemowy zrozumiałem, ale widziałem, że całkiem się przy nas rozkleił. Nawet się trudno dziwić, bo - arogant czy nie - trochęśmy go rozumieli. Jak człowiek wraca ze stadem z męczącego wypasu na farmę po tygodniach towarzystwa tych samych twarzy, chętnie z byle kim, choćby z O'Halleyem, pogada sobie przyjaźnie. Hrabiego raczej nie ulepiono z innej gliny niż pospolitszych śmiertelników, bo tak się zapamiętał w narzekaniach, że zupełnie zapomniał, z jaką hołotą przyszło mu dzielić plac.

- A te walki - Lloyd rozejrzał się po opustoszałej wiosce - ciężkie były?

Hrabia Tristan splunął mu pod nogi. Jak na szlachetnie urodzonego, maniery miał naprawdę kiepskie.

- Ano, tak to sobie Jego Zręczność właśnie umyślił, żeby nie były - rzekł z przekąsem. - Tak okroił dominium, tak przyciął ścieżki, że niemal wszystko co potężne znalazło się na zewnątrz. Tutaj została tylko lokalna hałastra, jakieś chłopstwo i zgnuśniali lennicy o miękkich karkach. Łatwo ich za gardło trzymać i rządzić sobie z kamiennego pałacu pod górą. Na te nieliczne okazje, gdy dzieje się coś poważnego, zawsze taniej posłać najemny hufiec niż zwoływać stronników i przysposabiać drużynę. Wiele razy wyręczaliśmy królewską armię w potyczkach i bitwach, okrywając się nieprzemijającą chwałą.

Mówcie, co chcecie, ale ostatnie słowa zabrzmiały mi nie do końca tak przekonująco, jak sobie hrabia zamierzył.

- Wynagrodzenie, rozumiem, odpowiednie? - zainteresował się ni stąd, ni zowąd Marvin.

Tristan skrzywił się w grymasie, który w towarzystwie równych sobie zapewne chętnie zamieniłby w chrapliwy śmiech.

- Tak daleko wdzięczność Jego Szczodroblewości nie sięga. Ja i mój hufiec sami się utrzymujemy, z tego, co wpadnie nam w ręce. Gdy nakazano chronić, chronimy, lecz poświęcenie szlachetnej krwi musi mieć swoją cenę.

- Jak tutaj?

Hrabia na moment się zmieszał. Uszła z niego część powietrza i zrobił się nieco osowiały.

- Tutaj jest kraina pustoszona przez smoka. Mieszkańcy dawno już uszli. - Uczynił wysiłek, żeby nie spojrzeć w stronę zabarykadowanego domu. - Nie pozwalamy jedynie, aby porzucone dobro się marnowało.

- Zaiste, szlachetny uczynek - ożywił się Mick. Ośmieliło go zapewne, że sam miał podobny system wartości. - Zatem nie zabieramy więcej czasu. Zaczerpniemy wody i już nas nie ma.

Tristan wyprostował się i westchnął, najwyraźniej popadając w humor, w jakim go

spotkaliśmy. Chwila szczerości bezpowrotnie minęła.

- Jak tylko ten, no, glejt pokażecie.

Jednego Lloyd nie wziął pod uwagę. Ludzie tego rodzaju, a tym bardziej hrabiowie, jak nasz szanowny Tristan, wręcz nie cierpią, gdy robi się ich w konia w obecności podkomendnych. Mało kto z szarż potrafi coś takiego przełknąć. Jakiś już tak wymienili uprzejmości i pogadali od serca, nader niepraktycznie byłoby z jakiegoś głupiego powodu zdradzić, że się jedynie udawało. Niestety, Lloyd zwykle właśnie tak głupio kończył.

Zaczął coś dukać, klepać się po kieszeniach niby to w poszukiwaniu papieru, ale z tym wyrazem twarzy, z jakim zawsze przegrywał w pokera. I wystarczyło.

Hrabia Tristan najpierw bezbrzeżnie się zdumiał, później zaś jego zaskoczenie szybko przeszło w urazę.

- Kłamcy - wycedził takim tonem, jakby sam w to nie wierzył.

Zaraz potem błyskawicznie dobył szabli.

Powiem wam, przyjaciele i sąsiedzi, w końcuśmy do nich nie strzelali. Może to trochę głupie, ale przecież choć co raz potykamy się z jakimiś po knajpach, nikt nawet noża nie wyciąga, nie mówiąc o rewolwerze czy gwintówce. Broń zawsze taka sama, jak u przeciwnika, czyli pięści, zęby i kopy, co jasno dowodzi, żeśmy wszakże ludzie cywilizowani, a nie jakieś tam byle czarne dzikusy.

No i pstrokaci, niestety, za blisko podeszli.

Zaczęli nas ciąć i siekać, ale jakoś bez ładu i składu. Najwyraźniej za wiele się nie nawojowali. My, wiadomo, co innego. Nam wystarczyły kolby i bagnety, żeby ich krótko przywitać. Sporo się swego czasu nauczyliśmy od dywizyjnej żandarmerii, gdy parę razy odwiedziła potańcówki, cośmy je sobie na przepustkach urozmaicali mordobiciem. Chłopaki z żandarmerii świetnie radzili sobie naprzeciw najróżniejszych zestawów pałek, noży, butelek i taranów. Nic słabszego od 303 nie robiło na nich wrażenia. Po prostu grzechem było niczego nie podpatrzeć.

Więc jak nas już ci obszarpańcy dopadli, doprawdy nie mieli szans. Pękały im zęby, ręce, zębra. Nic nie pomagały grube kaftany nabite metalem. Byliśmy przy tym jeszcze dodatkowo okrutni, bośmy ich nie ogłuszali i nie zwalali tak po prostu jak bale w drewni, jeden na drugiego, o nie. Tłukliśmy, ile wlezie, ale na koniec każdy jeden dostawał szansę na szybkie przemyślenie swojej sytuacji, a wtedy podawał tyły i wiał jak wiatr, czasem na czworakach. Sami wiecie, że taki wstyd jest niewiele lepszy od śmierci i skutecznie wyłącza człowieka z bitki na dłużej.

Hrabia Tristan wytrzymał do końca, najpierw zagrzewając swoich ludzi do walki, a potem osobiście rzucając się na Lloyda. Ale z tego, co nam naopowiadał, mało się jakoś potwierdziło. Wprawdzie szablę miał ładną, lecz władać nią właściwie nie potrafił, a gdy przyszła chwila prawdy, okazało się, że polerowany hełm zalicza się jednak raczej do ozdobnych niż do mocnych. Dwóch

ostatnich pstrokatyh Myszak ponaglił bagnetem, a oni złapali omdlałego wodza i nie zwlekając, oddalili się między chałupy.

Wtedy dopiero zaczęły się kłopoty.

Z budynku, co go pstrokaci tak zajadle szturmowali, nikt nawet nosa nie wyściubił, to prawda. Ale skoro tylko ucichł brzęk metalu na uciekających, z prawej wynurzyła się kobiecina w zgrzebnej sukni i chuście zarzuconej na głowę. Zatrzymała się ze strachem, kiedy nas zobaczyła, lecz zbyt była czymś przejęta, żeby czmychnąć z powrotem.

- Ratujcie, czcigodni panowie! - zawołała. Podbiegła do nas i muszę powiedzieć, że aż mnie zmroziło, taka była szpetna. Z figury może i nie najbrzydsza, bo mocno i z zapasem zaokrąglona tam, gdzie trzeba, ale na tym się jej zalety kończyły. Buzię bowiem miała płaską i dużą, a sterczał z niej mocno koślawy, spłaszczony nos, co w połączeniu z małymi oczkami robiło piorunujące wrażenie. Odkąd pierwszy raz postawiłem stopę na francuskiej ziemi, zawsze zachowywałem się wobec kobiet z galanterią - trzeba przecież trzymać fason - i nigdy żadnej nie zawiodłem, jeśli się narzucała z mniej lub bardziej wyrafinowanymi dowodami wdzięczności za ocalenie spod jarzma Hunów. Jednak tym razem potrafiłem się zaledwie ulitować nad wyrafinowaną szpetotą tej istoty.

Mick, biedaczyna, był najbliżej. Zatchło go z miejsca, ale jakoś zdołał wykrztusić:

- W czym ci pomóc, dziobaczku?

- Pognaliście tych łotrów, dobrzy panowie. Pomóżcie mi teraz ratować moje skarby, błagam!

To z miejsca poprawiło relacje. Mick odetchnął głębiej.

- Gdzie te skarby?

Kobiecina załamała ręce i uśmiechnęła się nieśmiało, co, niestety, jedynie pogorszyło początkowy efekt.

- Tutaj za rogiem, za domostwem Marcina Węglarza, czcigodny panie. Bestia nas nawiedziła z nieba, co ją nasz miłościwie panujący ongi uwięził. Paliła i niszczyła, całkiem jak za dawnych lat, ale jeszcze wścieklej sza. Dom mój rodzinny zmiotła ogonem, a w nim moje skarby zostały, belkami i strzechą przygniecione. Sama ich nie wydobędę, a tu mało kto został, większość uszła przed gniewem potwora.

- No jasne, że pomożemy - zaoferował się Marvin, mrugając do Przygiętego.

Ale Mick się natychmiast najeżył.

- Sam dam radę i miastowej pomocy nie potrzebuję. U nas w Speewah, jak trzeba, wóz z ładunkiem przenoszę przez wyschniętą rzekę, więc i z głupimi belkami sobie poradzę.

Marvin się na to wyprostował.

- Myślałem, że mamy co innego do roboty i zależy nam na czasie. We dwóch obrócimy szybciej niżby było samemu.

- Sam obrócę szybciej niż we dwóch - fuknął Mick i odwrócił się do kobieciny. - Dokąd idziemy, szanowna pani?

Brzydula z pewną obawą śledziła wymianę zdań, ale zareagowała błyskawicznie, wskazując drogę.

- Żeby nie było jak w Spring Rock - odezwał się Wielki Bill.

Mick się tam nieźle urznął, polazł gdzieś po ciemku i wrócił pobity i z zapuchniętym okiem. Twierdził, że tamci oberwali mocniej, ale powszechna opinia była nieco inna. Tym razem Przygięty też puścił głos rozsądku mimo uszu i poszedł. Ciągłe wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę, uparciuch.

Szlachetny uczynek Micka okazał się jedynie początkiem naszych kłopotów. Skoro wyszło na jaw, żeśmy tej kobieciny nie zamordowali albo jeszcze gorzej, a wręcz przeciwnie, że nawet zaoferowaliśmy jej pomoc, szybko zmieniła się nasza sytuacja. Drzwi długiej chałupy zostały z łomotem odblokowane i ze środka ostrożnie wynurzyła się grupa zgrzebnie odzianych postaci. Dostrzegłem głównie kobiety w lnianych bezbarwnych spódnicach, z siermiężnymi chustami zarzuconymi na ramiona. Wśród nich pałętało się kilku mężczyzn, szczupłych i żylastych, steranych ciężką pracą, a także gromadka paroletnich brzdąców, umorusanych, jak to u dzieciaków w zwyczaju. Wszyscy miny mieli nietęgę i na wszelki wypadek stanęli w pewnym oddaleniu od nas, żeby w razie czego zdążyć się schować z powrotem.

Kilku innych mieszkańców wychyńło zza węglów pobliskich chat. Musieli czaić się tam, obserwując rozwój sytuacji. Jak na rozmiar wioski zebrała się ich skromniutka garstka - pewnie tyłu znalazło się dość odważnych albo głupich, żeby na wieść o Tarasque'u nie wziąć nóg za pas.

- Kto wy?

Lloyd obejrzał się na nas, jakby szukając podpowiedzi. Dotąd ludzie zawsze wiedzieli, co sobie o nas myśleć: albo nas lubili i witali kwiatami, albo nie i wymownie zatrzaskiwali okiennice, a w obu wypadkach nie zapominali o pochowaniu zapasów ze spiżarni czy pogonieniu do lasu co cenniejszych zwierząt gospodarskich.

Na szczęście tym razem nie musieliśmy kłamać.

- Ci dobrzy - oznajmił stary z przekonaniem. Zdawkowa szczerłość jednak tutaj nie wystarczyła.

- Dobrzy w czym? - dopytywała się jakaś kobiecina z tyłu.

- W zachowaniu, moja pani - wpadł jej w słowo Myszak, którego chyba ubodła obawa w jej głosie. - My nikogo nie napadamy i nie rabujemy. - Tak sobie myślę, że mówił o sobie i bracie, bo Lloyd zrobił dość niewyraźną minę. - Będących w potrzebie wspomagamy.

- Pięknieście rzezimieszków Tristana pognali, nie przeczę - włączyła się inna, bardziej na przodzie i z mnóstwem siwych włosów. Ta dla odmiany nie wyglądała na przestraszoną. - Ale czy nie zechcecie sami zająć ich miejsca?

Dopiero wtedy się połapałem, że wieśniacy patrzą na nas wzrokiem, w którym kryło się właśnie to nieme pytanie.

- Nasz kompan przecież nie poszedł na rabunek. - Kurczak machnął ręką tam, gdzie zniknął Mick. - Poproszony o pomoc natychmiast jej udzielił, sami widzieliście. A my - wskazał na nas wszystkich - mamy was tutaj na widoku, więc łatwo mogliśmy odebrać wam to, do czego tamci bandyci nie dotarli - dokończył iście po Kurczakowemu.

Jak się dobrze rozkręcił, gadał bez ustanku, ani przez myśl mu przeszło, żeby się zastanowić, co z tego wyniknie. Byłem przekonany, że wieśniaczki i reszta zaraz się rozpierzchną albo schronią z powrotem do wielkiej, wzmocnionej chałupy. Tak po prawdzie, stanowiłoby to niezłe rozwiązanie.

- Ale jak widzicie, nie próbujemy - dorzucił Lloyd dla uspokojenia nastroju. - Potrzebujemy tylko wody. Macie tu pewnie studnię?

No i dali się przekonać, niestety. Widocznie pod tymi podejrzliwymi minami wdzięczność musiała w nich aż kipieć. Ledwie słowa Lloyd'a ucichły, jeszcze raz sobie nas oglądnęli, a potem zniecka popadli w wielką radość. Otoczyli nas ze wszystkich stron, śmiejąc się i ciesząc. Przysiągłbym, że chwilę wcześniej mieli puste ręce, a teraz oferowali nam koszyki z pajdami świeżego chleba, talerze mięsa w plastrach i garnuszki czegoś, co pachniało woskiem, ale okazało się bardzo smacznie. Gadali przy tym jeden przez drugiego, do siebie, do nas, bez przerwy i w kółko tak samo. Żeby choć coś ciekawego, ale gdzie tam, dokładnie to, co można usłyszeć od każdego kmiotka wyratowanego z oparów.

Na szczęście nie musieliśmy odpowiadać, bo usta mieliśmy zajęte poczęstunkiem. Jak już wspominałem, wdzięczność wieśniaków musiała kipieć, bo nawet Sala, który się nie splamił zadaniem w tej bitce ani jednego ciosu, fetowano jak pozostałych. Do niego zresztą najczęściej przemawiano.

- Wszystkośmy słyszeli. Zawsze ufaliśmy, że Jego Wysokość nie opuści nas w potrzebie.

- Dziękujemy stukrotnie, bo wielką niesprawiedliwość naprawiliście.

- Jak bohaterowie z dawnych pieśni.

- Przyjmijcie, proszę, skromny poczęstunek.

Za chat po lewej wybiegł człowiek w osmalonym ubraniu i brudny od sadzy. Zatrzymał się na

moment, żeby ogarnąć rozbieganym wzrokiem całą scenę. Zabułgotał coś niezrozumiale, jakby płaczkliwie, i przypadł do najbliższego swojego krajana, później do kolejnego, najwyraźniej nie mogąc z sensem wykrztusić słowa. Przepychał się między nimi nieco oszołomiony, potem złapał mnie za rękaw. Cały śmierdział dymem.

- Możecie coś pomóc z ogniem?! - krzyknął mi gromko w twarz.

- Trzeba rozpalić? - zapytałem machinalnie.

Chyba się nawet uśmiechnąłem, co biedaka musiało zupełnie zaszokować. Wyobrażacie sobie, pewnie chciał, żebym pomógł mu gasić. Znów coś zabełkotał i zrobił ruch, jakby się chciał zwrócić do następnego po prawej, ale to był Snowy. Stał w końcu bezradnie i rozłożył ręce.

- Tam płonie cały mój dobytek! - uzalił się głośno, przebijając się przez panującą kakofonię. - Pomóżcie!

Dwóch mężczyzn i jakieś kobiety zaraz się odezwali, że pomogą. Kurczak i Myszak również się zaoferowali. Wprost uwielbiali ratować ludzi tkwiących po uszy w nowych ciekawych sytuacjach. Wtedy zaproponowałem, że też pójdę. Musiałem tak zrobić, zbytnio mi zależało, żeby zobaczyć ich miny, gdy to usłyszą.

- Możemy? - Kurczak grzecznie zapytał Lloyda, ale wcale nie czekał na odpowiedź.

- A idź ty do wszystkich diabłów! - syknął Lloyd, po czym się poprawił: - Byle nie za daleko.

Zostawiłem maszynkę Marvinowi do popilnowania i ruszyliśmy tam, aby zobaczyć, że wieśniak miał, niestety, rację. Odważniaki z hufca Tristana podpaliły mu obejście, dwie stodoły, szopę i pusty kurnik. Wszystko to było już stracone, ale bok chałupy mieszkalnej ogień dopiero zaczął lizać. Gdy nadeszliśmy, właśnie dobierał się do strzechy, która na szczęście najwyraźniej okazała się nieco namokła.

Całe nasze towarzystwo zamarło na ten widok, a kobiety znów zaczęły lamentować. Jak zauważyłem, zwracały zapłakane twarze głównie w stronę Kurczaka, który jak zwykle roztaczał ten swój nieprawdopodobny urok. Bez znaczenia, co ktokolwiek z nas zrobi w danej sytuacji, bo jeśli w okolicy był Kurczak, zawsze i tak zbierał wszelkie pochwały.

- Stary - powiedział Kurczak do mnie - zrób coś.

- A co ja mogę? - zachnąłem się. - Mam podpalić z drugiej strony?

- Po piwku, jak ci się język rozwiązał, nieraz się przechwalałeś, że potrafisz panować nad ogniem.

Tu mnie miał.

- Pewnie, że potrafię! - prychnąłem. - Przecież bym nie skłamał.

- No w życiu! - Myszak odezwał się za moimi plecami scenicznym szeptem.

Tego było doprawdy za wiele. Oceniłem kierunek i prędkość wiatru. Chałupa jeszcze nie całkiem przepadła, ale należało działać szybko.

- Narzędzia gospodarskie masz? - zapytałem otępiełego właściciela. - Widły? Grabie?

Wskazał na szpaler drzewców, opartych o ścianę chaty od strony podwórka.

- Brać mi tu zaraz te narzędzia - zakomenderowałem, w rzeczy samej dziwnie się czując w tej nowej roli strażaka. - Z całej siły uderzajcie w strzechę obok ognia, żeby ją rozwalić, zanim płomienie chwycą więcej. To na początek.

Nie poszło łatwo i w końcu sporo strzechy i kawał ściany i tak się spaliły, ale większość dobytku ocalała. Wszyscyśmy się napracowali przy tym co niemiara, ale potem zmęczeni wieśniacy, co odpoczywali obok tłącego się jeszcze obejścia, spoglądali na mnie z niejakim podziwem i szeptali w grupkach na mój temat. Przez chwilę było to nawet miłe uczucie, słowa złego nie powiem.

Gdy tak siedzieliśmy sobie, zagryzając suchą kiełbasę i popijając piwo, które gospodarz w podzięcie wyniósł z uratowanego domu, zobaczyłem Wielkiego Billa, jak pomaga innemu tubylcowi wkładać kliny między belki nośne. Belki pochodziły z chałupy, co stała z przekrzywioną strzechą i wyglądała jak przetrącona. Widać ją smok w przelocie tknął, chociaż jakoś bez zaangażowania, bo dalej stała. W końcu na pewno i tak by się zawaliła, więc należało ją usztywnić, a część potrzaskanego drewna wymienić. W normalnych warunkach taka sztuczka wymagałaby rozebrania sporej części domostwa albo wzniesienia solidnego rusztowania. Tymczasem Wielki Bill po prostu napiął, tak jak raz widziałem w domu, gdy z Mickiem naprawiali na farmie werandę. No, może nie do końca tak samo, bo tu musiał użyć dwóch rąk.

Złapał chatę w rogu, gdzie krzyżowały się koślawe teraz belki, a potem powoli podniósł je nieco, żeby gospodarz miał szansę porządnie podeprzeć nadkruszoną podmurówkę. Dalej już poszło łatwiej, bo zajmowali się coraz wyższymi belkami. Bill napiął się i podnosił, a chłopina wtykał we właściwe miejsca kliny i wielką okutą żelazem żerdź, na którą ze wszystkich sił napierał - tak długo, aż się belki jedna za drugą naprostowały i cała chata, poza wieżbą dachu i strzechą, znów przypominała coś foremnego.

Na takich zajęciach zeszła nam większość tego popołudnia.

Trochę to trwało, bez dwóch zdań, ale w końcu zebraliśmy się przy studni osady, nieustannie otoczeni nierzednącym wianuszkiem wieśniaków. Nadal czegoś chcieli, padające prośby robiły się coraz bardziej wyszukane i złożone, a liczba trapiących ich problemów życiowej wagi nieustannie rosła. Raz po raz któryś proponował załatwienie jakiejś gospodarskiej pracy za wynagrodzenie w walucie tutaj powszechnie uznanej - butelkach wina z dobrych roczników.

Nie powiem, żeby osobiście mnie nie kusiło, bo nieraz kosztowałem francuskiego trunku i całkiem mi zasmakował. Ale staraliśmy się w takich momentach zachowywać wymowne milczenie. Wydawało się nam, że kiedyś muszą wreszcie zrozumieć, co my na to. Tyle że ta chwila jakoś nie nadchodziła, a zamiast opamiętania gęstniał deszcz propozycji.

Ostatecznie tylko pospiesznie napełniliśmy manierki i dla orzeźwienia kolejno wsadziliśmy łeb do wiadra. Wieśniacy wciąż gadali, czy też teraz raczej żalili się, jeden przez drugiego, a hałasem i zamieszaniem przebijali najbardziej gwarne suk, jaki kiedykolwiek odwiedziliśmy w Egipcie. Lloyd odważnie stawiał im czoło, wysłuchiwał tych niekończących się litanii, kiwał ze współczuciem głową i przytakiwał. Gdy wśród kmotków wywiązała się jakaś wewnętrzna kłótnia, odwrócił się do nas i oznajmił:

- Idziemy stąd.

- Już jesteśmy gotowi - odpowiedział Myszak, a reszta milcząco potaknęła.

Lloyda zaskoczył ten brak oporu.

- A byliście przecież zmęczeni? Nie chcecie aby zostać na popas?

- Czerep mi pęka od tego jazgotania - oznajmił Wielki Bill. - Wolę nie myśleć, co będzie za pół godziny.

- Ta wioska jest głęboko w lesie - dodał półgłosem Sal, pilnując się, żeby nikt postronny go nie usłyszał. - Daleko od królewskich traktów i prawdziwego życia. Zwykle tutejsi nie mają się komu poskarżyć.

- W drogę, póki jeszcze możemy - dorzucił Kurczak.

- Jestem za - uzupełnił Marvin. - Ten cały Tristan może tu wrócić ze swoimi ludźmi, a szkoda mi na nich amunicji.

Snowy'ego nie pytaliśmy, bo chyba nikt z nas nie widział go wcześniej zmęczonego. Ale też nigdy wcześniej nie musiał tropić jednocześnie tyle bydła - na wieść o przybyciu hrabiego co przytomniejsi gospodarze popędzili bowiem inwentarz w chaszczę, a sprytne krowy, owce i kozy już z własnej inicjatywy zaszyły się w najbardziej niedostępnych zakamarkach w promieniu dobrej mili. Nie uwierzycie, ale jedną jałówkę znaleźliśmy na poddaszu starego młyna. Jak tam zwierzak zabrnął, do tej pory nie umiem pojąć, bo na górkę prowadziła jedynie wąska, na wpół spróchniała drabina.

- W takim razie osłonię nam odwrót - oznajmił Lloyd. - Byle szybko.

Wrócił z uwagą do wieśniaków, którzy nadal się kłócili, i chrząknął donośnie, tak jak on to potrafi, gdy chce odstraszyć dingo od padliny. Umilkli natychmiast, więc poprosił ich grzecznie o skromną gościnę, stół z poczęstunkiem i strych wymoszczony świeżym sianem. Przyznam szczerze, że trochę zanadto się ociągali jak na ludzi właśnie ocalonych z rąk uzbrojonych po zęby bandytów. W końcu jednak rozpierzchli się do swoich domostw, a tych, co się nie ruszali, Lloyd odesłał pod paroma bzdurnymi pretekstami, których każdy kapral ma na podorędziu spory zapas. Pognał nawet niewielką grupę ciekawskich lokalnych dzieciaków, co stanowiło nie lada wyczyn, bo bosonogie smarkacze były tak samo wścibskie i przylepne jak u nas w domu. Gdy zaś okolica się wyludniła, czym prędzej i cichaczem wynieśliśmy się przez znaną nam otwartą bramę i podjęliśmy marsz w stronę, którą Sal wskazał, a Snowy potwierdził mruknięciem.

Nie traciliśmy czasu na dalsze postoje i chrupaliśmy zwilżone suchary w marszu. Naturalnie wszystko w milczeniu, poniekąd wynikającym z rosnącego zmęczenia. Dopiero parę mil dalej, gdy znowu szliśmy znajomym tropem kół, Marvin nie wytrzymał.

- Mick, ile zarobiłeś? Mick nie odpowiedział.

- Ej, Przygięty, coś ty taki cichy? - dodał Wielki Bill. - Dzielić się nie musisz.

- Ale o co chodzi? - burknął Mick.

- O twoje skarby.

Znów milczał chwilę, dość nieoczekiwanie jak na takiego chwalipiętę.

- Nazywały się Miriam, Abelard i Karol. Jak podniosłem zawaaloną więźbę dachu, Miriam się rozbeczała, Abelard zsikał, a Karol strzelił mi w nos z procy.

ROZDZIAŁ ÓSMY



Pewnie byśmy padli sobie jeden za drugim gdzieś za krzakami, gdyby ślady kół nie stały się takie jakies wyraźniejsze. Snowy zaczął się nieco niecierpliwić, szybciej przebierał nogami, częściej znikał nam z oczu, co było widowym znakiem, że przybliżamy się do czegoś konkretnego. Nie uszło to naszej uwagi i zaczęło nam się lepiej maszerować, chociaż suchary niespecjalnie podnosiły morale.

Tym razem Wielki Bill nie chciał mi pomóc i sam się musiałem męczyć z moim kleifem. W rezultacie, gdy pozostali kroczyli sobie luźnym szeregiem, ja, sapiąc, wlokłem się w ogonie. To mi się właściwie zdarzyło nie pierwszy raz, tak sobie myślę. Kiedyś, jak z chłopakami byliśmy na spędzie bydła, też człapałem na samiuśkim końcu. Puściły mi przetarte szelki i starałem się je jakoś związać, więc prawie straciłem resztę z oczu. I gdy oni właśnie wpadli z impetem do jednej drewnianej knajpy, postawionej dla przybyszów, odstałem już tak daleko, że ledwie co ich widziałem. A było na co popatrzeć, bo w środku popijała duża grupka z rancza O'Halleyów, z którymiśmy się nie znosili. Zleciało się ich jak much do melasy i wypadli z zaskoczenia, to i sprali nas równo. Znaczący, wszystkich oprócz mnie i moich szelek.

Teraz miałem dobry widok. Sal szedł pierwszy, a zaraz za nim Snowy i Lloyd. Czarny niósł ten swój długi nóż, bo strzelać nigdy się za bardzo nie nauczył. Dan za to miał karabin narychtowany i niby mimochodem celował nim w plecy Sala w typowym dla siebie odruchu lojalności. I oni właśnie pierwsi wleźli na tych z przeciwka.

Zdziwiłem się, bo przez las tamci szli sobie po prostu w równym szyku, ramię w ramię, wielcy, wysocy, odziani dziwacznie, bo w metal. Nosili wypolerowane do przesady pancerze, o których człowiek się w dzieciństwie nasłuchał, ale żadnego nie widział, bo to przecież były tylko takie gadki o dawnych czasach. Chociaż teraz tak sobie myślę, że Lloyd mógł nam wówczas trochę więcej o tych zbrojach powiedzieć - ostatecznie był w Glenrowan i widział Neda w jego ostatniej szarzy. Ale nie, milczał jak zaklęty.

W dodatku tamci zupełnie się nie oszczędzali, choć musieli się nieźle pocić pod tą błyszczącą blachą, co ich zakrywała od stóp do głów. Za tymi zakutymi, a było ich jedenastu, szedł dwunasty, wyraźnie wyższy od reszty i niósł proporzec zatknięty na drzewcu i wyobrażający jakieś dziwaczne skrzydlate stworzenie.

Sal zatrzymał się jak wmurowany, gdy tamci niemal na niego wpadli. Po jego postawie widziałem, że kalkuluje szybko, czy zwiewać, czy paść na kolana i błagać o łaskę. Snowy natomiast nie wyglądał na zaskoczonego, chociaż przecież ż pewnością był. Stał jedynie miękko, na ugiętych nogach, po czym spokojnie obrócił nadgarstek dłoni z nożem tak, jak to już wiele razy widzieliśmy, zanim wreszcie skoczył do okopów prosto między wroga. O tak, Bosze nienawidzili, gdy to robił.

Chyba tylko Lloyd zachował dość przytomności umysłu, by powiedzieć cokolwiek inteligentnego.

- E! - zaczął. - Wy tam...

Tamci wahali się bardzo krótki moment. Ani chybi rozpoznali Sala idącego na czele i zadziałali tak, jak podpowiadała im natura. Powiadają wam, sąsiedzi, ich sierżanci w koszarach zbyt nie napracowali - opancerzeni skoczyli na nas, łamiąc szyk, w beładnej kupie. Nie

widziałem, żeby mieli karabiny, więc najbardziej zależało im na bezpośrednim kontakcie. Myśmy zasadniczo też nic przeciw temu nie mieli, zatem łatwo dopadli wszystkich - poza mną.

Jednak chłopaki nie musiały na mnie długo czekać. Runąłem ślizgiem na ziemię, na plecy, tak jak już się nauczyłem - aby nie uszkodzić reduktora maszynki. Zrzuciłem szelki, poderwałem się do przykłęku i kolba enfielda znalazła się przy moim policzku. Na moment, bo nie było sensu strzelać, za wiele kotłowaniny. W zamieszaniu mógłbym kogoś w coś postrzelić, na przykład Wielkiego Billa w głowę. Strach pomyśleć, jak bardzo by się wkurzył.

Zaszarżowałem z wrzaskiem, to zawsze przyciąga uwagę. Najbliższy zawinięty w blachę, który właśnie próbował przebić krótką włócznią Marvina, od razu zrezygnował z tego zbożnego zamiaru. Zwrócił się ku mnie akurat w znakomitym momencie, bo kolba lewisa, co go Marvin trzymał za lufę, zatoczyła łuk i walnęła kolegę tubylca w bogato zdobiony hełm. Mój blaszany zrobił dwa kroki i oddalił się wystarczająco od kłębowiska. Strzeliłem do niego w biegu, a kula bez wysiłku rozwalila mu nogę - zupełnie jak przydziałową konserwę, nawet mięso trysnęło tak samo. Napastnik zachwiał się i jak nic zaklął jakoś niezrozumiale, co w moim uchu zabrzmiało z francuska. Potem jednak, zanim zdążyłem do niego dobiec, zamachnął się mocno i ze znanstwem cisnął we mnie włócznią. Gdybym się nie poślizgnął na mchu, nic bym już tu więcej nie miał wam do opowiedzenia. Bardzo się zdenerwowałem, bo co to, przyjdzie mi od byle patyka zginać? Na dodatek tamten zaczął się szarpać z długim mieczem, co go nosił u boku. Przyskoczyłem więc i załatwiłem go kolbą z dołu w łeb, aż mu się blacha tego zamkniętego hełmu wgniotła i to co pod nią pewnie też. Gruchnął bezwładnie w tył z dźwiękiem jak stojak z krowimi łańcuchami, kiedyśmy go jednego razu przewrócili z Kurczakiem w oborze McElroya.

Marvin w tym czasie już dokańczył swojego, wetknął mu lufę w bebech, nacisnął spust i chwilę przytrzymał. Pozostali również jakoś sobie poradzili. Snowy zarznął dwóch, z trzecim też na moich oczach załatwił się krótko. W sumie może i dekoracyjne były te ich blachy, ale ruszali się w nich ciut za wolno jak na wymogi współczesnego pola walki. Lloyd swojego przebił z boku bagnetem, a potem dla pewności przestrzelił mu głowę - cały Lloyd, za nic zaufania.

Kurczakowi wytrącili broń z ręki, więc trochę się męczył, ale nie dość długo, aby przeciwnik się zorientował, że miły i ujmujący wygląd gołowąsa bynajmniej nie świadczy o tym, że jest niegroźny. Myszak jak zwykle próbował imponować, bo nie strzelił, tylko pofechtował chwilę bagnetem i zakończył efektownym pchnięciem w oczodół.

Mówię wam, przyjaciele, ten chłopak naprawdę napyta sobie kiedyś biedy...

Trzech wziął na siebie Wielki Bill, który nie wiadomo kiedy wyskoczył do przodu i zasłonił Sala. Nie chciał strzelać, więc pierwszego przebił bagnetem tak mocno, że nawet lufa weszła w blachę, a pozostałych zwyczajnie zmasakrował rękami. Sprawnie zgruchotał im kości i widać było, że od wyjazdu z domu bynajmniej nie stracił wprawy w ręcznej robocie. Blachy mu nie

przeszkadzały, tak jak przypuszczałem.

Opowiadałem wam już, że kiedyś założyliśmy się z Billem, czy uda mu się wejść do czołgu Boszów bez materiałów wybuchowych? Bill zakład przyjął, ale Bosze chyba się o tym dowiedzieli i dotąd żadnych ich czołgów na oczy nie zobaczyliśmy.

Tylko Mick miał problem, bo go dopadł ten ostatni, z drzewcem proporca w rękach. Wyższy był od Micka o dwie głowy i cięższy, przy tym dziwaczny. Włochaty jak nie wiem co, nogi miał koślawe, kolana, które się zginały jak tylne końskie, a do tego kopyta. Głowę zostawił odsłoniętą, pewnie hełmu na taki niekształtny łeb nie mógł znaleźć. Jego twarz także wydawała mi się całkowicie końska - i mówię tak wcale nie dlatego, że próbuję go obrazić. Przyłożył Mickowi dwa razy drzewcem i nie dał się postrzelić, a jak go w końcu Mick zaszedł z boku i się zamierzył bagnetem, dziwny stwór uzał go w ramię zębami - a jakże - końskimi.

Tego było już za wiele nawet dla Micka, więc go z zamachu strzelił pięścią w szczękę, a sami wiecie, parę w łapie ma. Co się chłop w życiu nakopał, szukając złota, to jego. Koniowatemu z miejsca poszła krew, a zęby prysnęły na wszystkie strony niczym szpunty z beczek piwa. Zachwiał się jak podcięty pień, a wtedy Mick puścił karabin i poprawił tą drugą, właściwą ręką. Od tamtej chwili wiem, jak wygląda salto do tyłu. Ale koniowaty, choć mało urodziwy, też nie był ułomek, bo wstał.

Bardzo mnie to zdziwiło, ponieważ przeciwnikom Micka, jeśli się naprawdę wkurzył i nie markował ciosów, rzadko udawało się podnieść po pierwszym celnym. Ale trzeba przyznać, że ci pancerni w niczym nie przypominali hałustry hrabiego Tristana, z którą potykaliśmy się tuż wcześniej. Wtedy jakoś bez słów rozumieliśmy, że to tylko taka przyjacielska przepychanka, ot, wybite zęby i kilka połamanych gnatów, ale nic poważnego. Ci wprawdzie oporządzenie mieli nietęgę, lecz nadrabiali animuszem. I wyraźnie próbowali nas zabić.

W każdym razie widziałem, że koniowatemu ciągle wirowało we łbie, a krew szła mu z paszczęki wartkim strumykiem, wciąż jednak się trzymał. Nim zdziwiony Mick zdołał się ponownie zamachnąć, jego przeciwnik skoczył w tył jak sprężyna i zwiął ścieżką, na oślep, ale za to jak szybko.

Sal mógłby go zatrzymać, gdyby nadal nie klęczał z pochyloną głową. Wszystko wydarzyło się tak błyskawicznie, że biedak chyba nawet nie zdążył poprosić pancernych o łaskę. Miękki był jak to miastowy i cywil, więc właściwie trudno mieć do niego pretensje.

Nauczeni doświadczeniem, rozproszyliśmy się jeszcze bardziej, a potem zaczęliśmy się rozglądać. Poza leżącymi postaciami w zbrojach nic nie dało się wypatrzeć, odgłosy bójki i strzelanina raczej nikogo nie interesowały. Zupełnie jak w domu.

I kiedy uznaliśmy, że oto nadszedł dobry moment, aby odetchnąć z ulgą, ciała pokonanych przeciwników jedno za drugim rozmyły się nagle i rozpuściły w rzadką jasną mgłę. A później

zniknęły.

Zamurowało nas, na amen. Tylko Lloyd nie stracił okazji, aby znów powiedzieć coś inteligentnego.

- Co to, cholera, było?

Sal odkaszlnął, zagulgotał coś słabo. Gębę miał sinobiałą, bardzo mocno odcinały się na niej paskudne czerwone plamy. Pomyślałem mimochodem, że musiał się kiedyś nieźle przypiec, choć na pierwszy rzut oka niewiele dało się poznać. Nie tak, jak u Łysego Toma, tego, co - pamiętacie? - nieopatrznie przysnął napity w buszu akuratnie w środku suszy. Kiedy się wreszcie ocknął, a księżycówka widać nieźle go znieczuliła na żar, nie miał już włosów na czerepie i połowy nosa. No, ale znacie Toma. Do tej pory się chwali, że jest najbrzydszym poganiaczem w całym Queensland.

- Gwardziści - wyjęczał w końcu Sal ze zbolałym wyrazem twarzy.

- Gówno tam, gwardziści! - zirytował się Lloyd. - Biliśmy się z pruskimi pułkami i owszem, też noszą na sobie trochę żelaza, ale nie aż tyle. Prawda, chłopaki?

Chłopaki przytaknęły zgodnie. Lubiliśmy się bić z Pruską Gwardią, nikt inny nie miał tak wypchanych dobrem plecaków i kieszeni. Marvin, który nie zdążył jej jeszcze spotkać, tym razem postanowił przyzwoicie milczeć. Zresztą wyglądał na wytrąconego z równowagi. I nic dziwnego. Przeciwnicy, którzy bez ostrzeżenia rozplývają się w powietrzu, mogą naprawdę człowieka przygnębić. Nie dość, że nie zdążyliśmy przetrząsnąć im kieszeni - czy też innych miejsc, gdzie poukrywali w tych stalowych wdziankach gotówkę - to jeszcze nie wiadomo, czy coś, co bez ostrzeżenia zniknęło, zaraz nie pojawi się bez ostrzeżenia. I to na dodatek w lepszej formie, a wciąż wkurzone po poprzednim starciu.

- Wszystko jedno - odezwał się Kurczak, a gębę miał już rozżarzoną jak małe słońeczko, oczka wytrzeszczone z ciekawości i od razu dało się poznać, że go świerzbi do nowych kłopotów. - Ale jak zdołali się tak znieacka zwinąć?

Snowy też chyba nie umiał się pogodzić z tym cudem natury, bo krążył wokół stratowanej połaci trawy, cośmy się na niej tłukli, mamrotał coś i potrząsał głową. Powiadam wam, naprawdę był zdziwiony, prawie jak człowiek.

- Przecież mówię, że to gwardziści naszego dobrego pana Auberona. - Sal zdecydował się podnieść z kolan, ale minę nadal miał nietęgą. - Dostali cięgi, więc ich nasz dobry pan Auberon zniknął.

- Jak to zniknął? - obruszył się Marvin. - Co to znaczy „zniknął”?

- Znaczy, że ich zabrał - wyjaśnił tubylec, zupełnie jakby szło o najzwyczajszą rzecz pod słońcem. - I pewnie teraz pilnie słucha, co ich tak szybko wymordowało.

No, ja jeszcze nie widziałem takiego oficera, albo nawet i sierżanta, który umiałby coś

wycisnąć z trupów, ale postanowiłem się nie wychylać. Skoro Sal nie zauważył, jak gracko się z tamtymi rozprawiliśmy, może należało pozostawić go w błogiej nieświadomości. Zawsze to lepiej, kiedy cię nie doceniają, powiadał mój tatuńcio, kiedyśmy się jednego razu umazali na brązowo jakimś oleistym świństwem, przebrali w pożyczone od Snowy'ego i jego szwagra łachy, po czym poszli na bocznice kolejową podprowadzić cygara, bo ich tam akuratnie pół wagonu się zabłąkało w drodze do Sydney. I wiecie co, przyjaciele i sąsiedzi? Dobre dwie skrzynie udało się nam wynieść, zanim nas wreszcie kolejarze popędzili - a i to tylko dlatego, że tatuńcio nie dość szybko zszedł jednemu z drogi. Całą zimę potem kopcił cygara jak sam gubernator.

- Maszyny! - sarknął Lloyd ze złością. - Wszędzie tylko parowozy, telegrafy, aeroplany. A teraz jeszcze zaczęli ludzie znikać...

- Kiedy to chyba nie przez maszyny... - zaczął Kurczak, który nadal aż przebierał nogami, żeby się czegoś więcej dowiedzieć o tym znikaniu.

Dan zerknął na niego spod oka, ale tak, że mimo całego swego entuzjazmu Kurczak urwał w pół zdania. Wyczuwał, że Lloyd, coraz bardziej osaczony w tym osobliwym lesie, osiągnął już ten stopień wkurzenia, kiedy nie usłucha żadnych wyjaśnień. Poza tym niechęć starego rabusia do nowoczesnej techniki nie stanowiła szczególnej tajemnicy. Podobno wszystko zaczęło się w Pine Creek, gdzie Lloyd był jednym z tych szczęściarzy zatrudnionych przy kładzeniu telegrafu, którzy natrafili na złotonośne złoża. Tyle że Dan nieszczególnie się nacieszył odkryciem, bo poturbował tam jakiegoś majstra czy nawet inżyniera i bardzo szybko musiał zwiewać, zresztą z trzema koronerami na karku. Potem szmat czasu ukrywał się w interiorze, bo raptem się okazało, że telegraf naznaczył na jego głowę nagrodę i w każdym zadupiu, w najmniejszej osadzie, gdzie tylko docierały żelazne druty, czekało na niego paru osiłków, gotowych spróbować szczęścia z towarzyszem Neda Kelly'ego.

- Ten półkoń właściwie nie zniknąć. - Snowy wynurzył się zniemacka z krzaków za plecami Marvinina.

Grubas aż podskoczył - krótko się z nami zadawał, więc i nie przywykł, że czarny wyskakuje jak spod ziemi - ale znowu roztropnie postanowił milczeć. Widać był jednak wyuczalny.

- Hycnąć jak kangur - ciągnął niezrażony Snowy - a potem dalej uciekać na czworakach. O, tam - machnął ręką w kierunku gęściejszych chaszczy. - Mocno krwawić.

Przygięty Mick roztarł pięść.

- No, ja myślę. I zaraz krwawić jeszcze mocniej - dodał zaciekle.

Lloyd złapał go za ramię.

- Dokąd? A złoto?

Przez chwilę w obliczu Micka odbijała się heroiczna walka: oto łapczywość zmagająca się z

poczuciem sprawiedliwości. Wygrało poczucie sprawiedliwości. Powiadam wam, byłem wręcz z niego dumny.

- Złoto nie zając, nie ucieknie - oznajmił. - A jak się tutaj rozejdzie wieść, że pozwalamy, aby nami pomiatano, każdy ranczer się na nas zasadzi ze sztucerem i będzie próbował je odebrać. Trzeba się szanować, nie?

Popatrzył na nas wyczekująco.

Milczeliśmy. Niby coś było na rzeczy, żaden z nas nie chciał uchodzić za frajera, który pozwala sobie w kaszę dmuchać. A jednocześnie przez nadmierną drażliwość Micka mogliśmy stracić największą zdobycz, jaka się nam w życiu trafiła.

- Ten bydlak mnie uzał! - wysyczał Przygięty Mick, który w gruncie rzeczy był poczciwym chłopem i nie potrafił długo ściemniać. - Brudnymi końskimi zębami mnie ukąsił! I ja tego, psiakrew, nie puszczę płazem.

Temu musieliśmy przytaknąć. Pewnym zachowaniom doprawdy nie wolno pobłażać.

- Daleko nie odejść. - Snowy tarł brudną stopą o łydkę drugiej nogi. Gdybym nie wiedział, że czarni są głupi, pomyślałbym, że celowo judzi biednego Micka.

- Dobrze oberwać...

Mick uśmiechnął się szeroko.

- Załatwimy rzecz sprawnie, a potem wracamy po złoto - zdecydował. - No, ruszcie tyłki, chłopaki.

Co było począć, ruszyliśmy.

Tym razem zabrakło ścieżki i musieliśmy się przedzierać przez zbity gąszcz. Snowy wydobył swój wielgachny nóż, chłopaki ze Speewah też wyciągnęły porządne ostrza i zaczęły wytyczać drogę. Powiadam wam, poczułem się prawie jak w domu. Szybko przeszły mi jednak sentymenty - konkretnie odarły mnie z nich kolczaste gałęzie, które bez wysiłku cięły mundur razem ze skórą. A ślad tego końskiego, jak na złość, był naprawdę wyraźny i prowadził w najgęstsze zarośla.

- Wydaje mi się, że nie powinniśmy... - zaczął Sal, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Jego postawa w dwóch ostatnich starciach jakoś nie zaskarbiła mu szacunku.

- To róże - wysapał tuż za mną Marvin. - Do diaska, chłopaki, widzieliście kiedyś takie róże?

- One chyba... - spróbował znów nasz przewodnik, z takim samym poniekąd skutkiem, jak poprzednio.

Wzruszyłem ramionami, bo i co mi było po jakichś kwiatach. Nie jestem badaczem z uniwersytetu ani żadnym innym popaprańcem. Zauważyłem za to, że im dalej szliśmy, tym bardziej te chaszczki gęstniały, stawały się wyższe i dorodniejsze. Na dodatek sypało się z nich próchno albo inne paskudztwo, więc zaraz zaproszyłem sobie oczy i odezwała się moja świeżo nabyta przypadłość - znów wszystko widziałem w bladej poświacie.

Ale mój tatulo powiadał, że jak coś wyrosło, da się to też wykarczować. A jak nie, zawsze można spalić, prawda?

- Wszystkie wyschły i pogubiły liście - Marvin nadal entuzjasmował się swoim odkryciem - ale gdzieś tam trafiają się jeszcze zasuszone kwiatki. Dziwne, co nie, chłopaki?

- Bo to są... - odezwał się jeszcze raz Sal, po czym sapnął jakoś tak dziwnie i osunął się na ziemię.

Myszak złapał go odruchowo, a tubylec zwiśł mu w rękach, powiadam wam, jak wypchana kukła.

- Co jest? - Lloyd, maszerujący na czele pochodu, zaraz za Snowym, który wycinał drogę, przepchnął się kolczastym przejściem do Myszaka i popatrzył krytycznie na tubylca. - Udaje?

Zza jego pleców wynurzył się Przygięty Mick, który wprawdzie niezupełnie mieścił się w wyrąbywanym tunelu, ale nie przejmował się tym zbytnio - wygniatał sobie drogę przez gałęzie jak rozsierdzony byk i widziałem, że bardzo mu nie w smak, że coś go opóźnia w zbożnej misji ukatrupienia tego koniowatego.

- Pokaż. - Wyrwał Myszakowi Sala i z rozmachu trzasnął go w pysk.

Aż mnie ciarki przeszły od odgłosu kłaśnięcia. Tubylcowi zaraz na gębie wykwitła plama, taka czerwoniusia, jakby z niej miała krew trysnąć. Ale nie poruszył się.

Przygięty Mick łypnął na niego z niechęcią i przez chwilę się obawiałem, że znów mu przyłoży, tym razem po prostu ze złości. Jednak jakoś się opanował.

- Nie udaje. To co teraz? - zwrócił się do Lloyd'a.

- A co ma być? - prychnął stary. - Przecież go tu nie zostawimy.

Pokiwaliśmy głowami. Krótka była w naszej kompanii i nie całkiem mu ufaliśmy, ale przecież nie pozwolimy, żeby zdechł. Może i na tej wojnie obowiązywało niewiele zasad, lecz jedną mieliśmy w poszanowaniu i tutaj, i w domu: nie porzuca się kumpli, choćby i martwych, na terytorium wroga.

Sal jednak żył, w każdym razie jak dotąd. Kiedy pochylił się nad nim, wyczułem słaby oddech. Ale jego puls, zauważył Lloyd, zwolnił, a ręce stały się lodowato zimne. Kiedy stary próbował nim potrząsać, pochrapywał tylko przez nos.

- Ciekawe, co mu się stało. - Kurczak, który razem z Marvinem zamykał pochód, dopchał się wreszcie do Sala, dziarski i wścibski jak zwykle. - Wąż? Pająk?

Popatrzyłem nieufnie po splątanych gałęziach. Niektóre poruszały się jak żywe, lecz przy bliższym przyjrzeniu okazywały się jedynie cienkimi pędami. Niby nic niebezpiecznego nie widziałem, ale czy człowiek, zwłaszcza półślepy, wypatrzy nieruchomego węża albo pająka w zgięciu gałęzi? Zresztą skąd mogłem wiedzieć, jakie tu cudaczne jadowite stwory żyją? Rozumiałem zaledwie tyle, że trzeba się stąd wynosić, i to jak najszybciej. Nie podobał mi się ten gąszcz, nie podobał mi się i już!

- No, ja go taszczył nie będę! - oświadczył kategorycznie Mick, wciąż popatrując z urazą na biednego Sala. - Też sobie wybrał miejsce na drzemkę!

Jednakże wszyscy dobrze wiedzieliśmy, że nie szło bynajmniej o drzemkę i głupawy dowcip Micka wcale nie dodał nam ducha. W końcu Wielki Bill, jako najsilniejszy, podjął się zaszczytnej misji wyniesienia Sala na otwartą przestrzeń. Moim zdaniem tubylec nieszczęśliwie na tym wyszedł, bo Bill przerzucił sflaczałe ciało przez ramię i bez litości szorował nim o kolczaste sklepienie tunelu. Z drugiej strony, lepiej ocalić skórę, choćby i pociętą do żywego mięsa, niż zdechnąć w jednym kawałku.

Maszerowałem pośrodku, tuż za Wielkim Billem, a pojemnik z paliwem do kleifa ciążył mi coraz bardziej. Zgięty, nie bardzo patrzyłem przed siebie, ale szczęśliwie w ostatniej chwili udało mi się uniknąć zderzenia z Wielkim, gdy gwałtownie stanął, słysząc od czoła pochodu okrzyk Przygiętego Micka:

- O w mordę dziobaka!

A zaraz później rozległ się poirytowany głos Lloyda:

- Cholera jasna... - I natychmiast zmałyły go gardłowe pomruki Snowy'ego.

Nie wiem, co nasz tropiciel powiedział, lecz potem przez chwilę dochodziły nas tylko odgłosy intensywnego rąbania gałęzi. My z tyłu przedreptywaliśmy w miejscu z niepokoju, póki wreszcie Lloyd nie zarządził:

- Dobra, chłopaki, przełażcie. Byle bokiem i ostrożnie.

Okazało się, że wycięli w zaroślach lekkie zakole, omijające przeszkodę, która nagle wyrosła na trasie naszego pochodu. Bardzo byłem ciekaw, co tak zdetonowało Lloyda, lecz powiadam wam, przyjaciele i sąsiedzi, rzeczywistość wręcz przerosła moje oczekiwania. Oto bowiem naszym oczom ukazał się wóz i przyprężone do niego dwie chabety, czy też raczej trupy końskie, bo całość tkwiła tak długo w buszu, że spod chomąta łyskały poczerńiałe szkielety, tu i ówdzie przystrojone resztkami skóry. Z pasażerami czas nie obszedł się łaskawiej. Na koźle siedział szkielet z osobliwie uniesionymi rękami, zupełnie jakby nadal trzymał w nich lejce. Z tyłu wozu większy szkielet, pewnie

babski, bo wciąż upstrzony na czerepie długimi włosami, tulił do siebie dwie dziecięce truchelki. Wszyscy trwali nieruchomo wśród brunatnych kolczastych gałązek, które oplatały ich gęstą koronką i podtrzymywały w powietrzu. Całe znalezisko robiło tak przygnębiające wrażenie, że nawet Kurczak wyjątkowo nie wyskoczył z tym swoim „co to?” i „dlaczego?”.

Nie zdziwiłem się przesadnie, kiedy po kilkudziesięciu jardach pochód znów się zatrzymał. Tym razem z przodu nie rozległy się żadne okrzyki, nic, prócz odgłosu wzmożonego rąbania i siekania. W ponurym milczeniu minęliśmy troje wieśniaków - ci wydawali się świeżsi od poprzednich i dało się jeszcze rozróżnić rysy twarzy - ubranych w stroje ze zgrzebnego płótna. Siedzieli pod dorodniejszym od innych krzewem, zupełnie jakby przycupnęli tu na chwilę dla odpoczynku. Pomiędzy dwoma mężczyznami zastygła kobieta z rękoma splecionymi na brzuchu.

Kurczak próbował się wychylić w ich stronę, ale brat szarpnął go mocno za mundur i popchnął naprzód. O dziwo, Kurczak usłuchał. Może jednak kołatały się w nim resztki rozsądku.

Gęstwina stawała się coraz bardziej zbita, lecz szliśmy teraz szybciej niż poprzednio. Snowy i chłopaki ze Speewah rąbali jak wściekli, ustawiczny trzask pryskających pod ostrzami gałązek nieprzyjemnie świdrował uszy. I to nie wróżyło dobrze, przyjaciele i sąsiedzi, o nie.

Cokolwiek by o nich powiedzieć, chłopaki ze Speewah, a w szczególności Wielki Bill, nie były zajęczą skórką podszyte i nawet pod Gallipoli nie pozwalały, żeby nagły ostrzał Abduli przerwał im wieczorną drzemkę albo poranną wyzerkę. A tutaj, proszę, wyraźnie traciły zimną krew i postanowiły wyrwać się z tego miejsca jak najszybciej. Myszak i Kurczak zmieniali ich czasami, ale na krótko, bo się męczyli, poza tym znacznie ustępowali tantym doświadczeniem. Nawet Lloyd przyłączył się do rąbaniny, co świadczyło o powadze sytuacji, jako że zwykle wolał pozostawić brudną robotę innym.

Ja przed oczami miałem głównie łeb Sala, który telepał się jednostajnie na plecach Wielkiego Billa. Kolce już dobrze przeorały mu skórę, ale spostrzegłem, że, o dziwo, z zadrapań i szram nie płynie krew. Mówię wam, wyglądał jak dokumentny zdechlak. Uznałem jednak, że rozsądniej będzie zataić tę nowinę przed resztą; z pewnością zejście tubylca nie doda im ducha, zwłaszcza że i tak powoli zaczynaliśmy mieć tego wszystkiego dosyć.

Natrafiliśmy jeszcze na trzy upiorne ofiary buszu. Pierwszą był chyba drwał, potężne chłopisko z siekierą w ręku. Pnącza roślin podtrzymywały ją nad jego głową i wyglądało, jakby wciąż wygazał nią niewidzialnemu wrogowi. Kilkanaście jardów za nim znaleźliśmy dziewczynę, całkiem bogatą, o ile dało się rozeznac po ubraniu, bo nadal miała na sobie długą błękitną suknię, zdobioną w srebrzyste wzorki, i fikuśną czapkę ze srebrnej siatki na głowie. Myślę sobie, że taka srebrna siatka to była całkiem sporo warta, ale jakoś żaden z nas nie próbował jej zabrać, co samo w sobie świadczy o tym, jak bardzo przygnębiła nas ta wędrówka. Na końcu natknęliśmy się na dwoje dzieci,

skulonych na ziemi, na warstwie zeschniętych liści - i wtedy właśnie Przygięty Mick nie wytrzymał:

- Do jasnej i ciężkiej cholery! - wykrzyknął. - Chodź no tu, Red!

Mówiłem już wam, że tak właśnie mnie wołają? Od koloru włosów, chociaż złośliwi podają trochę inne wyjaśnienie.

- Widzisz? - Mick wyciągnął brudny paluch w kierunku dzieciaków.

Mruknąłem coś niewyraźnie. Przede wszystkim widziałem, że Mick aż gotuje się ze złości, i to takiej prawdziwej, nie udawanej na potrzeby kumpli. Nic dziwnego zresztą.

Słyszeliście pewnie o jego starym. Kobita mu szybko zmarła czy może uciekła, gdzie oczy poniosły, bo był rzadkiej maści pijus, łajdak i złodziej. Mały Mick chował się po kątach razem ze szczeniakami. Tyle że rósł szybciej niż szczeniaki. Jeszcze dobrze nie zaczął gadać, aż tu nagle wystawał o łokieć nad stołem. I dalej rósł, więc stary wykombinował sobie, że niebawem i jego przerośnie, a wówczas nie wiadomo, kto kogo będzie łoił kijem. Usiadł, pomyślał, pomyślał, a potem wymyślił, żeby zdjąć ze starej beczki obręcze i zagiąć je dzieciakowi wokół nóg. Siedział Mick w tej niewoli mało-wiele, trudno wyczuć, w każdym razie, póki obręcze nie przerdzewiały i nie spadły mu z nóg. Z rzadka mu się wypnie słowo o tamtych czasach, więc nie zgaduję nawet, ile przeszło lat, ale na koniec podobno walnął ojcza deską w łeb i raz na zawsze poszedł precz - albo raczej pokuśtykał, bo obręcze tak go pogięły i zdeformowały, że odtąd gdziekolwiek się pojawił, nazywano go Przygiętym Mickiem.

Śmialiśmy się nieraz z Micka i dokuczaliśmy mu, bo w Speewah uchodził za chuderlaka i ułomka, a kiedy się patrzyło na tę jego przykurczoną sylwetkę, łatwo się dało zapomnieć, że potrafił rozdrzeć gołymi rękami człowieka na strzępy. Kiedyś przysnął na czujce w wysuniętym okopie, co, na swoje nieszczęście, postanowiła wykorzystać drużyna żadnych wojennej chwały Abduli. Mick nie chciał, żeby jego brak ostrożności wyszedł na jaw - porucznik na pewno wsadziłby go na ładne parę dni do aresztu, a po swych dziecięcych doświadczeniach Mick osobliwie nienawidził zamknięcia - więc załatwił się z nimi po cichu. Powiadam wam, kiedyśmy tam wreszcie dotarli, okop wyglądał jak po solidnym trafieniu z moździerza, a nasz kumpel ze Speewah siedział sobie w dyskretnej odległości od sterty świeżych trupów i czubkiem tego swojego zębatego bagnetu wydłubywał spod paznokci zaschniętą krew.

Wieść o tej przygodzie prędko rozeszła się w całej kompanii, ale nie myślcie sobie, że odtąd patrzyliśmy na Micka z nabożnym szacunkiem. Tak mi się zdaje, że po prostu wyczuwaliśmy w nim jakąś głęboko ukrytą dobroduszość, która sprawiała, że łąziły za nim bezpańskie psy i najbrzydsze obozowe dziwki. Owszem, dużo gadał, przechwalał się jak reszta i może nawet łatwiej niż inni dawał się podpuścić. Ale w gruncie rzeczy poczciwy z niego chłop, taki, co zawsze, choćby właśnie po sześciu miesiącach w buszu doczłapał się wreszcie w cywilizowane rejony, przedłożył bijatykę w pubie nad świeży posiłek.

W jednej tylko sytuacji wszelka dobroć ulatniała się z Micka równie szybko, jak parują krople deszczu po burzy w środku pory suchej. Otóż Mick nie znosił, jeśli krzywdzono przy nim dzieci, choćby najbardziej rozwrzeszczane, obdarte i zasmarkane. Sam widziałem. W jednej chwili Mick szedł sobie spokojny, uśmiechnięty ulicą, aż tu zniemacka jakiś pechowy ranczer pogonił swego rodzzonego gnojka batogiem. W okamgnieniu w twarzy Micka coś przeskoczyło, jak gdyby otworzyła się magiczna klapka, która sprawia, że cały świat wygląda zupełnie inaczej. W następnej chwili już stałem sam na trotuarze - naprawdę trudno uwierzyć, że taki ogromny chłop może się równie szybko poruszać - a Mick pracowicie zmieniał niefortunnego ranczera w bryłę truskawkowej marmolady. Niechybnie byłby go powiesił na jego własnym batogu, gdybyśmy go nie odciągnęli, a sześcioro chłopów zdrowo się przy tym napracowało. Po tamtej awanturze Mick przesiedział dwa tygodnie w więzieniu i ładne kilka miesięcy nie pokazywał się w Perth.

A swoją drogą, nie chciałbym być w skórze tamtego małego gnojka, kiedy tatuś ranczer wydobrzył na tyle, żeby swobodnie podnieść ramię nad głowę. No, ale Mick zwykle nie zastanawiał się nad konsekwencjami swoich dobrych uczynków. Po prostu miał parę w łapie i korzystał z niej, jak Bozia przykazała.

Tamtego dnia również nie pomyślał zbyt wiele, bo wyciągnął tylko wprzód szyję, zmrużył oczka i przez moment wpatrywał się we mnie jak jakiś cholerny zółw.

Myślałem, że zaraz mi przyłoży dla poprawienia morale, ale w końcu powoli skinął głową i wycedził przez zęby:

- No, grzej.

- Co ty, stary, przecież się sfajczymy razem z tym cholernym... - zaczął Marvin.

Skończyć już nie zdążył, bo Mick wprawdzie ani się na niego obejrzał, ale za to wymierzył na oślepe bardzo celny cios w nos, po którym grubas okrwawił się trochę i znacznie przycichł.

- Grzej, mówię! - Mick złapał mnie za bluzę na piersi i przysunął do swojej gęby, tak że nogi mi zadyndały w powietrzu.

Zdążyłem zerknąć błagalnie na Lloyda, ale ten zaledwie przewrócił niezobowiązująco oczami. Co dziwne, reszta też nie oponowała, chociaż dobrze chłopaki wiedziały, czym kończą się zabawy z ogniem w buszu. Nawet Snowy milczał, choć zwykle odwoził nas od co bardziej rozrywkowych pomysłów. Skoro tak, to postanowiłem przygrzać. Ostatecznie mnie się też należała jakaś przyjemność.

Ogień buchnął naprzód długą smugą, ale na krótko. Potem jeszcze raz. Zacisnąłem ręce na maszynie. Z tyłu za mną któryś z chłopaków sapnął nerwowo. Wszyscy rozumieliśmy, że zaraz płomień wróci do nas po tych wyschłych gałęziach, opasają ze wszystkich stron pierścieniem. A tu niespodzianka. Wprawdzie pierwsze gałęzie, te, co były najbliżej nas, natychmiast stanęły w

płomieniach, ale następne po prostu się odsunęły. Powiadam wam, tak gracko czmychnęły, jakby to było żywe stworzenie, a nie jakieś zeszcłe badyle!

Wgapialiśmy się właśnie w owo dziwowisko, kiedy chaszczce z tyłu zaskrzyphiały i zasyczały, ale jakoś z taką wściekłością, że aż się nieprzyjemnie robiło. A potem, wciąż sycząc, pędy zaczęły się wić w naszym kierunku. W jednej chwili widzieliśmy wokół coś jak stary, wyschły żywopłot, tylko bardziej zbity i splątany niż zwykle, a w następnej te gałązki wyciągały się ku nam, okręzały nas ze wszystkich stron, zupełnie jak zdziczałe psy otaczają wycieńczoną owcę, i kolcami szarpały za mundury. Mick złapał za jakąś witkę i zaczął się z nią siłować, a pozostali po prostu gapili się w oglupieniu, póki Myszak - mówiłem wam, że on zawsze był w myśleniu prędkiej - nie rozdarł się na całe gardło:

- Red, grzej! Reszta, chodu!

No to znów przygrzałem. Lloyd złapał za pojemnik - teraz coś nikt się nie handryczył, kto będzie pomagał w noszeniu - i popędziliśmy przodem, zionąc ogniem jak, nie przymierzając ten Tarasque, a badyle za nami, coraz bardziej rozjuszony. Mówię wam, nie zbiegłem się tak chyba od tamtego dnia, jak nas Wuj Chuck przyłapał z Myszkami na drażnieniu jego najlepszego rozplodowego byka - a śrut z tyłka też sobie potem nawzajem wydłubywaliśmy przez kilka tygodni, i to bez słowa skargi, bo Wuj Chuck obiecał, że nic nie poskarży ojcom, jeśli mężnie znieśliśmy konsekwencje zabawy. Teraz jednak czułem, że mojemu tyłkowi zagraża coś znacznie bardziej ostatecznego niż śrutówka Wuja Chucka. Wydzielałem maszynce kontrolowane, oszczędne plunięcia, starając się szybko obrachować w myślach, na jak długo starczy mi paliwa. Z tych kilku razów, gdy miałem okazję obserwować Jerrych przy pracy, wynikało, że z werfera dawało się wycisnąć dwadzieścia parę strzałów. Niezbyt wiele, jeśli ma się na karku rozjuszony zarośla, które tylko czyhają, jak by cię tu rozszarpać na strzępy, a przed sobą jeszcze bardziej wkurzone zarośla, którym właśnie przypiekło się wyrostki.

Na dłuższe rozważania nie miałem czasu. Gnałem, grzałem, a obok mnie Lloyd z pojemnikiem sapał jak parowóz i, powiadam wam, jakoś tak z coraz większą desperacją, pewnie czuł w rękach, jak szybko ubywa paliwa. Chłopakom z tyłu też puszczały nerwy. Przygięty Mick próbował się przez chwilę ostrzeliwać, tak samo jak kiedyś przed chmurą moskitów i równie skutecznie. Na szczęście Myszak z Kurczakiem jakoś go złapali i powlekli dalej. Marvin coś wrzeszczał, żeby się zatrzymać, to pociągnie serią po wraźnych badylach, ale ktoś, chyba Wielki Bill, popchnął go do przodu przyjacielskim klepieniem w plecy, po którym grubas popędził naprzód chyżo jak królik. Oczywiście zaraz zwolnił, zresztą po prawdzie wszyscy już nie mieliśmy pary - serce łomotało jak oszalałe, kleif latał w rękach i powoli robiło mi się wszystko jedno, czy zdechnę jak zgoniony koń z wyczerpania, czy mnie te badyle żywcem rozszarpiają. Nie przewróciłem się tylko dlatego, że nie

chciałem być pierwszy, który wymięknie.

I kiedy tak nasza ucieczka stopniowo zmieniała się już nie w trucht, ale powolny spacer, po kolejnym strzale z maszynki zobaczyłem w tunelu pomiędzy popalonymi gałęziami jaśniejszy błysk nieba. Z wrażenia zwolniłem.

- Nie dam dłużej rady, chłopaki! - Marvin zrównał się ze mną i opadł na kolana, a w tejże samej minucie owinęła się wokół niego jakaś gałąź.

Snowy odciął ją bez namysłu, a Myszak poderwał grubasa na nogi i zaraz odrąbał kolejny pęd, który podstępnie sięgał Marvinowi do gardła. Dopiero teraz kątem oka spostrzegłem, że chłopaki tam z tyłu bynajmniej się nie oszczędzały - podrapani, w poszarpanych mundurach wyglądali, jakby właśnie skończyli starcie z tuzinem wygłodniałych kotów, i to raczej koty wyszły z tego starcia zwycięsko. Nic więcej nie zdołałem zauważyć, bo Lloyd wyciągnął rękę ku prześwitowi w chaszczach i z typową dla siebie bezczelnością koniokrada przywłaszczył sobie moje odkrycie:

- Tam!

Kurczak podrzucił głowę - przypominał w tamtej chwili wielbłąda, który po czterech tygodniach błakania się po Pustyni Gibsona wyczuł powiew wilgotnego powietrza. Razem z Myszkami złapali pod ramiona Marvina i powlekli go naprzód, a ja i moja maszynka wytężaliśmy resztki sił, aby utorować im drogę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY



Mówię wam, nigdy jeszcze nie widziałem takiej soczyście zielonej trawy, jak wtedy, kiedy wreszcie wypadliśmy na czystą przestrzeń. Jednak najbardziej ucieszyło nas, że te zeschłe badyle odskoczyły od niej jak oparzone. Najbardziej zajadłe próbowały nas ścigać, wypęłzać z cienia zarośli, lecz kiedy padały na nie promienie słońca, w jednej chwili skręcały się, sycząc z bólu, i rozsypywały w próchno. Normalnie Kurczak zaraz rzuciłby się podziwiać osobliwe

widowisko, ale wówczas siły starczyło mu tylko, żeby ciężko dyszeć.

Na wszelki wypadek przebiegliśmy jeszcze kilkanaście jardów, a potem jak jeden mąż zwaliliśmy się pod wielgachnym dębem, który wyrastał na środku tej ogromnej łąki. Upewniłem się, że drzewo stoi nieruchomo i ani jeden listek mu nie drgnie w naszą stronę, a potem z ulgą zamknąłem powieki.

Natomiast Marvin znowu nas zaskoczył.

Najpierw zaczął jakoś dziwnie sapać i prychać, że już się przestraszyłem, czy mu się aby w tych chaszczach coś nie stało. Ale nie, po prostu uniósł się na czworakach i zaczął tak rzygać, jakby się miał zaraz rozpęknąć, mówię wam, musiał w marszu cały czas skubać racje, bo aż trudno uwierzyć, żeby w jednym człowieku, choćby i spasionym, mogło się zmieścić tyle żarcia. Przyglądaliśmy się temu z politowaniem, lecz bez zdziwienia, bo tak się czasami chłopakom robiło, zwłaszcza tym miastowym, nienawykłym do wysiłku. Aż tu nagle jak się Marvin nie poderwie na równe nogi i jak nie wrzaśnie:

- Co to niby ma być?! - krzyczy, wyciągając rękę w kierunku krzaków, które, mówię wam, znowu się trochę ku nam wychyliły, jak gdyby też miały ochotę go posłuchać. - Czy to jest może cholerne złoto? Bo ja się pisałem na złoto, a nie na karczowanie jakiegoś cholernego lasu... - Tu zapluł się trochę, więc Myszak, a wiecie, jaki on jest przemądrzały, natychmiast wykorzystał okazję, żeby się wtrącić:

- To wcale nie jest las...

Okazało się jednak, że nie doceniliśmy Marvina. Potrafił się chłopak wkurzyć, należało tylko trochę nad nim popracować, a tę robotę, jak się zdaje, krzaki wykonały wyśmienicie. Przyskoczył do Myszaka - było to o tyle możliwe, że Myszak akurat leżał, bo inaczej biedny Marvin wyglądałby jak dziobak obskakujący kangura - chyba chciał go potarmosić za mundur, ale w porę się opamiętał i rozdarł się jeszcze głośniej:

- A czy ja się ciebie pytam, co to, do cholery, jest?! A czy mnie to w ogóle obchodzi?! Wystarczy, że cholerstwo chciało mnie zeżreć. I to wszystko przez was - zakończył z sapnięciem głośniejszym od innych.

Popatrzyliśmy po sobie w milczeniu. Przyjemnie było dla odmiany poleżeć na zielonej murawie i dla wytchnienia posłuchać, jak ktoś wychodzi z siebie.

Tymczasem Marvin, nie wiedzieć czemu, uznał nasz brak reakcji za wyraz lekceważenia. Postanowił więc wygarnąć wszystko po całości.

- Od razu widać, co z was za nasienie. Dwa cholerne półgłówki ze Speewah, wielkie jak sosny i głupsze jeszcze niż wielkie, dzikus, który nie umie wytropić w lesie własnych gaci, stary koniokrad, co tylko dlatego żyje, że zostawił w Glenrowan kumpli, i cholerny podpalacz. - To ostatnie, jak się

pewnie domyślacie, było o mnie.

I wiecie, co? Nikt mu nie odpowiedział, chociaż taki na ten przykład Lloyd zwykle od razu łapał za spust, jeśli się przy nim wspomniało Glenrowan. Ale wtedy zwyczajnie nikomu nie chciało się wstać i strzelić go w łeb, więc stał sobie nad nami i wydierał się jak jakaś Melba. Tylko Kurczak i Myszak wyglądali na trochę urażonych, że ich pominięto.

- I jeszcze dwóch cholernych gołowąsów - Marvin chyba się zreflektował, że może jednak dostać w papę, bo pospiesznie nadrobił zaległości - co razem z resztą skończą na stryczku.

- A jeden tłusty defraudant na haku - odciął się Myszak.

- Nie z takimi dawaliśmy sobie tutaj radę - rozległ się za nami głos.

W okamgnieniu byliśmy na nogach, nawet Marvin zdołał jakimś nadludzkim wysiłkiem znaleźć się koło swojego lewisa. Pewnie mu głupio było, że przez jego durne wydzierania daliśmy się zaskoczyć jak dzieci. Tylko do mojej maszynki nie zostało już wiele paliwa, więc na wszelki wypadek czmychnąłem za Wielkiego Billa, żeby spokojnie oszacować sytuację. Ostatecznie postrzelać zawsze sobie zdążę po reszcie, pomyślałem, a tatuś ciągiem powtarzał, że co nagle, to po diable.

Jak się okazało, tatusiowa mądrość powstrzymała mnie przed jednym z głupszych błędów, jakie dało się popełnić w tamtej dziwacznej krainie. Gdybym bowiem strzelił na oślep, nigdy bym się nie dowiedział, kim jest siwobrody staruch, który podkraść się do nas równie bezszelestnie, jak Wielki Bill podchodził Boszów na wysuniętych placówkach, i teraz wychylał się ciekawie zza dębowego pnia.

Stary nie wyglądał jakoś szczególnie dostojnie, wcale nie - na grzbiecie miał szaroburą płachtę, sięgającą do kostek, brudnych zresztą i pokrytych zaskorupiałym błotem. Kapelusz chyba zgubił, bo siwe, byle jak postrzępione kłaki opadały mu na plecy i pierś, mieszając się z gęstą, skudłaconą brodą. Powiadam wam, sąsiedzi i przyjaciele, najgorszy włóczęga z buszu wstydziłby się tak pokazać ludziom na oczy. A co najdziwniejsze, do nogi miał przymocowany łańcuch - koślawy i przeżarty rdzą ginął w trawie kilka jardów za nieznanym.

Do tej pory pojęcia nie mam, jak się zdołał do nas podkraść z takim kawałem pobrzękującego żelastwa.

Dziwak nie pokazywał po sobie żadnego zawstydzenia ani lęku, choć dobre półtuzina chłopów celowało do niego z rozmaitej broni. Przeciwnie, stał sztywno, jakby mu ktoś kij wsadził w tyłek, i mierzył nas badawczo wzrokiem. Nie odwrócił oczu nawet wówczas, gdy Lloyd też na niego popatrzył, a wiecie sami, że niełatwo to wytrzymać. Trochę trwał ten pojedynek na spojrzenia. Wgapiali się w siebie jak dwa koguty, z nagłą zapędzone w ten sam kraj podwórka, a my bez słowa

ściskaliśmy karabiny.

Widziałem, jak Lloydowi zęby zaczynają szczekać, jak pogłębiają się bruzdy wokół stalowoszarych oczu oberwańca. Zacząłem się już poważnie niepokoić, kiedy wreszcie tamten pękł pierwszy.

- Z bronią?! - rozdarł się. - Do świętego przybytku z bronią?

Łypnąłem na Lloyda. Ten tylko wzruszył ramionami i dał znać, żeby odpuścić. Trzeba mu przyznać, że dla wariatów zawsze miał sporo wyrozumiałości.

- Ktoście wy są? - Obszarpaniec przystąpił do dalszej indagacji. - Chrzczeni?

Trochę odwykliśmy od podobnej obcesowości, bo, widzicie, sąsiedzi, żabojady nie bardzo potrafią sobie tak zwyczajnie od serca pogadać. No, ale u nas na farmie też nie robiło się przesadnych ceremonii, więc stary zaraz dostał to, na co zasłużył.

- A co, może wyglądamy na Abduli?! - ryknął Lloyd, który wprawdzie sam się chlubił, że od ćwierć wieku nie przestąpił progę żadnej świątyni, ale podważenie jego przynależności do Świętej Matki Kościoła natychmiast wzburzyło jego irlandzką krew.

- Oczywiście, że chrzczeni - wtrącił Kurczak; znał dobrze Lloyda i najwyraźniej chciał zawczasu zapobiec awanturze. - Ojciec Molloy raz na dwa lata zaglądał na farmę i zawsze wszystko, co się w międzyczasie urodziło, dobrze pokropił.

- I sam też się nieźle przy okazji zakropił - mruknąłem pod nosem.

Pamiętałem przecież starego ochlapusa i wiedziałem, że ściągała go do nas nie tyle pilność w wypełnianiu duszpasterskich obowiązków, ile szczere zamiłowanie do księżycówki Wuja Chucka.

- Kurczak to nawet przeszczał spodnie z wrażenia - oznajmił Myszak z szerokim uśmiechem starszego brata, który pamięta wszystkie krępujące szczegóły z dzieciństwa i nie omieszka ich wykorzystać dla pogębienia młodszego rodzeństwa.

Wydało mi się, że staruch trochę posmutniał. Może też szukał okazji do zwady.

- A nie heretycy aby? - zapytał jak gdyby z nadzieją.

Lloyd znowu się nadał na gębę, ale teraz Przygięty Mick z kolei wykazał się refleksem.

- Skądże znowu - rzekł z przekonaniem szczerego metodysty.

- Absolutnie - zawtórował mu Wielki Bill, z urodzenia syn prezbiteriańskiego pastora.

Kiedyś przyznał się nam, że ojciec nawet miał wobec niego pewne plany, ale zwątpił w duchowną przyszłość syna gdzieś koło jego siódmych urodzin, kiedy stało się oczywiste, że trudno będzie znaleźć dla niego wystarczająco dużą kazalnicę.

- No, a dzikus? - obszarpaniec wskazał na Snowy'ego, który w spokoju przysłuchiwał się niezrozumiałym przekomarzaniom białych.

- Tylko nie dzikus! - zaperzył się Myszak.

Byli ze Snowym niemal równoletkami, więc Myszak miał za sobą długie lata doświadczeń w

bronieniu tubylca przed rozmałą białą hołotą. Na farmie co parę miesięcy zatrzymywał się jakiś nieokrzesaniec, który na widok Snowy'ego, kiedy ten spokojnie pałaszował swoją owsiankę przy tym samym stole, co reszta McAndrewsów, czuł się w obowiązku przegnać go - najlepiej kopniakiem - na podlegsze miejsce. Wtedy znad talerza nieodmiennie podnosił się Myszak i powściągał cywilizacyjną misję białego człowieka. Z początku czasami obrywał, a wtedy do rozmowy włączał się tatko McAndrews albo, co gorsza, Wuj Chuck, który, jak się wkurzył, potrafił gonić delikwenta dobre dwie mile. Wkrótce jednak Myszak podrośł i przestał potrzebować pomocy. Przy tym figle trzymały się go bardziej niż starych, więc szybko rozeszła się wieść, że lepiej omijać farmę z daleka albo co najmniej trzymać język za zębami.

Oczywiście zawsze znaleźli się chojracy skorzy sprawdzić, czy aby nie było w tych pogłoskach przesady - jeden z nich miał okazję się przekonać, czy dziobak jest naprawdę jadowity, inny zaś obudził się po nocnym pijaństwie z magicznymi wzorami tubylców, wymalowanymi na twarzy popiołem z ogniska i kolorową gliną, kolejny sprawdził, jak smakuje mieszanka czerwonej ochry, ugniecionej z wapnem, psimi odchodami i tłuczonym szkłem - zwykle używaliśmy jej do trucia dingo. Powiadano, że niektóre z tych pomysłów podpowiedział Myszakowi nieodłączny Snowy, ale nigdy tego nie dowiedziono. Zresztą wkrótce Kurczak włączył się do zabawy i wówczas życie na farmie stało się jeszcze weselsze.

Tym razem jednak Snowy postanowił zepsuć nam okazję do obserwowania kolejnej porządnej bijatyki, choć przecież widok Mysza, który tłucze tego starucha, przyjemnie podniósłby morale, nadszarpnięte przez wędrówkę po zaroślach. Wydobył medalik z wizerunkiem Matki Boskiej, zamachał nim dwa razy w powietrzu przed nosem oszołomionego starca, po czym bez słowa, w poczuciu spełnionego obowiązku, schował go na powrót pod mundur.

Trzeba przyznać, czasami mnie ten czarny zaskakiwał. Nawet nie wiedziałem, że ojciec Molloy też go ochrzcił. No, ale kiedy się naprawdę dobrze upił, chrzczył wszystko jak popadnie, nie wyłączając upolowanych przez Wujka Chucka wallabie, jeśli się o nie potknął na ganku (utrzymywał potem, że wziął je za śpiących poganiaczy).

- Papistowskie brednie...! - zaskoczył nas nagle Marvin, który nieoczekiwanie ocknął się ze stuporu wywołanego pojawieniem się starca i postanowił dorzucić swoje do naszej ekumenicznej pogawędki.

Niestety, przeoczył Wielkiego Billa, który pospiesznie zatkał mu gębę. Grubas zagulgotał coś jeszcze, ale przez szerokie paluchy Billa nie przebiło się ani jedno słowo.

Dziwna sprawa z tym Marvinem, za grosz nie miał chłopak wyczucia. Na ten przykład mój tatuńcio, krewki jak to anabaptysta, też zawsze wyklinał papistowską zarazę, ale powtarzał przy tym, że jedna rzecz przekłęci papiści, a druga McAndrewsowie, którzy nie tylko krewni, ale i porządni

ludzie.

- A tyś co za jeden? - Lloyd postanowił odzyskać inicjatywę.

Stary jak gdyby się odął dumnie. Zważywszy na jego łachy, wyglądało to nawet zabawnie.

- Misjonarz - odparł, gładząc się z powagą po brodzie. - Ot, wiek już cały w pustelni siedzę, za ludzkie grzechy pokutuję, pogan obmierzłych nawracam.

Po raz kolejny wspomniałem niezmierną mądrość tatka, który jak żył, nigdy nie dał ani pensa na misje, chociaż rozmaite kwestujące na ten zbożny cel paniusie nachodziły go kilka razy w roku, a niektóre przynosiły nawet ciasto własnej roboty i pyszny sok dla dzieciaków. Tatko, owszem, brał ciasto i sok - żeby się nie zmarnowały, jak tłumaczył - ale nieodmiennie odmawiał datków, utrzymując, że on nic nie ma do tych biednych czarnych i żółtych ludzi i nie będzie im podsylał żadnych popaprańców.

- Powiadam ci, Red - prawil tatuńcio, siedząc na stopniach werandy i dzieląc kozikiem ciasto pomiędzy dzieciarnię, podczas gdy mniej lub bardziej zagniewana pańcia oddalała się właśnie wśród kłębów kurzu - jakoś nie mam przekonania, żeby się dokładać do utrzymania byle duchownego darmozjada, który będzie się przez trzydzieści lat pasł za nasze pieniądze, żeby ostatecznie nawrócić trzech nędznych żółtasów, którzy i tak niebawem zemrą na febrę albo jakąś inną cholere.

Wspomnienie tatuńcia nie natchnęło mnie zatem szczególnym nabożeństwem względem starucha, chłopaki też nie wyglądały na poruszonych - wszyscy prócz młodych McAndrews, którzy popatrzyli po sobie w ten szczególny sposób, jak gdyby przeskoczyła między nimi iskra elektryczna.

- Ten sam, który pokonał Tarasque'a? - zapytał Myszak, a Kurczak uśmiechnął się szeroko i od razu dało się poznać, że cała jego kurza osoba wręcz kipi entuzjazmem z powodu tej nowej, nieoczekiwanej przygody.

Wierzajcie, sąsiedzi, omal mu w tamtej chwili nie skręciłem tego jego wścibskiego kurzego karku.

Stary spróbował przybrać skromną minę, ale widziałem, że mało się nie rozpęknie z dumy.

- Moc naszego Pana go poskromiła - odparł, gładząc się po brodzie.

Widywałem capy o mniej skudlonej sierści.

- I baba - uzupełnił z niedbałym gestem Przygięty Mick, który lubił uchodzić za dobrze poinformowanego. - Sal nam wszystko opowiedział - dodał, machając w kierunku tubylca.

Ledwo spojrzenie misjonarza padło na Sala - który leżał bez ruchu na murawie i jak dla mnie z każdą chwilą wyglądał coraz gorzej - staruch ożywił się i poweselał. Rażnym kroczeniem ruszył ku tubylcowi, ciągnąc za sobą łańcuch. Chyba nawet zagwizdał coś pod nosem, ale zaraz przycichł. Pewnie głupio mu się zrobiło. Pochylił się nad niedobitym tubylcem, powęszył chwilę, a potem podniósł się i oznajmił z namaszczeniem: - Niechrzczony.

- A skąd niby...? - targnął się Marvin, ale Wielki Bill zaraz go przytrzymał.

- Bo tu wszyscy niechrzczeni - wyjaśnił ze spokojem misjonarz. - Znaczy się, wszyscy, prócz tych, których sam ochrzciłem, ci zaś raczej przy pustelni siedzą - pokazał za siebie, gdzie faktycznie wśród drzew dało się wypatrzeć wąską ścieżynę. - A ten tu - poklepał po policzku biednego Sala - od razu można poznać, że z zewnątrz.

- Skąd? - zdziwił się Przygięty Mick.

- Z zewnątrz. Z krainy tego potępieńca Auberona - to imię stary wręcz wypluł - żeby na niego wreszcie przyszła z niebios kara. - Podniósł wzrok na lazurowy nieboskłon, niestety, bez najmniejszego cienia choćby deszczowego obłoczka, a co tu w ogóle gadać o burzowej chmurze, z której mógłby spaść piorun i rozprawić się na miejscu z bezbożnikiem. - Gdyby nie on - potrząsnął ze smutkiem głową - zupełnie inaczej by moja praca wyglądała. Ale ów wróg najzjadlejszy naszego Pana od początku był mi przeciwny. Zrazu tylko próbował zastraszyć tych, co tu przychodzili, i wielu uległo, bo ogromna jest potęga złego w jego własnej krainie. Tych zaś, co nie ulegli, odgrodził ode mnie pasmem mocy piekielnych, dla niepoznaki przebranych w kształt różanych krzewów.

Przygięty Mick wskazał na starca i dyskretnie nakreślił kółko przy skroni, ale ja wcale nie byłem taki pewien, że pustelnik zwyczajnie bredzi. Nie ochłonęliśmy jeszcze zupełnie po przeprawie przez gąszcz i jak dla mnie, te plugawe zarośla mogły mieć za ojca samego Belzebuba.

- Skoro więc was zobaczyłem, uradowałem się niezmiernie, bo takem sobie przez chwilę pomyślał, że może moc tego piekielnika zelżała. - Oczy starca zeszkliły się nieznacznie, głos załamał na chwilę i nawet zrobiło mi się go trochę żal. - Ale nie, to moc chrztu świętego ocaliła was przed zagładą, a czar trzyma nadal, czego najlepszym dowodem jest ten nieszczęśnik - wskazał znów na biednego Sala, który faktycznie już ledwo zipał.

- Zatem wiesz, co mu się stało? - Lloyd odezwał się swoim najbardziej autorytatywnym tonem, zupełnie jak nasz sierżant, kiedy wymuszał na kwatermistrzostwie dodatkowe racje dla chłopaków.

Misjonarz zamrugał. Nie wiem, jak go tam przełożeni sprawdzali przed wysłaniem do dzikich, ale moim zdaniem nie był zbyt bystry.

- Przecież już rzekłem, że piekielne moce - burknął z urazą.

Pańskie maniery Lloyda często tak działały na ludzi.

- Może by tak konkretniej? - ponaglił go Dan. Przygięty Mick jak na komendę poderwał karabin i przybrał groźną minę: zwykle w ten właśnie sposób razem z Lloydem zastraszali naiwniaków z innych kompanii.

Ale pustelnik chyba w ogóle przeoczył tę małą demonstrację.

- Co niby ma być konkretniej? - odpysknął. - Auberon, przekleństwo na niego i jego sługusów, zrozumiał, że mocą swoją diabelską mnie nie poskromi ani z krainy precz nie przepędzi, postanowił tedy zakazać do mnie przystępu. A zakaz wzmocnił czarem i jał obsadzać granice mojej pustelni

krzakami róż, tyle że nie róże to były, jeno piekielna moc...

- ...w kształt różanych krzewów zakłeta - przerwał nieuprzejmie Lloyd, widząc, że pustelnik znów się zacietrzewia i gubi wątek. - Co, do cholery, z tymi różami?

Starzec znowu zamrugął i spojrzął na Dana z niedowierzaniem. Chyba był nienawykły do równie obcesowego traktowania, ale szybko wywęchał, że Lloyd zaraz wyjdzie z siebie, bo dokończył bardzo składnie:

- Jeśli ktoś między nie wejdzie, w sen zapadnie, a tak głęboki, jakoby to sama śmierć była. We śnie onym ani głodu, ani pragnienia nie odczuwa, nic go też zbudzić nie potrafi, a z każdą chwilą rozsypia się coraz bardziej, aż wreszcie i o oddechu zapomina. I poty śpi, póki z braku powietrza nie zemrze.

Teraz my wytrzeszczyliśmy na niego oczy.

- Ale my przecież żyjemy - zauważył niepewnie Marvin.

Starzec uniósł palec.

- Ba! Wyście ochrzczeni, a co raz pod komendę Pana popadnie, temu żadne piekielne moce niestraszne i magia Auberona się go nie ima. Co innego ten nieszczęśnik - tracił bosą stopą Sala.

Nasz przewodnik ani drgnął. Faktycznie, ledwo dychał i powiem wam, przyjaciele, takiej głupiej śmierci dotąd nie widziałem.

- Czyli co? - przemówił basem Wielki Bill. Wyglądał na naprawdę niezadowolonego. I wcale się nie dziwiłem. Ostatecznie nadźwigał się tego Sala zupełnie na darmo. - *Kaputt?*

- Jakie *kaputt?!* - rozdarł się Przygięty Mick, do którego najwyraźniej dotarły ponure implikacje śmierci tubylca. - Jak on ma czelność robić *kaputt*, kiedy on ma nas doprowadzić do... - urwał nagle i łypnął z podejrzliwością na pustelnika, czy aby i on nie jest w zмовie, mającej pozbawić uczciwego kopacza jego udziału w złocie. - Znaczy się... znaczy się, jak bez niego trafimy do domu? - wybrnął wreszcie niezdarnie. - Przecież sami nie wydostaniemy się z tej przeklętej krainy.

Staruch natychmiast poweselał. Wręcz uśmiechnął się jak kot do śmietany.

- No, jest sposób - oznajmił z dumą. - Trzeba go, póki dycha, uwolnić spod władzy Auberona, a czar jak bańka mydlana pryśnie.

Przyznam się wam, sąsiedzi, że nie od razu skumałem, o co mu chodzi. Pewnie dlatego, że zadowolony był z siebie taki, jakby mu ktoś złota w kieszenie nakładł.

- Jak? - Lloyd z całej siły zacisnął szczęki i znać było po nim, że najchętniej strzeliłby gadatliwego starucha w pysk i hamuje się tylko ze względu na Sala.

Pustelnik tymczasem pomilczał chwilę, wyraźnie rozkoszując się sytuacją.

- Chętnie pomogę, jeśli taka wasza wola - rzekł w końcu z namaszczeniem.

Lloyd zazgrzytał zębami. Nie cierpiał, kiedy ktoś się drożył, a on nie mógł go posłać w diabły i najlepiej popędzić solidnym kopniakiem. Niestety, Sal najlepiej wiedział, dokąd powędrowało nasze złoto, a bez przewodnika mogliśmy się błąkać po tej krainie do sądnego dnia.

- Trzeba go na łono naszego Pana przywrócić - wydusił wreszcie z siebie staruch. A widząc, że nic nie kumamy, dodał po chwili: - Ochrzcić.

- A, ochrzcić. - Lloyd gwałtownie poweselał. - Jasna sprawa. Bierz się zatem, ojczulku, do dzieła, nie ma co zwlekać.

Pustelnik aż się cofnął o krok, wyraźnie zgorszony bezceremonialnością Dana.

- Tam chrzcimy - machnął za siebie ręką. - Przy źródelku jest kapliczka, poczekać trzeba, aż się ludzie na uroczystość zjedną...

- A tymczasem ten biedak się ze szczętem wykopyrtnie - rzucił po cichu Marvin. - Jasna sprawa.

- Białą szatkę mu narychtować, w dzwony uderzyć... - Staruszek rozmarzał się coraz bardziej i choć nie spuszczał rozmaślonego wzroku z beneficjanta mającej się zaraz odbyć ceremonii, jakoś nie dostrzegł, że ten coraz bardziej sinieje na gębie.

Nie docenił jednak łapczywości Przygiętego Micka. Nasz kumpel ani myślał pozwolić, żeby cudze fanaberie pozbawiły go udziału w złocie.

- Oj, żebym ja tu w coś innego nie uderzył - wycedził przez zęby, podsuwając pustelnikowi pod nos wielką, spracowaną pięść. - Powiadam, chrzcij go zaraz, stary, albo ja ciebie tak przechrzczę, że mnie po sądny dzień popamiętasz.

- Jak śmiesz na duchowną osobę...! - oburzył się pustelnik, ale jeden rzut oka wokół powiedział mu, że nie znajdzie wśród nas sprzymierzeńców, i bardzo przytomnie ugryzł się w język.

- Ma tam który wodę? - zapytał Lloyd.

Nie mieliśmy. Wstyd się przyznać, ale po tej gonitwie przez chaszczę osuszyliśmy manierki do ostatniej kropli.

- Bez wody nie chrzczę - postawił się heroicznie pustelnik.

Na wszelki wypadek schował ręce za plecami i po jego minie widziałem, że się jakby szykował na natychmiastowe męczeństwo z rąk dzikiej bandy barbarzyńców. Ciekawe skąd mieliby się wziąć na tym odludziu...

- A może być księżycówka? - odezwał się zniecka Myszak.

Popatrzyliśmy na niego, jakby sam spadł z księżyca.

- Skąd masz...? - wyrwał się odruchowo Przygięty Mick, który, trzeba przyznać, za kołnierz nie wylewał, a i poszanowanie dla cudzej własności miał takie nasze swojskie, więc odkrycie, że gdzieś

w okolicy uchował się bimber, stanowiło dla niego niewąskie zaskoczenie.

- Od Wujka Chucka - wyjaśnił z niezmaconym spokojem Myszak. - Dał mi kilka kwaterek na czarną godzinę. To chyba będzie teraz, tak mi się zdaje.

- Ten stary skąpiec? - zdumiał się Lloyd.

Bo musicie wiedzieć, że prędzej by się z wami krokodyl podzielił swoją zdobyczą niż Wuj Chuck użyczył za bezdurno nieco nektaru ze swej sławnej bimbrowni.

- Powiedział, że to będzie jego wkład w - jak on to nazwał? - heroiczny wojenny wysiłek narodu - rzekł Myszak.

Wzruszyłem ramionami. Cóż, i tak od dawna wiedzieliśmy, kto jest ulubieńcem starucha. Myszak zaimponował mu, zanim jeszcze dobrze odrósł nad stół.

Namówił mnie wtedy, żebyśmy zakradli się do chaty Wujka Chucka, gdy ten właśnie ugaszczał swoich dawnych koleżków, co z nimi jeszcze kładł kolej z Sydney do Goulburn, i pospijali resztki z kieliszków. Oczywiście Kurczak zakradł się za nami - Kurczak ganiający za nami najpierw na czworakach, a potem na tych swoich koślawych, ale rącznych nóżkach był przekleństwem naszego dzieciństwa - a skoro podpatrzył, co tak zajmuje starszego braciszka, postanowił się chyłkiem przyłączyć do zabawy.

Zrobiła się chryja, Kurczak się strasznie pochorował, zarzygał pół podłogi, a potem przysnął pod ścianą jak miś koala i ani drgnął. Wuj musiał go odnieść do domu, co, jak się pewnie domyślacie, nie nastroiło go przychylnie, bo wiedział, że mamuśka McAndrews zrugą go jak psa za spicie Kurczaka. Na wszelki więc wypadek wyliczył zawczasu Myszakowi - mnie udało się uciec - co jego na goły tyłek.

Jedną ręką trzymał wrywającego się i przeklinającego chłopaka za nogi, a drugą tłukł, ile sił, póki go Myszak nie użarł w udo, ale tak, że się przegryzł przez skórzane portki i dobrał do surowego mięsa. I tym wyczynem, o dziwo, chyba Wujowi Chuckowi zaimponował, bo stary nie tylko zaprzestał dalszej młócki, ale jeszcze dał mu jakieś smarowidło na poobijany zadek, po czym w wielkiej harmonii odnieśli nieprzytomnego Kurczaka w domowe pielesze. Wprawdzie zaraz potem, na widok spitego beniaminka mamuśka wpadła w szał i tak popędziła Wujowi kota, że przez parę miesięcy nie pokazywał się na farmie, ale odtąd Myszak zawsze budził w jego zapijaczonym sercu ciepłe uczucia.

- To załatwione - rozpromienił się Wielki Bill.

- Może nawet lepiej - zawtórował mu Lloyd. - On to właściwie nawet trochę wygląda na Irlandczyka - dodał, wskazując na nieruchomego Sala.

- Co to ma niby do rzeczy? - burknął pustelnik. - Ja sam jestem Irlandczykiem, opuściłem

błogosławioną ziemię Erinu, żeby pożeglować śladem świętego Brendana...

Przygięty Mick trącił go solidnie w bok, dusząc w zarodku kolejny napad krasomówstwa.

- A, do diabła z wami, dzikusami! - dokończył całkiem nie po chrześcijańsku obszarpaniec i bez dalszego gadania zabrał się do roboty.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY



Powiadam wam, przyjaciele i sąsiedzi, jak dla mnie to ten Sal przypominał już całkiem martwego. Wcale nie miałem nadziei, żeby udało się go jeszcze przywrócić między żywych. Ale kiedy tylko stary skończył mamrotać - nicem z tego nie zrozumiał, bo chyba w ichniej łacinie - a na tubylca spadły pierwsze krople księżycówki Wujka Chucka, Sal zamrugał. Poderwał się zaraz i zaczął coś popiskiwać. Ani chybi bimber mu wpadł do oka.

- Wuj Chuck zawsze mówił, że jego księżycówka nawet martwego z grobu podniesie - oświadczył z dumą Myszak.

Na skórę Sala powoli wypełzały ognistoczerwone cętki. Cóż, najwyraźniej był biedak nienawykły, a bimber miał swoją moc. Z fascynacją spoglądaliśmy, jak najpierw ostrożnie, potem coraz swobodniej porusza ramionami i karkiem, zeszywniałymi od tego różanego dziadostwa. Tylko Przygięty Mick obserwował z żalospną miną księżycówkę, ściekającą po twarzy i szyi tubylca. Gdyby się nie wstydził kumpli, pewnie by się rzucił zlizywać, choć właściwie był to najlepiej zainwestowany trunek w jego długim życiu - i każda kropelka przybliżała nas do upragnionej zdobyczy.

- Co wyście... co wyście - wykrztusił po chwili Sal, nie zdołał jednak dokończyć, bo zaniósł się duszącym kaszlem.

- Uratowaliśmy cię. - Przygięty Mick z dumą obserwował swoją inwestycję, która spazmatycznie łapała powietrze, wyraźnie usiłując coś jeszcze powiedzieć.

- Dokumentnie - zgodził się z nim Marvin.

Sal odcharknął wreszcie i strzyknął plwociną między wysokie paprocie. Tam, gdzie padła ślina, liście natychmiast zwinęły się i poczerniały, a z ziemi podniosła się cieniutka strużka dymu. Wuj Chuck musiał się naprawdę postarać przy tej partii - albo po prostu roślinność tutaj rosła nad wyraz słabowita.

- Gównno tam uratowaliście! - wrzasnął Sal, wciąż krztusząc się trochę i przyskajac śliną. - Zniszczyliście mnie! Z mocy wyzuliście, z domu i rodziny! I gdzie ja się teraz, biedniusięki, podzieję?

Odpowiedziało mu pełne konsternacji milczenie.

- Zamilczcie, istoto - wyrzekł po chwili z przyganą pustelnik. - Łaską chrztu świętego wyrwaliście cię spod władzy złego.

Na te słowa Sal tylko poczerwieniał jeszcze bardziej i zaczął jakoś tak osobliwie sapać, jakby mu para szła uszami. Wcale mu się nie dziwiłem. Też miałem ochotę stuknąć tego przemądrzałego starucha.

- Jakiego tam chrztu? - szepnąłem do Mysza. - To księżycówka Wuja Chucka. Jakbyśmy ciut pomyśleli, obeszloby się bez tego całego chrztu.

- Ale on chyba wciąż nie doszedł do siebie, biedaczek - zawtórował mi z troską Przygięty Mick. - Zaćmiony jest jakby odrobinę, prawda?

- Ba! - westchnął smętnie Lloyd. - Niektórym nigdy nie mija. Pamiętacie tych chłopaków, co pod grzbietem Messines łyknęli gazu?

Pokiwaliśmy ze zrozumieniem głowami.

- A u nas taki jeden z byka... - zapalił się Marvin, ale zaraz zgasł pod naszymi karcącymi spojrzeniami.

Każdy z nas przecież znał parę historii o frajerach, co spadli z byka i obluzowane klepki już im nie weszły dobrze na miejsce. Ale to, do cholery, była wojna i trzeba szacunek mieć dla tych, którzy wyruszyli ku zachodzącemu słońcu, a nie próbować przelicytować opowieści o ich śmierci jakimiś bajkami o bydle! Za nic ten Marvin nie miał wyczucia, powiadam wam, ani odrobiny.

Sal chyba za bardzo nie lubił, kiedy się o nim rozmawiało tak, jakby go obok wcale nie było, bo przyskoczył do Wielkiego Billa, złapał go za klapy munduru i zaczął potrząsać. Wyglądał trochę jak pijawka, co się uczepliła piersi wołu.

- Wykończyliście mnie! - porykiwał przy tym. - Życie mi zmarnowaliście!

Wielki Bill bez jednego grymasu znosił jego wybryki, a za plecami rozcierał sobie pięść, pewnie zastanawiając się, jak by tu go stuknąć tak, żeby za bardzo nie uszkodzić, a ciutkę utemperować.

- Właściwie ma trochę racji - wtrącił zaskakująco rzeczowym głosem pustelnik. - Życia on już za bardzo mieć nie będzie.

Wytrzeszczyliśmy na niego gały.

- No, ale to tylko tym lepiej. - Staruch poweselał i nawet zaczął z animuszem pobrzękiwać łańcuchem. - Co się będzie z pogaństwem włóczył po kniei? Lepiej niech tutaj zamieszka, pomiędzy podobnymi sobie. Postawi się małą chatynkę z chrustu, dachem z mchu pokryje, byle niziutkim, żeby go żadna burza nie zdjęła, bo ich nam tu to szatańskie nasienie, Auberon, bez liku podsyla. Albo - łypnął badawczo na Sala - jeśli zechcesz się lepiej Panu przysłużyć i za ocalenie odwdzińczyć, wynajdziemy ci ładną grotę na pustelnię i przykujemy do skały na Jego chwałę... - potrząsnął znacząco żelastwem.

Dopiero teraz przypomniałem sobie, że Sal wcześniej napomykał, jakoby pustelnik na znak pobożności przykuł się do skały. Miłosiernie zmilczę o isticie papistowskiej głupocie tego pomysłu, zwłaszcza że w staruchu najwyraźniej odezwało się irlandzkie zamiłowanie do kręactwa - albo też miał do umartwień nader praktyczny stosunek, bo wydłużył sobie ten łańcuch tak, że mógł na nim przemierzać całą połąć swego małego królestwa, odgradzonego od reszty świata pasem magicznych róż.

- Ja ci zaraz pokażę pustelnię! - Nasz przewodnik odczepił się gwałtownie od Wielkiego Billa i dał susa ku gospodarzowi, który przytomnie schował się za plecami Lloyd'a.

Przygięty Mick przytrzymał Sala za kubrak na plecach.

- Ostrożnie.

- Zostaw - rzucił Lloyd. - Rację ma chłopak, żadnego tu pustelnikowania nie będzie, bo ma nam

pomóc.

- E - stary podrapał się po brodzie - tak mi się zdaje, że możecie mieć kłopot...?

Ochrzczonemu będzie trudno...

Przygięty Mick obrócił się ku niemu z szybkością atakującego krokodyla.

- A jaki dokładnie kłopot...? - zaczął, ale wtedy odezwał się Myszak, który od dłuższego czasu obserwował wszystko uważnie i aż się słyszało te przekładnie i koła zębate, z klikiem obracające się w jego mózgowicy:

- Czy ktoś mi to może wyjaśnić? - zapytał takim nieprzyjemnie cichym tonem, który przybierał tylko wtedy, kiedy był naprawdę porządnie wkurzony.

No, ale ani Sal, ani pustelnik nie znali go tak dobrze, jak my, więc zaczęli coś tam nieskładnie pokrzykiwać jeden przez drugiego. Myszak schylił się, wyjął spomiędzy traw obły kamyczek i od niechcenia cisnął nim w starucha. Ten urwał w pół słowa i zamarł z otwartymi ustami, kiedy pocisk uderzył go w pępek - starszy McAndrews uczył się rzucać razem ze Snowym wśród czarnych i naprawdę miał do tego smykałkę - a Sal też się zamknął, pewnie ze zdziwienia.

- Ty mów - Myszak pokazał na niego placem. - A ty milcz - dodał do starucha.

- Każdy z poddanych Jego Wysokości Auberona wyczuje odstępstwo - wyjaśnił z goryczą Sal. - Bo przecież czuć - uniósł rękę i znacząco wciągnął powietrze - z daleka czuć tę waszą, psiakrew, wodę święconą.

Istotnie, dawało się wyczuć, ale raczej, że się chłopak z wodą przesadnie nie lubił, święconą czy też zwykłą. Tyle że mnie akurat nadmiernie to nie wadziło. Nie darmo tatuniek gadał, że prawdziwy mężczyzna myje się dwa razy w roku - po zimie i kiedy na farmę ściągają objazdowy burdel Łysego Lonny'ego.

- Nic się nie martw, woń gorzały wszystko zagłuszy - poradził mu dobrotliwie Przygięty Mick, ale wnet się zamknął, bo Myszak wciąż wyglądał jak imbryk na gorących węglach, co to z niego zaraz odskoczy pokrywka.

- A kiedy wyczują - podjął jeszcze bardziej grobowym tonem Sal - wcale się nie będą patyczkować, oj, nie. Życia już tu mieć nie będę, ani jednej spokojnej chwili. Bo niech się tylko wieść rozejdzie, poty będą mnie ścigać, póki nie złapią i nie rozerwą na strzępy.

- Zaszczytny jest los męczenników - zdołał wtrącić pustelnik, lecz nikt na niego nie zwracał uwagi.

- Tak mi się zdaje - odezwał się niezobowiązująco Kurczak, który, gdy chciał, myślał równie szybko, jak brat - że tamci wieśniacy, cośmy się na nich natknęli na ścieżce, właśnie zamierzali ci kark skrócić. No to chyba aż tak ci się życie nie odmieni. Właściwie możesz nawet nie zauważyć różnicy.

Spojrzałem na niego z aprobatą. Miał rację chłopak, Sal zupełnie niepotrzebnie narobił rabanu

o te kilka kropel poświęconej gorzałczyny.

- Tyle że będzie różnica! - Sala jakoś nie przekonała Kurzęca logika. - Tamci to zwyczajni wieśniacy, którym wystarczyło zejść z oczu, póki trochę nie ochłoną. A możny Auberon ze swymi siepaczami tak łatwo nie odpuści.

- On na bogobojnych wyznawców strasznie cięty - dodał tonem wyjaśnienia pustelnik. - Powiadam ci, dziecino, lepiej tutaj z nami zostać, w tej naszej enklawie, co ją sam wytyczyłem i wodą święconą dla ochrony przed złą mocą wokół granicy pokropiłem. Dokładniusięńko tak, jak ten nieszczęśnik uczynił, co się tutaj przed tobą przedarł.

- Jaki nieszczęśnik? - zainteresował się raptownie Przygięty Mick, któremu wspomnienie koniowatego znów przyćmiło wszelki rozsądek.

Pustelnik machnął lekceważąco ręką, choć widziałem, że duma go wręcz rozpiera.

- A, taki tam. Centaur z gwardii królewskiej.

- Taki koniowaty? - upewnił się Mick i na wypadek rychłej młócki zaczął zakasywać rękawy. - W takim razie mam z nim jeszcze do pomówienia.

- Oj, dosyć już tego! - wkurzył się Lloyd. - Nie będziemy się dla rozrywki uganiać po chaszczach. Zrobimy, co mamy do zrobienia, i zabieramy się stąd, a jeśli będziesz miał ochotę komuś łeb rozbić, to idzie ofensywa i niejedna nadarzy się jeszcze okazja.

Staruch wysłuchał jego przemowy z jakimś takim nieprzyjemnie cwanyim zainteresowaniem.

- No, nie wiem - oznajmił, kręcąc w palcach kilka brudnych kłaków z brody - jak akurat z tym będzie.

- Znaczy, z czym? - naskoczył na niego Dan, a na skroni zaczęła mu pulsować taka sina żyła.

Pustelnik jeszcze chwilę krygował się jak panna na wiejskiej potańcówce.

- No, z tym zabieraniem się - wydusił w końcu. - Auberon was nie wypuści.

- A, ten - odparł lekceważąco Lloyd. - Po prostu trzeba mu będzie wytłumaczyć, żeby się nie stawiał. W ostateczności Red trochę podpiecze mu tyłek.

Przytaknąłem kwaśno. Świętobliwy obdarciuch nie zrobił na mnie najlepszego wrażenia i nie zamierzałem się przed nim sypnąć, że w maszynie zostało paliwa na najwyżej jedno-dwa plunięcia.

Staruch uśmiechał się coraz szerzej. Wyraźnie zamierzał podrzucić nam jakąś świnię - i rozkoszował się każdą chwilą naszej nieświadomości.

- Nie powiedziałaś im? - zapytał Sala.

O dziwo, nasz przewodnik stropił się i nagle zaczął unikać naszego wzroku.

- Nie powiedziałaś. - Pustelnik z satysfakcją pokiwał głową. - Oj, cwany jest wasz rodzaj, cwany ponad miarę, ale teraz toś się chyba sam przechytrył.

- O czym on gada? - zaniepokoił się Mick.

- Ano właśnie - rzekł przeciągle Lloyd. - O czym? Sal zaczął nerwowo zacierać ręce.

- Widzicie - wykrztusił z trudem - stąd nie jest tak łatwo się wydostać...

- Jakby było łatwo, tobyśmy się nie zgubili i bez ciebie za przewodnika - pouczył go Marvin, ale prędko się zamknął, bo chyba i on powoli pojmował, że wyszła na jaw zgoła grubsza chryja.

- My się nie zgubić - odezwał się zniecka Snowy. - My się na dobre zabłąkać. Nie widzieć ścieżek. Wcale nie widzieć ścieżek.

- Właśnie, właśnie - podchwycił skwapliwie staruch. - Bo ścieżek strzeże sam Auberon, potępioniec przeklęty. I dobrze on już pilnuje, żeby nikt więcej nie przedarł się tu z zewnętrznego świata.

- A wszystko przez ciebie! - wybuchł ze złością Sal. - Gdyby nie twoje flirty z naszą panią Titanią, nie siedzielibyśmy teraz jak króliki w kojcu.

Popatrzyliśmy z powątpiewaniem na pustelnika, a Marvin, który nie grzeszył szacunkiem dla duchownych, wręcz prychnął pod nosem z pogardą. Ale faktycznie, staruch zupełnie nie wyglądał na pozeracza niewieścich serc.

- Byłem wtedy młodszy - usprawiedliwił się stary, jakby wyczuwając nasze niedowierzanie, po czym dodał z rumieńcem: - Choć oczywiście między mną a czcigodną Titanią nie zaszło nic zdrożnego.

Sal jakoś nie wydawał się przekonany.

- Gównu tam nie zaszło - burknął. - Bez powodu by się miłościwy Auberon tak nie natęzał. Dobrą połowę swojej mocy poświęcił, żeby pozatrzaskiwać ścieżki na zewnątrz.

- I chyba nie na wiele mu się to zdało, nieprawdaż? - odparował pustelnik, wskazując na nas ze złośliwą miną. - A i ty, wyszczekańcu, nieźle sobie pohasałeś. Tylko mi się teraz nie wypieraj, pomioście ognia piekielnego. Każdy z twego rodzaju jest bez pomysłu, jak widzi ciemną dziurę, to musi w nią zajrzeć, wszystko jedno, jakie stamtąd plugastwo na boży świat wypuści.

Che, che, che, tak sobie myślę, że nawet mamuśka McAndrews, wyrzekająca na wścibstwo i ruchliwość *i* swego młodszego potomka, nie powstydziliby się tej perory. Pewnie dlatego Kurczak przyglądał się tej scenie i z kwaśnym wyrazem na swej wesolutkiej zwykle mordce. A i Salowi nie przypadła ona przesadnie do gustu.

- Że co? - zaperzył się. Pustelnik pogroził mu paluchem.

- Ty sobie ze mnie nie dworuj - powiedział - bo ja twój rodzaj dobrze znam. Nie tak, jak ci obcy nieszczęśnicy, którym możesz byle kłamstwo wcisnąć.

Nasz przewodnik szarpnął się, ale nie zdążył staremu przerwać, bo go Wielki Bill przydusił.

- Coś ty myślał - ciągnął z satysfakcją gospodarz - że jak siedzę tutaj w pustelni, to już wszelkie rozumienie o świecie straciłem? W takim razie paskudnie się omyliłeś. Widziałem, że Tarasque znów po niebie lata, bo jemu niestraszne żadne czary Auberona ani kłębowisko róż w dole. Nadto, kiedym cię chrzczył, dobrze po tobie wyczułem, żeś ty już i wcześniej był skalany, innego świata sobie próbowałeś.

Powiadam wam, sąsiedzi, że nic z tej przemowy nie zrozumiał, ale Salowi wystarczyła aż nadto. Miałem wrażenie, że chyba się nawet zawstydził.

- Ktoś musiał zatem Tarasque'a uwolnić i ścieżki na nowo otworzyć. I tak mi się zdaje - mówił dalej stary - żeś się temu nieźle przysłużył.

Coś mnie tknęło i zerknąłem na Myszaka. Gapił się na nich z takim zadowolonym wyrazem twarzy, zupełnie jak wtedy, kiedy udało się nam przekonać nowego poganiacza McElroyów, że Rozlewisko Krokodyli to najlepszy w okolicy wodopój dla bydła. I nagle pomyślałem sobie, że Myszak ma rację - jeśli tamtych dwóch jeszcze trochę poskacze sobie do oczu, może wreszcie dowiemy się więcej o tej dziwnej krainie i jej obyczajach. Wiecie, jak jest. W złości ludzie często gadają, co normalnie woleliby ukryć.

- To nie ja! - oburzył się Sal i chyba całkiem szczerze, bo mu znów te czerwone plamy wystąpiły na twarzy. - Prędeż oni! - wyciągnął ku nam paluch.

- My? - zdumiał się Przygięty Mick. - Chyba ci się we łbie pomieszało.

- Wy, wy! - zaperzył się Sal. - Tyle czasu siedzieliśmy tu sobie jak myszy pod miotłą, nikomu nie wadząc, póki nie zaczęliście nas prześladować żelastwem, ziemię wybuchami szatkować, z nieba ogień zrzucać...

- Na to akurat twój rodzaj chyba zanadto nie krzywdował - wpadł mu w słowo pustelnik.

- Ale co to za ogień? - prychnął z pogardą tubylec. - Nawet Tarasque'owi nie dał rady.

Przyznam się, ubodło mnie trochę to lekceważenie. Czekał, chojraku, pomyślałem sobie, zobaczymy jeszcze, jak sobie ten twój Tarasque poradzi, kiedy sobie pogada nie z jakimś lichym mózdzierzem, ale z porządną czteroipółcalówką.

Myszak poskrobał się z namysłem po brodzie: chyba zaczynał już rozgryzać tę całą historię.

- Oni sami i ich żelastwo niewiele by zmogli - fuknął pustelnik. - Ja myślę, że ktoś ciekawski nos z lasu wystawił. W złym momencie.

Sal zbladł nieco, a czerwone cętki na jego skórze nabrały głębszej barwy.

- To nieprawda! Nieprawda. Ja tylko... tylko na chwilę.

- Ano właśnie - podsumował pustelnik. - Wtedy się ścieżki otworzyły.

Myszak pokiwał głową.

- I wtedy zajrzała tu do was nasza artyleria? - upewnił się.

- I obudziła Tarasque'a - dodali zgodnym głosem Sal i pustelnik.

Kurczak wlepił w naszego przewodnika to swoje bystre, świdrujące od ciekawości spojrzenie.

- Aha, a tamci ludzie, cośmy ich spotkali w lesie, mieli ci to za złe.

- Przecież mówiłem, że na pewno na ścieżki położył - mruknął staruch. - Wszyscy oni jednacy, cały ich przeklęty rodzaj. Po prostu nie potrafią się oprzeć, w każdą szczelinę się wcisną. Tymczasem magia pruje się jak sukno, jeśli pojawi się w niej dziura, przy każdym przejściu się powiększa.

- Tylko się rozejrzałem - bronił się niezdarnie Sal.

- Po samym skraju lasu. Zresztą nie było na co patrzeć - dodał z niesmakiem. - Nic tylko huk, żelazo z nieba, dziury w ziemi i trupy. Żadnej ceremonii ani galanterii, nic, tylko zwykły szlachunek.

- To po co się pchałeś? - burknął urażony Mick, który chyba zapomniał, co sam wygadywał na to nieustanne siedzenie w okopach.

- I pewnie nie jeden raz - dorzucił pustelnik. - Od jednego razu tak by się ścieżki nie poszerzyły, żeby oni - znów pokazał na nas - wleźli tu bez żadnej krzywdy na ciebie i umyśle. Tyś wrót nie uchylił, tyś je wyważył. I dlatego cię tłuszcza ściga i ścigać nie przestanie.

- Dlaczego dlatego? - zapytał Kurczak czujnie.

- Ten nieszczęśnik uczynił to otwarcie całym sobą. Póki więc tutaj jest, sterczy niczym noga wsadzona w drzwi. Dlatego Auberon nie potrafi ich na powrót zamknąć, dlatego ogień z nieba tu przelatuje. I przelatywać będzie, dopóki ten, co otworzył ścieżki, tego padołu nie opuści.

Dan zastanowił się.

- Opuści jak? Nogami do przodu? Pustelnik przeżegnał się pospiesznie.

- Byłoby w sam raz, ale starczy też, jak go Auberon wypchnie z królestwa do waszego świata. Wrócić już nie zdoła, choćby mu się tak wyjątkowo trafiło jak wam.

- E, ale przecież nie tylko nam się udało - rzekł z niezwykłą jak na siebie skromnością

Przygięty Mick. - Wcześniej z pół kompanii Boszów weszło tu jak nóż w masło.

Salowi gwałtownie zrzędnęła mina. Łypnął w bok, zupełnie jakby sprawdzał, czy nie da się szybko czmychnąć, ale Marvin przytomnie zastąpił mu drogę z lewisem w rękach.

- Nie zdaje mi się. - Starzec kategorycznie pokręcił głową. - Ten centaur, gwardzista, co się wcześniej na was napatoczył, powiada, że wam pierwszym od kilku stuleci udało się przeniknąć do krainy. Bo to i sztuka nie byle jaka - dodał i w jego kostycznym głosie przez moment pobrzmiwało

coś na kształt uznania - nawet jeśli Salamander nadwątlił Auberonowe czary. Trzeba ścieżki wyczuć i czas odpowiedni, tu stanąć, tam pójść szybciej, słowem, precyzyjnie się niby polna mysz przez dziurę do spichlerza.

Jak jeden mąż spojrzeliśmy na Snowy'ego, który jak zwykle stał sobie na uboczu, grzebiąc bosymi paluchami w trawie.

- W każdym razie centaur zaprzysięgał się - dokończył stary - że nikt prócz was tutaj nie zawitał. I nikt się was tu nie spodziewał, dlatego zdołaliście bez żadnej perturbacji wdrzeć się tak daleko. Ale teraz nie będzie już tak łatwo, o nie. Auberon nie popuści, skoro wyróżniliście mu oddział gwardzistów.

- Sami się prosili - burknął Marvin.

- Ja ich też nie lubię - przyznał pustelnik - bo są najgorsi, plugawi poganie, wszyscy szlachetnego rodu, a niektórzy spokrewnieni z samym Auberonem.

- A ten koniowaty to pewnie jego szwagier! - Przygięty Mick sam zarechotał i popatrzył na nas, szukając aprobaty.

- Kuzyn - odparł stary ze wzruszeniem ramion - ale z pośledniejszej rodziny, więc teraz ze szczętem by popadł w niełaskę. A co? - burknął, widząc nasze zdziwienie. - Auberon nie przyjmuje dobrze porażek, choćby poniesionych przez najbardziej zaufanych, dlatego centaur uznał, że lepiej mu będzie resztę życia spędzić między chrześcijanami w naszej enklawie, niżli pokazać się na dworze po tym, jak mu wymordowano wszystkich towarzyszy.

Co racja, to racja, pomyślałem sobie. Przecież gdyby mi przyszło wracać z tej wojny samiusieńkiemu, bez McAndrewsów, chłopaków ze Speewah i Lloyda, chybabym już wołał wcale się nie pokazać na farmie. To spojrzenie mamuśki McAndrews... No i do śmierci by mnie wytykano palcami, że się umiałem zatroszczyć tylko o własny tyłek.

Ale zaraz się okazało, że koniowatego bynajmniej nie dręczyły wyrzuty sumienia.

- Auberon by go kazał końmi rozerwać - dorzucił starzec. - Albo przywiązać do drzewa tuż przed siedzibą Tarasque'a, żeby potwór za niego odwalił brudną robotę. A tak przynajmniej jedna duszyczka na chwałę Pańską przybędzie...

- Tyle że nie za szczere to jego nawrócenie, skoro ze strachu przed stryczkiem - wtrącił złośliwie Marvin.

- Pan Bóg szczęśliwy z powrotu każdej zbłąkanej owcy - pouczył go z namaszczeniem pustelnik - choćby i najbardziej parszywej...

- No dobrze - przerwał mu Myszak i wlepił w Sala jedno z tych swoich świdrujących spojrzeń, pod którym, powiadam wam, skóra człowiekowi cierpła na grzbiecie. - A co z Boszami?

Nasz przewodnik z bożej łaski stropił się okrutnie. Zaczął trzeć brodę i przestępować w miejscu, jakby mu ktoś zagroził drogę do latryny.

- Żadnych Boszów nie było - wykrztusił wreszcie.

Chłopaki zaraz się jakoś tak jednomyślnie przysunęły, okrążyły go ciasnym pierścieniem i nie wyglądały teraz przyjaźnie, oj, wcale nie.

- Na samym początku byli - sprostował Sal pospiesznie. - Znaczą się, jeszcze tam, w waszym świecie. Ale potem już nie, ani jednego... - Zaczął się coraz bardziej płatać pod naszym wzrokiem.

- A złoto? - wyrwał się Przygięty Mick, którego chciwość znowu tak sparła, że zapomniał o tajemnicy.

- Złoto było - zapewnił go Sal, a jego następne słowa nieomal zagłuszyły westchnienia ulgi, które wyrwały się z piersi Micka i, o dziwo, Marvina. - Prawdziwiusieńkie złoto, jak się patrzy. Auberon specjalnie wysłał swoich ludzi do waszego świata, żeby mu takie wyszukali.

- Co?! - wydarliśmy się zgodnie.

Sal skulił się, zgarbił. Powiadam wam, sąsiedzi, gdyby mógł, toby się chłopina pewnie pod ziemię zapadł. I słusznie, bo sam miałem w tamtej chwili ochotę przypalić mu tyłek.

- Widzicie, Tarasque naprawdę wszystkim dobrze dokuczył - zaczął tłumaczyć płaczliwym, proszącym głosem. - A nie wiadomo, jak się go pozbyć. Jeszcze spętać jakoś by się od biedy dało, lecz gadzina przebiegła drugi raz się nie nabierze. Zranić - można, ale to go tylko bardziej rozżłości.

- Trzeba ubić jaszczura i tyle. - Mick zawsze lubił proste rozwiązania złożonych problemów.

Pustelnik się uśmiechnął z wyższością.

- To się może udać tylko w jakimś specjalnym miejscu - odpowiedział. - Gdzie łaska boża dopomoże.

- Albo - uzupełnił nasz przewodnik - jakaś potężna wyrocznia jasno powie, co zrobić i gdzie. Ale to sztuka nie lada i tu nawet nasz dobry pan Auberon nic poradzić nie umie.

- I dobrze - nie omieszkał wtrącić pustelnik. - Kara boża wisi nad nim nieuchronna i niebawem całkiem potępieniec spuści z tonu.

- Zatem pan nasz dobry postanowił się jąć sposobu - mówił tymczasem Sal - skoro już raz dało się podstępem smoka poskromić.

- Jakim podstępem? - obruszył się staruch, a ogniwa jego łańcucha zagrzechotały złowieszczo. - Łaską Pana naszego...

Lloyd machnął na niego ręką, zupełnie jakby się opędział od uprzykrzonej muchy.

- A wiadomo wszak, że smoki najbardziej są łase na złoto. Auberon postanowił tedy, że trzeba pułapkę przyszykować i potwora do złota przywabić. Ale Jego Wysokość nie kwapił się bynajmniej wydać na ten cel swojego skarbcza, zwłaszcza że marną odrobiną kruszcu Tarasque by się nie zadowolił. Moźnowładcy też się postawili okoniem, powiadając, że skoro miłośnicy Auberon

własnego majątku nie chce nadwątlić, oni tym bardziej w rodowych dobrach uszczerbku nie poczynią.

- Aha - odezwał się Myszak jednym słowem, ale, powiadam wam, było ono ciężkie jak kafar. Sal skulił się jeszcze bardziej.

- Zwrócił się więc nasz miłościwy pan Auberon ku drugiej stronie. - Łypnął na nas niepewnie.

- Tej waszej, znaczy. Dzień i noc patrzył, okazji wyczekiwał, aż wreszcie wypatrzył.

Lloyd sapnął nerwowo. Mówię wam, taki był na gębie czerwony ze złości, jakby mu zaraz krew miała przez policzki trysnąć.

- Cały wóz złota! Pełnusięki! - Nasz przewodnik ożywił się nieco. - Wprawdzie pilnowali go ci tam, co ich nazywacie Bosze, ale przecież nie stanowili żadnego kłopotu dla władcy tak potężnego, jak nasz najłaskawszy Auberon. Wysłał im naprzeciw gwardzistów, dla niepoznaki przebranych na waszą modłę, żeby się podstęp przedwcześnie nie wydał.

No i wszystko jasne, pomyślałem. Teraz przynajmniej wiedzieliśmy, kto tak sprawnie wytlukł biednych Hunów i dlaczego się nas czepiły tamte dwie babiny z chrustem. Bidule wzięły nas za swojaków w wyprawie po złoto.

Pustelnik pokiwał głową.

- A tyś, gadzino, oczywiście się za nimi powłókł. Oj, tak mi się zdaje, że nie dożyjesz ty w spokoju starości, zgubi cię ta ciekawość.

Na polance zaległa złowieszcza cisza. Wszyscy przetrawialiśmy opowieść w skupieniu.

- Może prędzej, niż myślisz... - Wielki Bill zaczął splatać i rozplatać palce.

Przy każdym trząśnięciu kostek Sal wzdygał się jak po uderzeniu. Powiadam wam, sąsiedzi i przyjaciele, dawno nie widziałem tak wystraszonego chłopiny, aż wstyd brał. Pewnie dlatego mu Bill odpuścił - bić takiego to żadna przyjemność, zupełnie jak kopnąć bezdomnego kota.

- A co ma się dalej stać? - zapytał Kurczak, ale jakoś tak spokojnie, bez swej zwyczajnej ekscytacji i od razu wiedziałem, że odpowiedź mi się wcale nie spodoba. - Z tym złotem?

I wiercie mi, sąsiedzi, tylko dlatego ten Sal wciąż łązi po bożym świecie, że kiedy nam wreszcie wszystko powiedział, tośmy się wzięli za łby, który mu kark skręci.

ROZDZIAŁ JEDENASTY



Tłukliśmy się w najlepsze, tylko Snowy z tym swoim wielgachnym nożem pilnował Salamandra, żeby się złośliwie nie wymknął, póki nie dostanie co jego. I powiem wam, przyjaciele, że po tych wcześniejszych cudacznościach i czarach-marach taka swojska naparzanka na pięści, zęby i kopniaki bardzo nam się przydała dla przywrócenia tradycyjnych wartości i pogody ducha. Nawet Marvin usiłował wyrwać co jego, choć wcaleśmy tego po nim nie oczekiwali, i tarzał się po murawie, kłając wszystkich równo od dołu.

Zabawę przerwał nam pustelnik. Biedak odwykł tutaj między dzikusami od normalnych rozrywek. Zaczął latać wkoło - bośmy się dobrze na trawie skłębili - łać tym łańcuchem, co go miał przy nodze. No, przyznam, że to nas trochę otrzeźwiło, i dobrze zresztą, bo wrzaski niosły się po całej okolicy i nie wiadomo, jakie nowe obrzydlistwo byśmy na siebie ściągęli.

Najpierw jednak należało zdecydować, co z Salem. Przyznam wam, że nadal miałem szczerą chęć przysmażyć go, i to tak na wolnym ogniu, żeby poczuł, jak zdycha. Przygięty Mick też trzymał w ręku ten swój zębaty bagnet i widziałem, że tylko czeka, żeby wyprać tubylcowi flaki - podstępny zamach na złoto uraził do żywego jego szczerą, dobroduszną naturę.

- Dajcie mu spokój. - Kurczak nieoczekiwanie ujął się za Salem.

Łypnąłem na niego ze zdumieniem. Miał wprawdzie podbite oko - chyba w tym zamęcie zderzył się, nieboraczek, z pięścią Wielkiego Billa - ale poza tym jego Kurzęca facjata nie zdradzała żadnych zaburzeń, a w każdym razie żadnych nowych zaburzeń.

- Zdurniałeś? - oburzył się Przygięty Mick.

- Młody ma rację - poparł brata Myszak. - Przecież nie obiecywał, że pomoże nam zdobyć złoto. Mówił tylko, że nas do niego doprowadzi.

Zmarszczyłem czoło. Owszem, jeśli tak spojrzeć na sprawę, Sal był niewinny jako lelija. A jednocześnie dobrze wiedzieliśmy, że próbował nam wyciąć paskudny numer i tylko przez przypadek wszystko wyszło na jaw.

- Niby racja - zgodził się po chwili namysłu Lloyd. Powiadam wam, pewnie już wtedy powinienem się był zorientować, że ze starym koniokrądem coś złego się dzieje, bo wcześniej sam by zdrajcę powiesił na suchej gałęzi. Ale nie, pomyślałem tylko, że się posunął, zmiękł, jak to się często ludziskom na starość przydarza, i nie przypomina już tego Lloyda, który wjechał z Nedem Kellym do Glenrowan.

Bo słyszeliście o Glenrowan, przyjaciele, o Nedzie Kellym? Jasne, kto by nie słyszał. Jego ojca - też go wołali Red - zesłano do naszej dobrej Aussie za kradzież dwóch świń. Odcierpiał swoje w karnej kolonii na Ziemi Van Diemena, a potem przeniósł się do Wiktorii, tam, gdzie wcześniej osiedliły się też rodziny Lloydów i Wrightów. Wszyscy oni byli tam jakoś pokuzynieni, jak to między Irlandczykami w małej okolicy. Staremu Kelly'emu zeszło się z tego padołu, kiedy Ned miał coś ponad dziesięć lat, więc chłopak szybko musiał zacząć dbać o rodzinę. Zresztą sami wiecie, jak to jest. Wszyscy wiedzą...

Wnet zaczęły się oskarżenia - niby to napadł na jakiegoś zóltasa, niby ukradł czyjąś kobyłę... Tak po mojemu, pewnie się na niego uwzięli, bo był młody, głupi, narwany i nie miał ojca, który by za nim stanął, a w razie konieczności dupę skroił i nauczył rozumu. Ale całe prawdziwe zło zaczęło się od tego ścierwa, konstabla Fitzpatricka, który próbował przymusić siostrę Neda, Kate. Kiedy go

obito, z zemsty oskarżył Neda i jego brata Dana, że próbowali go zastrzelić. Chłopaki uciekły do kryjówki, bo jakoś nie chciały wierzyć, żeby policja wysłuchała ich racji. I co się dziwicie? Sam bym na ich miejscu uciekł, pewnie jeszcze dalej. Bo jeśli się w okolicy na kogoś uwezma, choćby się cały złoty okazał, zawsze już zostanie mordercą, złodziejem i podpalaczem.

Potem już poszło z górki - sierżant Kennedy, zabity w durnej, przypadkowej strzelaninie nad Stringybark Creek, napady na banki, porwania. I właśnie w taką kompanię wdał się za młodu Dan Lloyd - też z pochodzenia Irlandczyk, więc zapalczywy i bez rozmysłu, na dodatek najmłodszy spośród kuzynów Kelly'ego i najbardziej ulubiony. Pewnie dlatego ten próbował pozbyć się go z bandy, ale nic z tego nie wyszło, bo wszyscy tam patrzyli w Neda jak w obrazek, szczególnie po napadzie na bank w Euroa, gdzie zgarnął całe dwa tysiące funtów. Tak czy siak, Dan był z nimi, kiedy w końcu zasadzili się na Aarona Sherritta.

Do tej pory ludziska się u nas spierają, czy Sherritt naprawdę donosił policji, czy przeciwnie, sami policjanci rozpuścili te plugawe plotki, żeby podszczuć na niego kumpli. Dość, że Dan Kelly z jeszcze jednym chłopakiem zastrzelili Sherritta. Następnego dnia cała banda pojawiła się w Glenrowan i wzięła siedemdziesięciu zakładników w miejscowej gospodzie. Jeden z tychże - nauczyciel ponoć, widzicie, rację miał mój tatuńcio, jak powiedział, że nic dobrego nie płynie ze szkolnej edukacji - zdołał jednak ściągnąć policjantów, którzy właśnie jechali pociągiem w zbożnej misji pojmania najsłynniejszego z bushrangerów.

O świcie rozpoczął się atak. I wtedy właśnie Ned włożył ten swój blaszany pancerz, który miał go chronić przed kulami z rewolwerów - swoją drogą, najdurniejsza rzecz, jaką w życiu słyszałem. Zresztą wszyscy wiedzieli, jak się to dalej musi potoczyć, nawet sam Ned, bo próbował zawczasu odesłać Lloyda. Dan wprawdzie pałętał się z nimi od kilku miesięcy, ale nie nabroił jeszcze jak inni, nikogo na ten przykład nie zabił. Młody - bo wówczas Danowi ledwo wąż się zaczynał puszczać - oczywiście za nic nie chciał słuchać. Dlatego Ned go, dla jego własnego bezpieczeństwa, postrzelił i rannego zostawił. A kiedy na koniec policja podłożyła ogień pod gospodę, wielebny Gibney wywlókł go z płomieni i skłamał, że był jednym z zakładników.

Tak sobie teraz myślę, że tamten dzień w Glenrowan zawsze już prześladował Lloyda. I pewnie dlatego w końcu zrobił tak, jak zrobił. Ale to się wydarzyło znacznie później, dobrze pod wieczór. A na razie siedzieliśmy na zieloniusieńkiej murawie u pustelnika i zastanawialiśmy się, co dalej.

Złota oczywiście nikt nie chciał odpuścić, nikomu to przez głowę nie przeszło. Nie po to tłuśliśmy się taki szmat drogi, żeby nam je teraz sprzątnął byle magiczny wypierdek albo jakiś inny smok. Pozostawało tylko rozstrzygnąć, co począć z Salem.

Ja tam wciąż byłem za tym, żeby go przysmażyć. Ale Kurczak się uparł. Mówię wam, okropnie za tym morzem zmiękł dzieciak. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdybyśmy tam dłużej

posiedzieli.

- Po co te wszystkie ceremonie i narady? - burczał nadąsany Przygięty Mick. - Kark mu zwyczajnie skręcić i po kłopotcie.

- A do domu sam stąd trafisz? - zagadnął go złośliwie Myszak, który akuratnie trzymał jednolity front z bratem, a rzadko, oj rzadko, się tak zdarzało.

- Snowy da radę - oznajmił prostodusznie Mick. Ale czarny z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Trudna sprawa - powiedział. - Mało widzieć.

Mówię wam, przyjaciele i sąsiedzi, w takiej chwili nas zawiódł! Dziakiemu nigdy nie można ufać. Prędzej czy później odezwie się jego paskudna, zdradziecka natura.

- Niby ten przybłęda nas lepiej poprowadzi? - prychnął Marvin. - Najprędzej prosto w smoczą paszczę.

Miastowy był ten Marvin i głupi jak but, a tutaj zgadzałem się z nim w stu procentach.

- Nie zdaje mi się - zaprzeczył energicznie Kurczak. - Może wcześniej by tego próbował, ale teraz za bardzo sobie tutaj nie pobryka. Nie, nie da rady...

Wgapiłem się w niego jak sroka w gnat.

- Bo ochrzczony - wyjaśnił miłosiernie Myszak, kiedy pozostali również nic nie rozumieli. - Sam mówił, że musi uciekać, bo tu już życia mieć nie będzie. Więc jeśli chce ocalić skórę i czmychnąć na naszą stronę, bardziej nas potrzebuje niż my jego. A u nas różnie się jeszcze może okazać... - Zawiesił znacząco głos. - Przecież wiecie.

Aż się uśmiechnąłem, kiedy dotarło do mnie, co Myszak miał na myśli. Wprawdzie smok to smok i trudno go przelicytować, ale nasz świat również obfitował w rozmaite pułapki - bimbrownię Wuja Chucka, Becky z objazdowego burdelu Łysego Lonny'ego, gospodę Starego Jacka i nawet letnie pastwisko McElroyów. Każda z nich mogła przyprawić człeka o utratę trzymiesięcznych zarobków, potężny ból głowy albo i wybicie kilku zębów. Może więc uda się nam kiedyś Salowi odwdziaczyć. I to tak, że popamięta na resztę życia, żeby nie zadzierać z chłopakami z Aussie.

Wymknęliśmy się z enklawy chyłkiem, jakąś boczną ścieżką. Gałęzie już się nas za bardzo nie czepiały, pewnie te, cośmy je wcześniej minęli, szepnęły im to i owo na temat mojej maszynki. Za to pustelnik na wieść, że zamierzamy go opuścić, dostał strasznego szału. Na przemian groził nam

deszczem ognia i siarki, spuszczone przez mściwe niebiosy - a wiecie, zawsze mnie ta biblijna przypowieść ciekawiła i chętnie bym kiedyś coś takiego na własne oczy zobaczył - to znów błagał, żebyśmy go zabrali ze sobą. Ale w pościgu za złotem nie mogliśmy sobie wziąć na kark staruszka, na dodatek cokolwiek obłąkanego. Tak jednak mącił, tak przeszkadzał, że wreszcie Wielki Bill wyłamał konar z dębu, wbił go solidnie jednym końcem w ziemię, a wokół drugiego nawinał łańcuch pustelnika.

Biedak, wciąż szamotał się i ujadał jak burek na uwięzi, kiedy odchodziliśmy. Na szczęście głos miał donośny, więc go pewnie niebawem uwolnił któryś z jego przechrzczeńców.

Mnie jednak niepokoiło coś znacznie ważniejszego niż los wiekowego misjonarza. Tym razem bowiem szybko wyszliśmy z różanej gęstwiny na czystą przestrzeń, słońeczko przygrzewało jak wściekłe, na niebie ani jednej chmurki, a ja znowu zacząłem widzieć jak przez mgłę. Nie, właściwie jeszcze gorzej - czasami w polu widzenia pojawiało się coś dziwnego, jakby obłoczek z rozpylonych drobin szkła, w którym załamywało się światło. Tarłem ślepią i wtedy zniknęło na chwilę, żeby zaraz pojawić się w innym miejscu. A najczęściej gromadziło się to wokół głowy tej zdradliwej gadziny, Sala. I tak pomyślałem sobie, ani chybi to znak, żeby przesadnie nie wierzyć we wszystko, co naobiecował.

Bo kiedy już przyszło co do czego i Przygięty Mick stanął przed nim z tym swoim wielkim, zębatym bagnetem, nasz przewodnik z bożej łaski rozkleił się zupełnie. Błagał o litość, przysięgał, że już nic nie wywinie, a na koniec próbował całować Lloyda po rękach, nie wiedząc czemu uznawszy, że akurat on ma w tej sprawie najwięcej do powiedzenia.

Stary strasznie się zirytował, strzelił Sala w łeb, czym uciszył go na trochę, i Myszak mógł wreszcie wytłumaczyć tubylcowi, co postanowiliśmy. A postanowiliśmy trzymać się pierwotnego planu - z jedną drobną zmianą, którą stanowił zębaty bagnet Micka, przytknięty znacząco do pleców kombinatora.

Sal dreptał więc z niewesołą miną tuż za szpicą w osobach Snowy'ego i braci McAndrews - na sam przód go nie puściliśmy, żeby nie czmychnął albo, co gorsza, nie sprowadził nam na kark jakichś koleżków - i pokazywał drogę. Ale miałem takie dziwne wrażenie, że stara się trzymać blisko mnie. Niby szedł koło Lloyda, ale na wzniesieniach sapał, powłóczył nogami, a potem hyc i był tuż obok. Po kilkunastu jardach Mick dźgał go z lekka bagnetem w łopatkę i tubylec posłusznie truchtał na swoje miejsce, żeby po chwili znów zdryfować prościusienko do mnie. I gapił się jakoś tak znacząco. Powiadam wam, aż mi się nieprzyjemnie robiło.

- Co, piecze? - zapytał, widząc, że znowu trę oczy. Wymamrotałem coś niezrozumiałe. Jakoś nie miałem ochoty mu się zwierzać.

- Z wrózkami tak już jest. - Sal najwyraźniej postanowił się z kimś zaprzyjaźnić; nie

rozumiałem tylko, dlaczego mnie sobie wybrał na obiekt sympatii. - Mściwe cholery.

Znów zabzyczałem coś pod nosem. Wróżkę odwiedziłem raz, kumple mnie zaciągnęli. Byliśmy na przepustce w jakiejś egipskiej dziurze, wpadliśmy tam świętować moje urodziny. Spiliśmy się jak należy i tylko dlatego dałem się zawlec do jakiejś babiny w najbardziej zakazanej części suku - Kurczak ją wynalazł i poty wiercił wszystkim dziurę w brzuchu, póki się nie zgodziliśmy. W środku było ciemno, brudno i śmierdziało wyschłym zielskiem, a przy niskim, trójnogim stoliku siedziała najbrzydsza starucha, jaką w życiu widziałem. Mówię wam, moja świętej pamięci babka wyglądałaby przy niej jak anioł, chociaż trzech mężów od niej po kolei uciekło. Z początku nicem nie rozumiał, co gadała, ale potem Kurczak, zaraza na niego i to jego wścibstwo, zaczął tłumaczyć. I tak się dowiedziałem, że ożenię się z królową, która powije mi troje dzieci - córka będzie z ognia, a synowie z wody.

Dobre parę miesięcy mi potem chłopaki dogadywały, że czas się pozbyć króla Jerzego i że mi nie starczy żołdu na nowe świecidełka dla królowej May, która przecież nie pokaże się ludziom inaczej niż obwieszona klejnotami jak choinka na święta.

Tyle że zupełnie nie rozumiem, co to niby miało mieć wspólnego z moimi opuchniętymi ślepiami.

- Zaproszyła ci oczy pyłkiem - gadał dalej niezrażony moim milczeniem Sal.

Zmarszczyłem brwi. Owszem, jak przez mgłę przypominałem sobie, że starucha sypała jakieś zioła, ale na pewno nie na mnie, tylko na misę z żarem. I nawet przez chwilę chciałem mu powiedzieć, że w życiu bym nie podszedł do starej - mówiłem wam już, że z wyglądu przypominała trucicielkę? - wystarczająco blisko, by mogła we mnie czymkolwiek rzucić. Tyle że zaraz sobie przypomniałem, że rozmowa z nim jest stanowczo poniżej mojej godności.

- Nie wierzę we wróżki - burknąłem tylko. Sal uśmiechnął się pobłaźliwie.

- E, co tam u was mogą być za wróżki?

Nigdy bym nie pomyślał, że mogę bronić honoru starej abdulskiej wiedźmy, ale, powiadam wam, przyjaciele i sąsiedzi, od razu miałem ochotę mu przylać.

- A skąd ty możesz wiedzieć, cherlaku? - obruszył się zamiast mnie Przygięty Mick. - Ileś się tego naszego świata naoglądał?

- Niedużo - przyznał Sal. - Trudno się było dalej wkręcić przez te wszystkie okopy, leje, zasieki.

Mick wzruszył ramionami.

- Po co się w ogóle tam pchałeś, chłopie? - zapytał ze swoją zwyczajną dobroduszością. - Widać, żeś mały, chudy, strachliwy, do wojowania nie masz smykałki. Nie lepiej ci było siedzieć między swoimi? Tutaj przynajmniej spokój, cisza, świeże powietrze.

- Przecież to jasne - odezwał się z tyłu zasapany Marvin. - Na przeszpiegi chodził, węszyć dla tego ich Auberona. Albo może i dla Boszów - dorzucił po chwili.

- Dla jakich Boszów? - prychnął z urazą Sal. - A Auberon tylko swoich najbardziej zaufanych do was posyła. Jakby się zawczasu o mnie dowiedział... - Machnął ręką. - Ech, szkoda gadać, teraz i tak wszystko stracone przez ten chrzest - dokończył kwaśno. - Żadna mnie nie zechce.

Aż z Przygiętym Mickiem przystanęliśmy z zaskoczenia. A zaraz potem zgodnie ryknęliśmy śmiechem.

- I dlatego do nas lażeś? - wykrztusił po chwili Mick.

Chyba udało się nam go wkurzyć, bo Sal znowu miał na gębie czerwone plamy, a ten połyskliwy obłoczek wokół jego skroni wyraźnie zgęstniał.

- Może dla was to łatwa sprawa! Ale mnie znalezienie samicy wcale nie przychodzi łatwo.

- I nieprędko przyjdzie, jeśli tak do nich startujesz - pouczył go Mick. - Z kobietami trzeba delikatnie. Pogadać, poadorować...

Uniosłem brew. Po kim jak po kim, ale po Przygiętym - którego ulubioną formą zalotów było pojenie wybranki piwem, dokarmianie przydziałową mielonką i macanie - nie oczekiwałem podobnego wyводу. No, ale Mick miał kilka zalet, o jakich biedny Sal mógł tylko pomarzyć. Na przykład przewyższał go o dwie głowy.

- Nie łam się, chłopie - perorował tymczasem Mick, bo, jak mówiłem, w gruncie rzeczy poczciwy z niego chłop i nikomu źle nie życzy. - Znałem brzydszych od ciebie, naprawdę, też świetnie sobie radzili z babami, więc i tobie się wreszcie powiedzie.

- A jakby nie - wtrącił Marvin, który jak zwykle podsłuchiwał - po prostu wyjmij maconachie. Nie uwierzysz, jaki się człowiek staje atrakcyjny, kiedy trzyma w ręku konserwę.

- O, właśnie! - ucieszył się Mick, który był odporny na ironię jak mało kto. - Zresztą jeśli cię tak strasznie sparło, zawsze możesz się przecież ożenić.

Chciałem dorzucić swoją porcję dobrych rad, ale dokładniusięńko w tamtej chwili dopadł nas Lloyd i kazał nam się natychmiast zamknąć. Zupełnie jakby mu kulturalna rozmowa w czymś wadziła, koniokradowi staremu. Ale przegiął paskudnie, bo wtedy w końcu zbuntował się Wielki Bill.

Wielki Bill rzadko się denerwował. Nie wyprowadzało go z równowagi ani bombardowanie,

kiedy cała reszta kulila się na dnie okopu, zasłaniając ramionami głowy i wyliczając jękliwie najbardziej plugawe przekleństwa. Nie wkurzał się, kiedy trzeba było pełznąć przez ziemię niczyją po jakiegoś rannego chłopaka, który jak ostatnia ofierma uwiązał pomiędzy drutami kolczastymi. Ze spokojem przyjmował wyczyny snajperów, pociski uwalniające kłęby trujących gazów i samoloty, które od czasu do czasu gnębiły nas w okopach. Po prostu wiedział, że ma tu swoją robotę do wykonania, a tamci, po drugiej stronie frontu, też nie mogą próżnować.

Co tu gadać, był taki ogromny, że zwyczajnie nie musiał się złościć. Skoro wreszcie wynurzył się z okopu, umazany błotem i wielgachny jak jeden z tych słoni, które Kurczak wypatrzył u Abduli w zwierzyńcu, biedni frajerzy, którzy zamierzali go nadziać na bagnety, natychmiast postanawiali sprawdzić, czy nie są potrzebni w jakimś zupełnie innym miejscu. Najlepiej naprawdę daleko od Wielkiego Billa. Choroby też się go za bardzo nie imały. Pewnie dlatego, że kiedy jakaś zaraza zaczynała go podgryzać z jednego końca, prędko się orientowała, jakie gigantyczne połacie mięsa i flaków musi pokonać, nim dotrze do drugiego, więc wołała walkowerem oddać pole.

Pamiętam, że raz jeden, zanim jeszcze się zorientowaliśmy, dlaczego starzy wyjadacze kazali nam codziennie wietrzyć nogi, w stopę wdała mu się gangrena. Najmniejszy palec zzółkł, potem zsiniał, a pod paznokciem zebrała się ropa. Wielki Bill kulał przez trzy dni i pod czujnym okiem Snowy'ego robił sobie jakieś okłady z zielska. W końcu, kiedyśmy się właśnie zdrzemnęli po obiedzie, odciął sobie zakażony kawał palucha - tak na oko dobre półtora cala. Potem nie miał już żadnych problemów. Gangrena, podobnie jak inne przypadłości, pojęła, że Wielkiemu Billowi nie poradzi, i dała sobie spokój.

I nie myślcie sobie, że był głupi, jak wielu tych potężnych osiłków, którzy całymi dniami przesiadują na ganku, z tępą miną gapiąc się na przechodniów. Nie, nie, Wielki Bill w potrzebie kojarzył całkiem szybko, chociaż przeważnie nie musiał wysilać mózgownicy. Wystarczyło, że spojrzał na delikwenta z wysokości swoich ośmiu stóp i grzecznie poprosił, a najtrudniejsze sprawy jakoś rozwiązywały się same. W każdym razie ja nie zamierzałem wchodzić mu w drogę, została mi jeszcze odrobina pomysłu. Lloydowi, jeśli już o nim mowa, również i ani pisnął, kiedy Wielki Bill zażądał odpoczynku i posiłku.

Tylko Marvin próbował szurać, ale on chyba wciąż niezupełnie rozumiał, z kim go zetknął los.

- Teraz będziesz zreć? - zaczął się żołądkować. - Kiedy prawie dogoniliśmy złoto?

Wielki Bill zrzucił karabin i plecak na ziemię. Poduchy mchu ugięły się pod ciężarem i zaraz rozprostowały sprężyste. Powiadam wam, wyglądały naprawdę wygodnie. Nagle poczułem, jak bardzo bolą mnie opuchnięte od marszu stopy, jak doskwiera skóra pocierana od sprzączek oporządzenia i porozrywana kolczastymi pnączami.

- To je sobie goń, droga wolna - odparł flegmatycznie Bill. - Ja o pustym żołądku dalej nie idę.

- Jasne - zawtórował mu Przygięty Mick, najwyraźniej zapomniawszy, jak nas jeszcze parę godzin temu poganiał. - Złoto nie zajac, nie ucieknie, a z głodu się można na dobre przekręcić.

To akurat nie było prawdą. Po pierwsze, ze śladów wynikało, że nasze złoto przemieszcza się w naprawdę niezłym tempie. Po wtóre, śmierć głodowa raczej Mickowi nie groziła, bo w całym tym wojennym zamieszaniu zdołał sobie wyhodować całkiem pokaźne brzuszysko.

- Żarcie się skończyło - oznajmił Myszak.

Starszy z braci McAndrews pełnił w naszym towarzystwie funkcję kwatermistrza - zapewne dlatego, że w przeciwieństwie do Micka, Billa i Lloyd'a nie potrafił wszystkiego wtrząchnąć od razu. Bo ci trzej, powiadam wam, bez zwłoki pochłaniali co tylko udało się zdobyć na Boszach albo w kuchni polowej.

- Coś się złapie. - Wielki Bill, bynajmniej niezniechęcony, rozejrzał się po lesie.

Drzewa rosły tam całkiem gęsto, a w dole między pniami zielone kolczaste krzaki tworzyły niemal jednolitą ścianę. Założę się o własne wąsy, że wręcz roiło się w nich od zwierzyny. A jak jeszcze w okolicy trafiłby się staw, to mielibyśmy biwak jak królowie. Od czasu do czasu łowiliśmy sobie we Francji rybki, używając tego, co nam armia dostarczyła. Na szczęście William Mills był łąbskim gościem i chyba zapalonym wędkarzem.

- Polować chcecie? - Marvin załamał ręce i przez chwilę wyglądał jak moja nieboszczka babcia, biadoląca, że tatuś znów trzyma w stodole cztery beczułki z naftą.

Doprawdy niektórzy nie potrafią pogodzić się z nieuniknionym.

Wielki Bill wzruszył ramionami.

- Zaraz tam polować. Złapie się kilka królików, dorzuci parę jajek. Dobrze mówię, Snowy?

Czarny bez słowa zniknął w chaszczach, a reszta zaczęła się wygodniej mościć na mchu, uznawszy, że sprawę aprowizacji mamy już rozwiązaną. Lloyd oparł się plecami o pień, ściągnął hełm i z wolna zapadał w błogą drzemkę. Też bym chętnie przysnął, ale Marvin, biedna niezguła, poty się kręcił przy ścieżce i mamrotał do siebie z dezaprobatą, póki starego nie wkurzył i nie przypomniał mu o obowiązkach.

- A wy, smarkacze, na co czekacie? - odezwał się Dan swoim najbardziej kaprańskim głosem. - Na oklaski? Do roboty.

Oczywiście nikt się nie ruszył. Jeszcze liczyliśmy, że mu przejdzie.

- Jasne - poparł go Marvin. - Uwińcie się szybko i w drogę.

Lloyd rzucił mu kosę spojrzenie. Jak większość kaprali, bynajmniej nie lubił, kiedy ktoś mu się wtrącał w pomiatanie kumplami. I teraz już wiedziałem, że mamy przechlapane.

- Właśnie - zgodził się łaskawie stary. - Nawet głupi rozumie, że gołąbki same nie wpadną do gąbki. McAndrewsowie, jazda pomóc Snowy'emu. Tylko mi nie hałasować za bardzo i niech się

żaden nie waży strzelać. Red, nazbieraj gałęzi na ognisko. A ty, gruby - uśmiechnął się krzywo do Marvina - poszukasz wody. Trzeba napęłnić manierki.

- A wy? - obruszył się biedak.

Wiecie, czasami niemal wzrusza mnie upór, z jakim niektórzy biją głową o ścianę.

Marvin zapłonął świętym oburzeniem, zupełnie jakby się dotąd niczego nie nauczył. Nie zastanowiło go nawet, dlaczego Myszak i Kurczak bez jednego miauknięcia poderwali się z cienia i zanurkowali w zarośla. Może istotnie w tym swoim miasteczku uważano go za nie byle jaką osobę, ale tutaj, w naszym małym oddziale, kolejność dziobania była inna. Zupełnie inna. I należało do tego przywyknąć albo się pożegnać z kompanią.

- A my - uświadomił go łagodnie Wielki Bill - będziemy strzec obozowiska, nie?

- Jasna sprawa - zamruczał w półśnie Przygięty Mick. - Zostaw graty, przypilnujemy.

Nie lubiłem rozstawać się z moim kleifem, ale teraz rzuciłem mu jedynie tęskne spojrzenie. Może i dałbym radę upolować z niego obiad, a do tego od razu upieczony, ale po prostu wolałem, jak mięso smakuje raczej wonnym dymem ogniska niż wojskowymi chemikaliami.

Kiedy odchodziłem, Marvin coś tam dalej perorował o niesprawiedliwości, póki nie uciszył go krzaczek jagód, rzucony na oślep, ale całkiem celnie. Mick nie lubił, jak mu coś brzęczało nad uchem, kiedy właśnie układał się do drzemki.

Wcale nie musiałem głęboko wchodzić w las, bo gałęzi wszędzie miałem pod dostatkiem - i tych soczyście zielonych na drzewach, i tych uschniętych, zmurszałych, ukrytych między mchami, przecież jeśli dobrze się zakrzętnąć, i jedne, i drugie palą się miłym płomieniem. Mnie tam nie wadzi, jeśli drewno trzyma wilgoć, a tutaj musiało ostatnio dużo padać, bo wszystko dobrze nasiąkło wodą. Pnie pokrywały porosty, podobne do delikatnych zielonych koronek, czasami przyżółkłych przy brzegach albo zasnutych z lekka czerwonym nalotem. W wyrwach po zwałonych drzewach pobłyskiwały gdzieś kałuże, a stopy aż po kostki zapadały się w mech i trawy.

Nie, wcale nie wyglądało to jak trzęsawisko, bo ciut głębiej czuło się twardy grunt, zamiast zgnilizny w powietrzu niosła się przyjemna, miodowa woń, w górze ćwierkały ptaszki, a tam, gdzie słońce przebijało się przez gęste korony drzew, wśród traw pobłyskiwały wielkie plamy żółtych i białych kwiatków. Całkiem przyjemnie, powiadam wam. I jakoś mnie ta przyjemność tak oczadziła, że zamiast czym prędzej zrobić co moje i skorzystać z postoju, snułem się od jednej kępy kwiecia do następnej, a potem jeszcze dalej. Nie pytajcie, o czym wtedy myślałem, bo sam nie wiem. Chyba zresztą w ogóle nie myślałem. Nie zaniepokoiło mnie, że jazgot Marvina gaśnie w oddali, ani że przez te wszystkie gałęzie i pnącza nie umiałem już zgadnąć, z której strony świeci słońce. Nie robiłem znaków na drzewach, nie rozglądałem się nawet. Nic. Aż wstyd się przyznać, ale po prostu lałem przed siebie jak pensjonarka na walentynkowym pikniku pod Hanging Rock.

Po jakimś czasie kałuże w zagłębieniach terenu zaczęły wzbierać i łączyć się w drobne strumyki. Ciurlikało to sobie ze wszystkich stron, szemrało wesoło. Ja trzymałem się długiego wypiętrzenia, takiej jakby grobli, która ciągnęła się przy brzegu jednego z potoków. Niby wszędzie cień, bo drzewa rozłożyste, gęste, zupełnie przesłaniały niebo, a jednak szybko zrobił się upał. Duszny i ciężki od wilgoci, oklejał człowieka jak namoknięta wata. Żaby grały, owady brzęczały sennie, a tuż przede mną wisiały wielkie, nieruchome ważki o prążkowanych, błękitnawych skrzydłach. Pod powierzchnią wody przemykały srebrne rybki i żółwie, na ogromnych, owalnych liściach wygrzewały się małe zielone jaszczurki. Wokół była tylko zieleń, soczysta i świeża, oraz woda, szmerząca wśród traw swoją usypiającą melodią. Cała reszta jakby cichła, oddalała się, póki całkiem nie zniknęła.

Powiadam wam, sąsiedzi, to obrzydliwe uczucie tak przysnąć na jawie i się zagubić. Zapomniałem, po co tam polazłem, zapomniałem o kumplach i złocie, o całym bożym świecie zapomniałem. Gorzej niż kiedy mnie jednego razu Snowy zabrał do swojej osady na corroboree i napiliśmy się jakiegoś świństwa, które tam pędzili, a to nie lada wyczyn, bo wtedy dwa dni leżałem nieprzytomny.

Lazłem tak sobie, lazłem, póki ni z tego, ni z owego nie wylazłem nad jeziorko. Nieduże wcale - ot, takie byle co w środku lasu - ale niebieskie, że aż kłuło w oczy i z każdej strony przybrane kwiatami, zupełnie jakby ktoś wianek uplótł i położył wokół wody. Pochyliłem się, nabrałem wody w ręce, słabo pamiętam, ale pewnie gębę chciałem ochlapać i orzeźwić się trochę. Krople ciekły mi spomiędzy palców, wzbudzając drobne fale. Dziwna rzecz, wydawało mi się, że rozchodzą się nie tylko ku brzegom, ale i w głąb, po samo dno. Na piasku, bieluśkim jak kreda, widziałem drobne muszle i pędy wodorostów, pomiędzy którymi wirowały małe, srebrne rybki. A potem nagle tafla wygładziła się jak szkło i spojrzałem w najbardziej niebieskie oczy, jakie zdarzyło mi się w życiu oglądać.

Moja matka była z Blairów, więc wszyscy mamy niebieskie ślepia i ryże czupryny, ale wówczas, nad tym leśnym bajorkiem, po prostu wpadłem w ten błękit jak w studnię, choć słońce połyskiwało na wodzie, a wokół unosiła się rozświetlona mgła. Wtedy chyba jednak tego w ogóle nie zauważyłem, tylko gapiłem się, jakby mi nogi w ziemię wrosły. Nie wiem, ile czasu przeszło, zanim się ocknąłem. Pojęcia też nie mam, co wcześniej myślałem, lecz dopiero wtedy dotarło do mnie, że to wcale nie moje odbicie na wodzie.

Twarz w jeziorze zafalowała, spomiędzy pasm wodorostów - a może to były włosy, sam już nie zgadnę - posypały się pęcherzyki powietrza i nagle tuż przede mną wynurzyła się kobieta. Podniosła się spomiędzy tamtego lśniącego oparu, drobiny światła czepiały się jej włosów, wirowały wokół i w głowie mi się kręciło od tego całego blasku, póki powoli nie rozproszył ich

wiatr.

Nie, nie mam pojęcia, co robiła w jeziorze. Może przyszła się wykąpać, a może tak sobie czekała na dnie, aż ją dostrzegę, a może mi się tylko przyśniło, że ją tam widziałem. Nie zapytałem. O bardzo wiele rzeczy nie zapytałem tamtego dusznego popołudnia.

- Nie jesteś stąd? - bardziej oznajmiła niż zagadnęła, wyciągając do mnie rękę.

Odruchowo wydzwignąłem ją na brzeg, krople prysnęły mi w twarz i dopiero wówczas na dobre się obudziłem.

- Cholera jasna...! - zacząłem, bo sami wiecie, że nie lubię wody.

Kobieta prychnęła. Śmiech zachlupotał w jej gardle jak deszcz, a ja wreszcie się jej lepiej przyjrzałem.

Nie była chucherkiem, wcale nie. Wzrostem przewyższała mnie o pół głowy. Nosila jakąś sukienkę czy koszulę - co się czepiacie, psiakrew, nie wyznaję się na babskich fatałaszkach! - z jasnego płótna, która oblepiała ją teraz ciasno jak druga skóra. Włosy, ciemne od wody, opadały jej prostymi pasmami aż do pasa, zasłaniając to i owo. Ale niewiele.

Kiedyś na kąpielisku omyłkowo przelazłem na babską stronę i powiadam wam, każda z tamtych kąpielowiczek była trzy razy lepiej zakryta niż ta moja z jeziorka. Ale chyba nie przeszkadzało jej, że sobie popatrzę, bo wcale nie próbowała się zasłaniać. Co dziwne, nie ciągnęła mnie też ku sobie i nie przygadywała się o pończochy, jak te francuskie paniusie, jakich się mnóstwo kręci przy każdym obozie.

- Nie jesteś stąd? - powtórzyła.

Nie spuszczałem wzroku z ciemnych kręgów sutków, bezwstydnie rysujących się pod suknią. Niby wiedziałem, że zaraz dostanę w gębę, ale nie mogłem się powstrzymać. Na chwilę wszelkie opowieści o Auberonie, czarach i zamkniętych krainach wywietrzały mi z głowy. Fajna z niej była kobita, mówię wam, wypisz, wymaluj nasza Becky z objazdowego burdelu Lonny'ego - postawna, w jednym miejscu krągła jak utoczona, w innym zaś cienka. Dokładnie taka jak trzeba. Nie żadna z tych wypomadkowanych mamzelek, które tu się zesznurowują, tam podepchają, tak że człowiek potem się dziwi, że z dorodnej baby zostanie mu w rękę płaska, chuderlawa kukielka. A czasem, kiedy takiej gębę z pomady obetrzesz, możesz poczuć większą chęć do tej kapucynki, co ją nasz pułkownik pozwolił trzymać w kantynie oficerskiej za maskotkę.

Zresztą w ogóle tego francuskiego przekombinowania nie lubię. I ile się musi człowiek natrudzić, zanim wreszcie dobierze się do miodu.

Tyle że akurat, jak na złość, nie miałem przy sobie ani konserw, ani pończoch, które każdy z nas trzymał w plecaku na podobną okazję.

Znów się zaśmiała, zaczerpnęła ręką wody i znów strząsnęła mi ją w twarz. Zamrugalem.

- Skąd jesteś, człowieku? - spytała po raz trzeci.

- Z farmy - odpowiedziałem bez zastanowienia, zupełnie jakby mogła znać nasze Rozlewisko Krokodyli i pastwisko McElroyów.

Zmarszczyła brwi.

- Z zewnątrz?

- No, jasne, że z zewnątrz - odzyskałem rezon. - Czy wyglądam na kogoś, kto trzęsie gaciami przed Auberonom albo innym Tasakiem?

Przygryzła górną wargę i teraz to ona przyglądała mi się z uwagą. Skórę miała białą i lśniącą jak u rekina, tak sobie w pierwszej chwili pomyślałem, a na nosie cztery małe, rude piegi.

- Musisz być odważny, żeby mówić w ten sposób - powiedziała z namysłem.

Jasne, że byłem, zwłaszcza że ani latającej gadziny, ani tutejszego niby króla nie widziałem nigdzie w okolicy. Miałem za to przed nosem znacznie ciekawszy widok, ledwo przesłonięty mokrą, półprzezroczystą tkaniną. Odruchowo wypiąłem pierś. Zanosilo się, że jednak i mnie poszczęści się wreszcie na tej wojnie.

- Jaki jest więc twój żywioł, nieznajomy? - zagruchała.

Nie mogłem w to uwierzyć, ale uśmiechała się do mnie zachęcająco - zupełnie jakbym się nagle zmienił w Myszaka albo co najmniej Lloydą.

- Powietrze, ziemia, woda czy ogień? - dopytywała się.

Przynajmniej na to mogłem odpowiedzieć szczerze i bez żadnej fuszerki.

- Ogień - oznajmiłem z przekonaniem.

Uniosła brwi, jakby zaskoczona. Zawahałem się. Cóż, wyśmienicie znałem to spojrzenie. Z początku często było miło - potańcówka, piwo, księżyc, pocałunki w krzakach, jakaś drobna macanka. A później zbierało im się na pogaduchy, jak gdyby nie mogły zrobić świata przysługi, zamknąć dzioba i zabrać się do rzeczy.

- Więc jak, mówiłeś, się nazywasz? - zagadywała jedna z drugą, nie odrywając rąk od moich spodni.

Sami rozumiecie, w takich okolicznościach trudno dobrze ocenić sytuację, więc niejedyn raz przyznałem się jak durny, a w sekundę potem z krzaków wypadała trochę rozczochrana paniusia, wrzeszcząc wniebogłosy i wzywając na pomoc tatusia oraz wszystkich świętych pańskich.

Jeśli pochodzi się z mojej rodziny, szczerść doprawdy nie popłaca.

- Red - powiedziałem, licząc, że sława mojego tatuńcia nie dotarła aż tutaj i nie rozpozna mojego przezwiska. - Red Marvin. - W ostatniej chwili dodałem sobie na wszelki wypadek nazwisko tego biednego grubasa, żeby w razie czego poszło na jego konto.

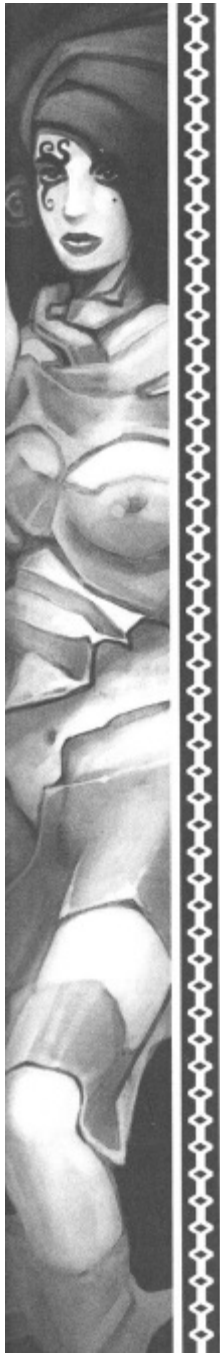
Nie, nie powstało mi w głowie, żeby się wywiedzieć jej imienia. A bo to imię u baby rzecz najważniejsza?

Moja nowo poznana przyjaciółka znów się uśmiechnęła.

- Właściwie nie mam nic przeciwko ogniowi - rzekła. - Może się okazać całkiem ożywczą odmianą.

A potem zamknęła dziób i zabrała się do rzeczy. Mówię wam, sąsiedzi, marzyłem o niej całe życie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY



- Więc powiadasz, nieznajomy, po co dokładnie przybyłeś do naszej krainy? -
zapytała później.

Znacznie później, jeśli mam być szczery.

- Zabić Tarasque'a - oświadczyłem z powagą.

Nic lepszego nie przyszło mi naprędce do głowy. Widzicie, miła była z niej kobieta, naprawdę miła, lecz bynajmniej nie zamierzałem wyjawić jej naszego małego sekretu. Tatuńcio zawsze powtarzał, że babom nie należy ufać, bo nigdy nie da się zgadnąć, co takiej strzeli do głowy. Zresztą nic przecież o niej nie wiedziałem. Może była na usługach Boszów - sierżant nas bardzo przed tym przestrzegał - albo, co gorsza, tych łobuzów, którzy buchnęli nasze złoto.

Spojrzała na mnie z podziwem i przeciągnęła się jakoś tak znacząco, jak u nas potrafi tylko Becky od Lonny'ego: niby nic, a człowiekowi od razu gorąco, jakby wypił ze dwie szklanki bimbrowu Wuja Chucka.

- Szlachetna misja. Ratowanie wdów, sierot i nieszczęsnych dziewczyc, zagrożonych przez plugawego potwora.

- Jasne, że szlachetna - zgodziłem się.

No, co się dziwicie? Nie siedziałem w Aussie na tyłku, jak wielu innych, a uganiałem się po obcych stronach za Abdulami i Boszami, więc można chyba uznać, że kwestię wdów i sierot miałem dostatecznie przećwiczoną.

- Tylko czy mu dasz radę, rycerzu mój miły. - Moja nowa przyjaciółka z troską pogłaskała mnie po brodzie, a potem zaczęła się bawić wąsami. - Ogniem też go już próbowano.

Odruchowo poszukałem ręką maszynki i dopiero kiedy natrafiłem na puste miejsce, przypomniałem sobie, że zostawiłem ją pod opieką Lloyda i chłopaków ze Speewah. Szkoda, z kleifem to dopiero zrobiłbym na niej wrażenie.

- Ale takiego ognia, jak mój, jeszczeście tutaj nie oglądali - zapewniłem ją, całkiem szczerze zresztą.

- Naprawdę?

Miałem wrażenie, że wyczuwam w jej głosie niemiłe powątpiewanie.

- Jak ja dam ognia, to dosłownie taką grubą strugą niczym pień płonącego drzewa. A on się zaraz rozprysnie na tysiąc ogników po całej okolicy. Nie schowasz się przed nim pod ziemią, za murem, za przeszkodą, bo ten płomień wszędzie się wleje, ścieknie jak woda i przylgnie do ciebie jak druga skóra. I nie da się tak łatwo zgasić.

Zerknęła na mnie ze świeżym zaciekawieniem.

- Wcześniej już inni przychodzili z waszej strony, żeby zabić Tarasque'a, ale żadnemu się nie powiodło.

Ciekawa sprawa, bo nic Sal nie ostrzegał, że jeszcze ktoś od nas się tutaj przypałał i poluje na smoka. Potwora oczywiście nie żałowałem, jednak sami rozumiecie, sąsiedzi, jak to jest - zacznie się ktoś kręcić, wypytywać, od słowa do słowa wywęszy nasze złoto i zacznie się problem. Bo jeśli tuż przy naszym skarbie natkniemy się na kogoś ze swoich, pewnie się dogadamy po dłuższym lub

krótszym mordobiciu. Ale jeśli napatoczy się jakiś Tommy albo, Boże uchwaj, oficer Jego Królewskiej Mości? Nie da się przekupić, jak rozsądny człowiek, tylko od razu ogłosi, że jesteśmy na terenie Imperium - zawsze tak robią, jeżeli natrafią na coś wartościowego, wbijają w ziemię Union Jacka, a zaraz potem przysyłają gubernatora i każą sobie płacić. Na pewno musielibyśmy przekazać nasze znalezisko odpowiednim władzom, które postąpią, jak to się zwykle dzieje w takich wypadkach - natychmiast je przeliczą, ostemplują, załadują do skrzyni i odeślą do domu. Sami zresztą wiecie, jak to jest: jeśli władza wytropi jakieś zyski, to przepadło. Mój tatulek od zawsze powtarzał, że wszyscy ci królewscy urzędnicy, oficerowie, gubernatorzy, co się tutaj panoszą i zadzierają nosa, tylko żerują na nas jak najgorsze pijawki.

- Nie może być - udałem zdziwienie, żeby coś jeszcze od niej wyciągnąć.

Poza tym miałem nadzieję, że wreszcie się odczepi od moich wąsów.

- Może, może - przytaknęła, łaskocząc mnie po wargach. - W większości miłe chłopaki, które z nudów postanowiły się spróbować ze smokiem. Jeśli któryś zawędrował aż tutaj, starałam się tłumaczyć, że Tarasque nie jest byle poczwara, co ją iluminarz wyrysował farbą albo kamieniarz wytłukł na fasadzie kościoła. Ale nie słuchali. - Żałośnie pociągnęła nosem. - Wy w ogóle nigdy nie słuchacie.

Zapewniłem ją, że ja akuratnie słucham bardzo uważnie. Wtedy znowu zaczęła mi kręcić wąsy, łaskotać to tu, to tam - zdaje się, że chciała, żebym ją jeszcze trochę poprzekonywał. Zmartwiłem się, bo wiedziałem, że reszta już pewnie wychodzi z siebie, przeklinając mnie i moje zniknięcie, ale trudno, postanowiłem się poświęcić dla kumpli. Bo przecież nawet Lloyd by przyznał, że ta kobieta mogła mieć jakieś istotne informacje o smoku i naszym złocie. Należało je tylko wydobyć. Zatem z zapałem zabrałem się do wydobywania.

- Czasami trafiali się jednak naprawdę wstrętnei - podjęła po jakimś czasie. - A najgorszy ze wszystkich był Jerzy.

Fakt, Sal chyba coś przebąkiwał o Jerzym.

- Pewnie poddany Jego Królewskiej Mości - mruknąłem. - Oni lubią takie imiona.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Coś tam bredził o królu, ale tym w niebiesiech, że mu niby służy. A jak mnie zobaczył, zaraz się rozdarł: „Gin, przepadnij, poczwaro nieczysta!”.

- Nie może być! - oburzyłem się, zresztą całkiem szczerze, bo to była gruba nieuprzejmość, nawet jak na królewskiego oficera.

Z pasją zacisnęła wargi, a jej oblicze na moment nabrało niemiłego, rybiego wyrazu.

- A tak! Dlatego nic mu nie powiedziałam i wnet go Tarasque zeżarł razem z tą jego błyszczącą

zbroją, proporcem, mieczem, włócznią i kobyłą. Ale tobie powiem. - Przeniosła na mnie spojrzenie i jej twarz złagodniała. - Ty jesteś miły - dodała.

Jasne, że byłem, poniekąd po raz trzeci, odkąd ją spotkałem. Chociaż powiem wam szczerze, że po trochu zaczynałem od tego bycia miłym robić bokami.

- Widzisz - odezwała się znowu, kiedy mogłem już tylko leżeć na plecach i sapać ciężko jak parowóz - Tarasque'a tak naprawdę nie można zabić.

Popatrzcie, sąsiedzi, czasami człowiek ma więcej siły, niżby uwierzył.

- Co?! - ryknąłem, podrywając się na równe nogi.

Najwyraźniej Sal postanowił zatrzymać kilka sekretów w zanadrzu. Dobrze go, zdradziecką wywłokę, oceniłem.

- W każdym razie nie tutaj. Nie w krainie. - Wcale nie wyglądała na przejętą moim wybuchem.

- Usiądź sobie wygodnie. - Zachęcająco poklepała murawę, dobrze wygniecioną podczas naszych harców. - Już ja ci wszystko wytłumaczę.

Co było począć? Usiadłem.

- Musisz wiedzieć, mój drogi - zaczęła, spoglądając na mnie błękitnymi oczami - że nikt z nas nie pamięta narodzin Tarasque'a. Nawet Auberon, chociaż uważa się za najpotężniejszego z nas, głupek! - prychnęła kapryśnie. - W rzeczywistości bowiem Tarasque był tu, zanim jeszcze my się pojawiliśmy. To jego ziemia i z niej czerpie siłę. Dlatego nie można go tutaj zabić.

Zacukałem się trochę. Ale sami przyznajcie, że w obliczu takich wieści nasza pogoń za złotem nabierała zgoła dodatkowego smaczku.

- A głowa? - bąknąłem, przypominając sobie, co tam więcej Sal wygadywał. - A gdyby tak obciąć bydlakowi głowę?

- Można - zgodziła się pogodnie kobieta - chociaż dawno się już taki śmiałek nie znalazł, co by tego dokonał. Tyle że niewiele to pomoże.

No, powiadam wam, że teraz mnie już dokumentnie szlag trafił.

- A Sal, gadzina, zarzekał się, że mu nie odrośnie! - Nawet nie zauważyłem, że wypsnęło mi się coś, co należało zachować w tajemnicy.

Ale ona się tylko uśmiechnęła.

- Pokumałeś się z Salamandrem? Cóż, właściwie można się było spodziewać. Ogień...

Wyobraźcie sobie, jakoś nie miałem ochoty gadać z nią o ogniu.

- Znaczy się, nakłamał nam, tak? - przerwałem grubiańsko.

- Zaraz tam nakłamał - odparła lekko. - Po prostu trochę zataił, resztę podkoloryzował, jak ma we zwyczaju. Młody jeszcze, niefrasobliwy, przy tym z natury jest niestały. Ale to się zmieni, kiedy spotka tę jedną, właściwą... - Łypnęła na mnie znacząco, aż mnie ciarki przeszły. - Zawsze się zmienia.

Nic, pomyślałem sobie, jakoś zdołam się wykręcić jedwabnymi pończochami, któryś z chłopaków na pewno ma je w plecaku i użyczy kumpłowi w potrzebie. Bo kiedy mamzelki zaczynały bredzić o wielkiej miłości, był to nieodmienny znak, że czas wyciągać prezenty.

Chyba wyczuła, że na razie nic na mnie nie wymusi, bo zaraz grzecznie wróciła do potwora.

- Jest prawdą, że smoka da się zabić tylko na jeden sposób - łeb mu odrąbawszy. I Kiedyś, gdy Tarasque srożył się stąd aż po samo morze, poza jego ojczystą krainą można było tego dokonać. Teoretycznie.

Nie uwierzycie, że jedno słowo potrafi uwięznąć człowiekowi w gardle jak gruda gliny.

- Teoretycznie?

- No, twoi pobratymcy nie tracili nadziei, że ktoś da sobie z nim radę. Polowali na niego na rozliczne sposoby: a to wyprawiali rycerzy z mieczami, a to chłopstwo się nań czaiło, uzbrojone jedynie we włócznie i cepy, a to rozpinali wielkie sieci między drzewami, żeby się w nie zaplątał, a to doły kopali, najeżone na dnie ostrymi kołami, a to barany zatrute mu podrzucali. Nawet dziewice przywiązywali do dyli, aby go zwabić w zasadzkę i rozrzewnionego urodą czystej panny - uśmiechnęła się ironicznie - czy też obzartego zdobyczą skrupulatnie pozbawić łba. Wszystko na darmo. Tarasque, owszem, barany zeżarł, dziewicą na deser też nie pogardziwszy, ale głowy pod topór nie zamierzał nadstawiać. A im gorliwiej się na niego zasadzali, tym bardziej on dokazywał. Już nie tylko wypuszczał się za żerem, ale z czystej złośliwości wioski palił, bydło i owce mordował, po czym rozszarpane na łąkach zostawiał, żeby zgniły, kościoły i klasztory nieczystościami plugawił. I ostatecznie to właśnie stało się przyczyną jego zguby.

- Znaczy?

- Znaczy, mnisi się wkurzyli, a wkurzony mnich swego nie daruje. Wydelegowali jednego ze swoich, takiego młodego narwańca, co bardziej od innych pałał żądzą męczeństwa, i przysłali go tutaj z misją zgładzenia smoka.

- Mnicha? - spytałem z powątpiewaniem. - Nikt inny nie dał rady, a jemu miałoby się powieść? Uśmiechnęła się cierpko.

- Okazał się sprytniejszy od reszty. Ani myślał leżeć w smocze leże albo mieczem mu wygrażać, tylko spokojnie wyszykował sobie pustelnię i zaczął głosić kazania, że niby przybył nas nawracać i ocalić od wieczystego potępienia. I jak zwykle w takich razach znalazło się trochę głupców albo po prostu wścibskich, którzy z ciekawości czy też dla rozrywki chadzali go słuchać. On zaś ze wszystkimi gwarzył bardzo przyjaźnie, a przy okazji podpytywał, jak by tu najprościej umorzyć gadzinę. Aż wreszcie napatoczyła mu się ta biedna, głupia Titania. - Imię królowej wręcz wysyczała przez zęby.

- Ale przecież pokonała smoka.

- Ona? - prychnęła kobieta. - Ona z trudem pokonuje te pięć stopni, które dzielą jej łóżko od podłogi.

Widzicie, przyjaciele i sąsiedzi, baby są takie same pod całym bożym niebem. Dość jedną pochwalić, żeby się druga wściekła z zazdrości i zaczęła ją obrzucać błotem.

- Mnich, spryciarz, z początku nie zwrócił na nią uwagi, bo nasza królowa z upodobaniem przywdziewa płaszcz ze skrzydeł ciem albo innego robactwa, w którym jest jej tak do twarzy jak mnie w pokutnym worze. Nie rozpoznał w niej zatem miejscowej znakomitości, ona zaś uroiła sobie w swym motylim rozumku, że go uwiedzie.

- I udało się jej? - zdziwiłem się, jako że pustelnik wydał mi się raczej szpetnym staruchem.

Wzruszyła ramionami i zobaczyłem, że nieco powyżej jej łokcia wędruje biedronka.

- A cóż to za sztuka? Zwłaszcza że nie szło mu o Titanię, lecz o wodę Lethe.

- Jaką znowu wodę? - zaprotestowałem, bo zaczynałem się już gubić w tej historii.

Przewróciła oczami. Biedronka przesunęła się ku górze i zaczęła wędrować wzdłuż jej obojczyka.

- Tego też nie wiesz? Utrapienie z wami. Kiedyś, za młodu, Auberon zakradł się tuż pod nosem hydry do źródła zapomnienia - był wtedy jeszcze mniejszy niż teraz, więc stara poczwara go przeoczyła - i zaczerpnął nieco wody. Trzeba przyznać, że nikomu później już nie wyszła ta sztuczka i odtąd flakon z wodą Lethe stał się jednym z największych skarbów, strzeżonym pilnie w głębi królewskiego skarbcza. A Titania nie omieszkała oczywiście wspomnieć o nim mnichowi, bo przecież chwaliła się wyczynami męża przed każdym z kochanków. - Wydęła pogardliwie usta. - Za nic wyczucia, powiadam ci, za nic wyczucia.

Pokiwałem ze zrozumieniem głową. Co tu kryć, historia była stara jak świat. Przypomniały mi się wyprawy żony McElroya na letnie pastwisko dla ratowania bydła. Nie uwierzycie, jakie straszne zarazy trapiły te krowy, kiedy tylko na horyzoncie pojawiał się nowy, jurny poganiacz. Oczywiście wszyscy świetnie wiedzieli, o co chodzi - z wyjątkiem samego McElroya, który na domiar złego łąził wkoło i się chwalił, jaką jego połowica ma dobrą rękę do bydła.

- Często się tak zdarza - mruknąłem - z wami, żonami.

- Nie jestem zamężna. - Zatrzepotała zalotnie rzesami. - Jak dotąd.

- Nigdy w to nie wątpiłem - zapewniłem ją z powagą, chociaż zawsze kiedy słuchałem o ożenku, miałem takie paskudne wrażenie, jakby mi ktoś podkładał pod tyłek rozżarzone głownie.

Na dodatek zupełnie nie mogłem się skoncentrować, bo ta cholerna biedronka znowu polazła dalej. Teraz próbowała się wcisnąć w rowek między jej piersiami.

Czas był mi się zbierać. Najwyższy czas.

Ale chciałem się jeszcze czegoś dowiedzieć.

Muszę przyznać, że była bystra. Prędko pojęła, że nie doczeka się oświadczyn. Zerknęła na mnie z wyrzutem i westchnąwszy, podjęła opowieść:

- Skoro mnich dowiedział się o wodzie Lethe, niewiele czasu zabrało mu namówienie tej biednej idiotki, żeby ją wykradła. Potem razem zadali wody smokowi...

- Mówiono mi, że poskromiły go raczej święte oleje i modły pustelnika - odezwałem się dyplomatycznie.

- A co ci mieli powiedzieć? - prychnęła. - Że zwyczajny mnich wystrychnął króla na dudka, nie tylko pospołu z królową przyprawił mu rogi, ale i pozbawił najpilniej strzeżonego skarbu? Prawda jest taka, że już kilka kropli wody Lethe wystarczyło, żeby potwór podreptał za Titanią jak owca na rzeź. I kiedy się ni stąd, ni zowąd pojawił przed nosem Auberona, ten nie mógł przecież ogłosić wszem wobec, jak paskudnie go okpiono. Postanowił raczej skorzystać z cudzej przemyślności i spętać otumanioną bestię. Tym więc sposobem Tarasque skończył w najgłębszej rozpadlinie naszej krainy, przygnieciony trzema potężnymi górami. Mnich też przy okazji upiekł swoją pieczeń i rozpuścił bajeczkę o przemożnej mocy swych zabobonów, obsadziwszy cudownie nawróconą królową w roli poskromicielki potwora. Titania oczywiście nie protestowała, ona lubi być w centrum uwagi - skrzywiła się kwaśno - a Auberonowi nijak było przyznawać się, że ma za żonę zwyczajną dziwkę. I tak wszyscy odnieśli korzyść.

- Oprócz mnicha - zauważyłem. - Siedzi za różami jak kura w kojcu.

Machnęła lekceważąco ręką.

- E, nie powinien narzekać. Innych zalotników Auberon, przyłapawszy ich na gorącym uczynku, żywcem wsadzał po szyję w kamień. Zresztą mnich przynajmniej wie, za co pokutuje. - Zacisnęła wargi. - Nam oberwało się, że tak powiem, mimochodem.

Z wysiłkiem zamrugąłem. Biedronka ugrzęzła w kropli potu pomiędzy piersiami.

- Auberon zamknął krainę - wyjaśniła dobitnie kobieta. - Zamiast po prostu obedrzeć gacha ze skóry, raz a dobrze odgradził Titanię od kolejnych wielbicieli. Zawsze miał skłonność do melodramatycznych gestów. A Tarasque i tak w końcu wylazł na swobodę i wszystko zaczęło się od początku.

- To może by go tak znowu tą wodą Lethe? - zaproponowałem. - Tyle że teraz legalnie, już bez pustelnika.

Chyba ją rozbawiłem. Zachichotała, a kropla z biedronką stoczyła się w dół i zatrzymała tuż nad pępkiem.

- Tarasque nie nabierze się dwa razy na tę samą sztuczkę. Nie jest wcale głupi. Nigdy nie był.

- A ten nowy pomysł Auberona? Ten ze złotem? - zaryzykowałem pytanie. - Czy się powiedzie? Skrzywiła się kwaśno.

- Biedny nadęty kurdupel. Twierdzi, że wszystko wie, choć naprawdę nie wie nawet, kto mu dzisiaj rogi przyprawia. Na dodatek skąpiradło z niego takie, że ślepemu żebrakowi wybrałby z sakiewki ostatni grosz. No, ale to normalne u karłów. Są jeszcze zachłanniejże na złoto niż smoki.

- Karłów?! - wykrzyknąłem ze zdumieniem.

Widziałem kiedyś w lunaparku rodzinę karłów. Śpiewały, tańczyły i robiły rozmaite sztuczki, a już najbardziej mi się podobało, kiedy obrzucały się tortami. Wyglądały całkiem podobnie do człowieka, tyle że żaden nie sięgał mi wyżej niż do pasa. Głosiki miały cienkie jak dzieci, a rączki takie mizerne, że dałoby je się przełamać jak zapałkę.

Aż mi się wierzyć nie chciało, że tutejsi drżą przed takim pokurczem.

- Widzę, że jeszcze nie spotkałeś naszej najłaskawszej wysokości - zakpiła w odpowiedzi kobieta. – Jakby co, nie wydaj się ze zdziwieniem. Nasz drogi Auberon bywa dosyć drażliwy i już niejednego prześmiewcę kazał skrócić o głowę. A uciec od niego nie ma jak, odkąd zamknął krainę czarem, trzyma nas tu jak muchy na lepie. Szkoda. Tam u was trafiały się naprawdę przyjemne rozrywki.

Posmutniała. Biedronka tymczasem wędrowała coraz niżej i właściwie nabierałem chęci, żeby znowu trochę popocieszać moją przyjaciółkę znad stawu.

- No, ale teraz Auberon może się przeliczyć - podjęła po chwili dziarskim głosem. - Raz otwarte, ścieżki będą się poszerzać coraz bardziej. Wydawało mu się, głupkowi, że utrzyma je w tajemnicy. Ciekawe jak, skoro ogień i żelazo zaczęły spadać ludziom na głowy, a wichur dzień po dniu nawiewał trujące dymy? - dodała z przekąsem. - Mieli może uwierzyć, że to księżyc na nich pluje? Na domiar złego jeden z takich wybuchających kamieni obudził Tarasque'a. A Auberon, skąpiec, zamiast od razu ścieżki zapieczętować i na własną rękę rozprawić się z gadziną, poskapił złota ze skarbcza i posłał swoich gwardzistów do was, na drugą stronę. Wtedy dopiero materia czarów zaczęła się pruć na dobre, bo od każdego przejścia ścieżki poszerzają się i coraz łatwiej je odszukać. Już nawet Tarasque je zwęszył, już kombinuje, jak się stąd wyrwać.

Zmarszczyłem brwi, choć widok czerwonej kropki biedronki, która powoli przesuwała się po krzywiznie brzucha, nie skłaniał mnie przesadnie do myślenia. Tarasque stanowił problem, fakt. Chociaż gdyby go tak pogonić na okopy Boszów... - zaświtało mi nagle w głowie.

Tyle że on mi wyglądał raczej na krewniaka Hunów. Nie wiadomo, czyby zaraz nie skręcił ku naszym liniom.

- Dlatego właśnie Auberon musi się z nim rozprawić, i to szybko - mówiła dalej. - Bo jeśli Tarasque raz przejdzie na waszą stronę, ścieżki po prostu się rozleżą i cała kraina wpadnie z powrotem do waszego świata.

- A ty czego byś chciała? - zapytałem z roztargnieniem.

Dalsze kłopoty Auberona właściwie mnie nie interesowały. Na dodatek przekłeta biedronka znowu zniknęła mi z oczu. Zastanawiałem się, czy nie powinienem sprawdzić, gdzie się ukryła. A nuż była jadowita?

- Sama nie wiem - wyznała z westchnieniem kobieta. - U was zawsze się dobrze bawiłam, a tutaj przez te wszystkie wieki zatęchliśmy z nudów. Ale Tarasque obudził się wściekły i póki hasa, życia tu nikt za bardzo mieć nie będzie.

- Się zrobi - wymamrotałem. - Zabije się smoka. Nie pozostało mi wiele czasu. Gdzieś na jej udzie chyba mignęła mi czerwona kropka. Trzeba było kobietę ratować!

- Naprawdę? - ucieszyła się, spoglądając na mnie tymi błękitnymi ślepiami.

- Jasne, że tak - zapewniłem ją sumiennie, a potem z równą sumiennością zabrałem się do innych rzeczy.

Powiem szczerze, żal mi było ją zostawiać, ale doszczętnie opadłem z sił. Zresztą obowiązek wzywał. A Lloyd niewątpliwie dotąd zdążył ze złości wyjść ze skóry i stanąć obok.

- Ale wrócisz do mnie? - zapytała na odchodnym. Wyglądała tak żałośnie, że zawahałem się, czy jej jeszcze trochę nie pocieszyć. Przypomniałem sobie jednak Dana, jak pod Messines dźgnął bagnetem w tyłek jednego chłopaka ze świeżych uzupełnień, który narzekał na dyzenterię i opóźniał nas w marszu do kuchni polowej, i postanowiłem się zwijać.

- Jasne, że wrócę - odparłem z przekonaniem, zupełnie tak samo, jak obiecywaliśmy dziewczętom od Synaju aż po Cambrai. - Tylko zabiję smoka.

Pociągnęła nosem.

- Dobrze - zgodziła się smutno. - To ja tu na ciebie poczekam.

Kiedy odchodziłem, stała na murawie i machała do mnie ręką, nagusieńka w promieniach słońca.

- Nie zapomnij o mnie! - usłyszałem za plecami. - Mam na imię Meluzyna!

Na wszelki wypadek się nie obejrzałem. Powiadam wam, sąsiedzi, w takich chwilach grunt to się nie zastanawiać, tylko iść twardo przed siebie.

Gdybym się obejrzał, wcale nie wiem, czybym nie został.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY



Myślałem, że mnie będą chcieli żywcem obdrzeć ze skóry, tymczasem w ogóle nikt nie zauważył mojej nieobecności. Jedynie Snowy wypatrzył mnie z daleka na ścieżce - dziwne, nie miałem żadnych kłopotów z powrotną drogą, szedłem po własnych śladach jak po sznurku - i kiedy się zbliżyłem, twarz mu stężała. Zmrużył oczy i zaczął węszyć wokół z takim obrzydzeniem, jakbym się chwilę wcześniej wytarzał w gnojowisku. Ruszał nosem, coś tam sapał, aż

wreszcie wyrzucił:

- Wunguduwa.

Specjalnie tak zrobił. Wie wyśmienicie, jak się wkurzam, kiedy go nie rozumiem.

- Co znowu? - Pogroziłem mu pięścią.

A ten dalej swoje. Węszy, nos mu się rusza jak królikowi.

- Rusałka - wydusił w końcu. - Pokładałeś się z rusałką, ty głupi.

Tak mi powiedział, macie pojęcie, jak równemu sobie? Całkiem mu się na tej wojnie przewracało w głowie. Trzeba będzie o tym porozmawiać z Kurczakiem i Myszakiem, zanim trafi na kogoś bardziej wrażliwego ode mnie i bardziej przywiązanego do idei czołobitności czarnych względem białego człowieka.

W każdym razie potem zrzucił mi pod nogi stertę suchych gałęzi - fakt, na śmierć zapomniałem o tym chruście na ognisko - odwrócił się na pięcie i poszedł sobie. Reszta jednak wcale nie zwracała na nas uwagi. Chciałem się z nimi podzielić tymi wszystkimi rewelacjami, które wyciągnąłem od mojej nowej znajomej nad sadzawką, ale się nie dało. Zajęci byli. Powiadam wam, wrzaski na pewno niosły się dobre kilka mil, zupełnie jakbyśmy bawili na jakimś cholernym pikniku, a nie usiłowali ukraść fortunę na terytorium wroga.

Najgłośniej darł się Kurczak. Zwykle tego nie robi, bo gdy się naprawdę wkurzy, głos mu się załamuje i zmienia w falset. Kiedy byliśmy mali, wybuchaliśmy z Myszakiem w takich chwilach przeraźliwym gdakaniem, co go jeszcze bardziej rozjuszało. I teraz musiał być mocno wyprowadzony z równowagi, skoro dobrowolnie wystawiał się na kpiny.

Postanowiłem najpierw trochę posłuchać. Rodzinne kłótnie McAndrewsów nie były pozbawione uroku, ale dzisiaj nie miałem ochoty dostać polanem w łeb.

Ja bym padł jak kłoda, a oni na pewno ukradliby mi moją część złota.

Jak się okazało, Myszak z Kurczakiem również zwłóczyli na polowaniu. Nie, nie wrócili z pustymi rękami, nad ogniem opiekało się jakieś niezidentyfikowane, nieco już przyrumienione ścierwo i kilka okazałych węży podobnych do naszych pytonów. Co się krzywicie, po kilku tygodniach na konserwach zjedlibyście nawet papugę, a Francuzi jakoby nie gardzili też żabami czy ślimakami i nie miało to nic wspólnego z wojną. Ale Lloydowi i chłopakom ze Speewah nie chciało się chyba czekać na pieczyste, bo pod nieobecność McAndrewsów szybciotko zbudowali piec ziemny, a do środka wrzucili - no właśnie! - dwa jaja. Te same, które Kurczak z godnym podziwu samozaparciem taszczył dotąd w plecaku.

- Wy świnię! - wrzeszczał teraz, rozgrzebując patykami resztki pieca. - Kto wam pozwolił?!

Wzruszyłem ramionami. A zdawałoby się, że młody spędził z Przygiętym Mickiem dość czasu, by zrozumieć, że ten nigdy nie krępował się grzebać w cudzym plecaku, zwłaszcza jeśli zwęszył gdzieś ekstrawyżerkę. Mick to dusza chłopak, ale szacunek dla cudzej własności był mu zupełnie obcy. No, chyba że szło o jego własność, tej bowiem strzegł zazdrośnie i z zapalem wiejskiego psa.

Dziwiło mnie tylko, że tak długo się guzdrali z tą przekąską. No, ale pewnie nikt się nie kwapił do roboty przy wykopaniu pieca i ostatecznie Kurczak przyłapał ich na gorącym uczynku. Swoją drogą, miał młody siłę. Ja po całym tym niedawnym wysiłku ledwo mogłem ruszyć nogą, a on obskakiwał kumpli, jakby mu ktoś wsadził śmigło w tyłek. Chociaż tak naprawdę męczył się bez sensu, bo jaja tak czy inaczej upiekły się już na kamień.

Młody jednak nie dawał za wygraną i skoro zrozumiał, że nikt nie zamierza mu pomóc ani nawet okazać stosownej skruchy, zaczął ryć w ziemi jak dingo za trupem. Piach, zmieszany z popiołem i korą, pryskał na wszystkie strony. Wreszcie Kurczak dobrał się do jaj. Były tak rozgrzane, że pierwsze upuścił z sykiem.

- Na twardo - ocenił ze znawstwem Mick, który przypatrywał się wysiłkom młodego z mieszaniną zakłopotania i łapczywości.

Kurczak, wytaczający właśnie patykami jaja z paleniska, rzucił mu wrogie spojrzenie. Wyglądał teraz jak dziecko, które odkryło, że do słoika z ulubioną żabą zakradł się wąż wodny.

- I po co ta afera? - zniecierpliwił się Lloyd. - Znajdziesz sobie inne. Byle później, kiedy już zdobędziemy co nasze.

- Nie zdaje mi się... - próbował wtrącić Sal.

Ale Dan najwyraźniej miał poczucie winy - w samoobronie wkurzał się jeszcze szybciej niż zwykle - bo z marszu na niego napadł.

- Och, zamknij się! - Machnął pogardliwie ręką. - Z byle gówna zrobicie aferę. W lesie musi być ich zatręśienie. Nie ma o czym mówić.

Przygięty Mick przełknął ślinę.

- Dobrze gada! Najlepiej zjeść, póki ciepłe.

Nie wiem, dlaczego się tak czepił tych jajek. Po zapachu czułem, że mięso nad ogniskiem już dochodzi.

- Ani mi się waż! - Kurczak pogroził Przygiętemu bagnetem.

Mickowi donośnie zaburczało w brzuchu.

- Ty, Kurczak, w ogóle straszny sobek jesteś! - rozgoryczył się. - Głupiego jaja ci żal, kiedy kumple zdychają z głodu. Szybko zapomniałeś, kto ci pod ostrzałem donosił wodę.

- I piwo - dorzucił basem Wielki Bill. Faktycznie, ruchliwy jak zwykle Kurczak zapuścił się kiedyś aż pod same linie Abduli, tyle że na końcu utknął w leju po pocisku pod takimi dwiema palmami, których jakimś cudem nie skosił ostrzał. Oczywiście pewien szczęśliwy Johnny Turco natychmiast go wypatrzył, zaalarmował kumpli, a później zrobili sobie polowanie na królika w jamie. Kurczak, trzeba przyznać, dzielnie się okopywał na dnie dołu, ale pociski padały gęsto i nie mógł wychylić nosa na zewnątrz. Po trzech dobach zaczęliśmy się martwić, więc Lloyd szybciotko zarządził wyprawę ratunkową. Zabrali z Billem i Mickiem skrzynkę nabojów, bo dotąd mogły się już młodemu skończyć, chłopaki ze Speewah dorzuciły też coś na wyzerkę, a potem przez kolejne trzy dni balowali tuż pod nosem Abduli - turbanowych najbardziej wkurzało, kiedy nasi zaczęli zawodzić *Waltzing Mathilda* dokładnie w porze ichniejszych modłów.

Myszak dotąd miał im za złe, że go ze sobą nie zabrali.

- Wystarczy. - Kurczak z rezygnacją podniósł ręce. - Masz, naźryj się moją krzywdą.

Jeśli liczył, że wyrzut zatrzyma Przygiętego Micka, to chyba nie poznał go wystarczająco.

- Dobra - zaintonował Mick, radośnie zacierając dłonie. - Kto jeszcze do podziąłu. Lloyd, Bill, Red, Snowy?

- Ja nie jeść. - Snowy kategorycznie odmówił. Zmarszczyłem brwi. Z jednej strony, czarni jedli prawie wszystko, każdy rodzaj padliny i robactwa, jaki tylko sobie wyobrazicie. Z drugiej, mieli te swoje najdziwniejsze tabu, a to „nie jedz kangurów, jeśli jakiś przebiegł twojemu ojcu drogę w tę noc, kiedy się rodziłeś”, a to „nie ruszaj iguany, jeżeli ma tłuszcz na brzuchu, chociaż chudą możesz spokojnie zjeść”, a to „oddaj tylną nogę kangura swojemu wujowi, a przednią łapę ojcu”. Nigdy więc nie dało się przewidzieć, czy Snowy akurat kierował się jakimś tubylczym zabobonem, czy też miał sensowny powód. Dotąd jednak nie najgorzej wychodziliśmy na słuchaniu jego rad, zatem na wszelki wypadek pokręciłem głową.

Przygięty Mick bynajmniej się nie przejął.

- A wy, chłopaki? - rzucił w kierunku McAndrewsów.

- Wypchaj się - odparł kwaśno Kurczak.

- Nie jadam jaj - oznajmił Myszak. - To byłoby jak kanibalizm - dodał, popatrując złośliwie na brata.

- Ja tam jadam wszystko - rzekł niespeszony Mick, który istotnie nie był w tym względzie szczególnie wybredny. - To dla was - pchnął jajo do Lloyd'a i Billa - a to dla nas - z lubością postukał palcem w drugie.

- A ja? - spienił się Marvin.

Trzeba przyznać, że Sal okazał się mądrzejszy i nic nie mówił.

- Co ty? - zdziwił się dobrodusznie Mick. - Głodny jesteś, to coś sobie znajdź, chłopie. Masz chyba dwie ręce, nie?

Nieszczęsny Marvin jakoś wciąż nie skumał, że nie wystarczy pochodzić sobie z nami parę godzin, chociażby i z lewisem na ramieniu, żeby zostać przyjętym do kompanii, bo naburmuszył się i coś tam próbował dalej bzyceć, ale po cichu. I dobrze. Mickowi znów zaburczało w brzuchu. Powoli osiągał ten stan, kiedy niebezpiecznie było stanąć między nim a wyzerką. Uniósł jajo do twarzy, czule je pogładził i stuknął w czubek skorupki.

A potem skorupka stuknęła jego.

Powiadam wam, zwyczajnie eksplodowała biednemu Mickowi w dłoni, jak gdyby to nie było jajo, tylko allemański granat. Drobne, umazane popiołami odpryski sypnęły mu się w twarz, a spomiędzy nich wyskoczyło coś - w pierwszej chwili spostrzegłem zaledwie błysk, zupełnie jakby ktoś plunął Mickowi w gębę ogniem. Mick rozdarł się z przerażenia i dopiero wtedy zobaczyłem, jak ze skorupy wyskakuje jakieś połyskliwe, złote stworzenie. Wrzasnęło przeraźliwie - ten krzyk był bliźniaczym odbiciem głosu tamtego zwierzaka, którego wczoraj zaszlachtowaliśmy na skraju lasu - i wczepiło się pazurami w mundur naszego kumpla. Wiecie, jak się drze głodne niemowlę? To ten maluch zawodził właśnie tak, tylko z dziesięć razy głośniej i bardziej zajadle, przy tym wściekle stroszył pióra, trzepotał skrzydełkami i w oczywisty sposób miał nam za złe ciepłe przyjęcie w piecu ziemnym.

Znów zacząłem trzeć oczy, łzy mi się puściły ciurkiem - pewnie od tego świdrującego pisku. Staralem się dyskretnie odwracać twarz, żeby kumple nie zauważyli, co się ze mną dzieje, i nie postanowili odebrać mi kleifa. Tego całkiem uczciwie nie mógłbym mieć im za złe, bo wokół złocistego stworzenia coraz wyraźniej widziałem świetlistą mgłę i sam już nie wiedziałem, czy ślepnę, czy tylko zwariowałem. W obu przypadkach raczej nie nadawałem się do ubezpieczania kolegów w razie ataku Boszów lub tutejszych zabijaków.

- Zaraz, zaraz. - Mick zdołał w końcu ucapić ptaszka za grzbiet i oderwać od sukna. - Co to za...? - urwał z sykiem, kiedy maluch dziobnął go w paluch. - Auu!

Zwierzak dziób miał mizerny, nie dłuższy niż na pół cala, potrafił jednak go używać, bo na skórze Micka, hartowanej w spiekotach i wichrach Speewah, pokazała się kropla krwi. Odruchowo strzepnął stworka na ziemię i próbował poprawić butem, ale ptaszek w trzech długich susach czmychnął do Kurczaka. Czepiając się drobnymi pazurkami sukna, wdrapał mu się na nogę, a potem szybciotko wyżej, aż na ramię. Tam znieruchomiał, skulony ze strachu, i gapił się na nas wielkimi złotymi ślepiami.

Widzicie, taki maluch, a od razu wyczuł, gdzie najprędzej spodziewać się obrony.

- Che, che, wyczuł krewniaka! - zahuczał Wielki Bill i wszyscy od razu poweseleli.

Jedynie Przygięty Mick patrzył na zwierzaka z urazą, zupełnie jakby indyk poderwał mu się nagle z talerza i z gulgotem jął ganiać wokół stołu.

Drugie jajo zaczęło pękać z trzaskiem.

- Zjem kawałek węża - zdecydował Lloyd i pospiesznie odłożył je na murawę. - Mam nadzieję, że mi w zębach nie ożyje - dorzucił cierpko.

Drugi pisklak wychylił ze skorupy złocisty czub, nie posklejany, jak zwykle u kurcząt, lecz jakiś taki przypieczony, a później pojawiła się mała paszcza, rozdziawiona ze złości i wrzaskliwa. Pomógł sobie zakrzywionym dziobem i po chwili już cała wkurzona istotka puściła się biegiem w kierunku Kurczaka. Gnała i darła się po swojemu, ale, powiadam wam, jeśli chodzi o mnie, brzmiało to jak donośne:

- Mama, mama, pomocy!

Młodszy McAndrews najwyraźniej też wyczuł, w czym rzecz. Zrobił głupią minę i usiłował się cofnąć, ale wtedy rozwrzeszczał się ten maluch na jego ramieniu.

- Chyba cię lubią - zauważył z pełnymi ustami Przygięty Mick.

W przeciwieństwie do reszty nie marnował czasu, tylko od razu zabrał się do pałaszowania węża. Bo, widzicie, przyjaciele, ja nie mogłem oderwać oczu od tych zwierzaków. Łzy powoli przestawały mi płynąć, a mgielka się rozwiewała i widziałem, że są nieduże, odrobinę większe od kolibrów i trochę podsmażone w naszym piecu, ale złociste i lśniące jak... no, sami wiecie, jak ogień. Każde małe piórko mieniło się i połyskiwało metalicznie, u nasady ciemniejsze, prawie purpurowe, stopniowo żółkło, robiło się coraz jaśniejsze, a przy czubku całkiem białe. Niby ten na ramieniu Kurczaka siedział zupełnie spokojnie, ale miałem wrażenie, że oparzy, jeśli tylko wezmę go do ręki. I jak się zaraz okazało, niewiele się omyliłem, bo kiedy Marvin nie dość szybko zszedł z drogi temu drugiemu, stworek rozdziawił dziób, zasyczał z nienawiścią i w jednej chwili jakby jeszcze silniej się rozzarzył. A potem, nie uwierzycie, trawa wokół niego nagle zaczęła tlić się i czernieć.

Marvin zabalgotał coś nieartykułowanie, Mick zamarł z otwartą gębą, ukazując górę dobrze przemielonego mięsa, a Lloyd błyskawicznie dobył noża. Może nawet dopadłby któregoś ze zwierzaków, bo nie żywił szczególnego nabożeństwa dla miejscowej fauny i jeśli uznał, że coś mu zagraża, wpierw częstował bydlę kilkoma calami stali, a dopiero później sprawdzał, co mu trafiło na ostrze. Wiedzieliśmy o tym wyśmienicie, bo ze dwa tygodnie wcześniej zaszlachtował czworonożnego ulubieńca jakiegoś strasznie ważnego zabojadą, kiedy się zwierzak zapędził do naszej kantyny i nieopatrznie postanowił Lloyd oszczezać.

Ten akurat spokojnie konsumował kolację. Trzeba przyznać, że nie miał złych intencji, po prostu zareagował odruchowo, gdy coś zaczęło mu jazgotać pod stołem. Najpierw kopnął, a skoro nie pomogło, dźgnął na oślep tym, co właśnie miał w ręce.

Nie uwierzycie, jakie cienkie czaszki mają te francuskie pieski! Widelec wszedł do połowy, no i mieliśmy skandal. Międzynarodowy, że tak powiem, bo ten żabojad okropnie się oburzył i podniósł taki rwetes, jak ten, nie przymierzając, jego kundel trochę wcześniej. Nasz major musiał się bardzo mocno wysilać, żeby go udobruchać, poszło na to pół skrzynki szampana - za który zresztą potem skrupulatnie potracił Lloydowi z żołądu.

I teraz pewnie też by się staremu udało dopaść zwierzaka, gdyby nie Sal.

Ku mojemu zaskoczeniu zdobył się na niesamowity wybuch energii, rzucił się przed Lloydem i własnym ciałem zasłonił stwora.

- Zostaw! To przecież żar-ptak - dodał z czułością w głosie. - Maleńki żar-ptak.

Ocalony stworek zasyczał na niego niewdzięcznie i dał susa do Kurczaka, wdrapał się błyskawicznie i ukosił na jego drugim ramieniu. Zabawne, ale wyglądał tam całkiem na miejscu. Jak pisklak na grzędzie, tuż obok matki-kury.

Reszta chyba miała podobne wrażenie, bo za plecami usłyszałem czyjś zduszony chichot. Kurczak natychmiast wyczuł nastawienie chłopaków, bo wycedził powoli:

- Jak któryś się odezwie, wybiję zęby.

Mnie jednak wcale nie było do śmiechu. Gapiłem się na stworzenia na ramionach Kurczaka i zwyczajnie zatkało mnie z zachwytem.

- Auberon sprowadził je specjalnie do swojego zwierzyńca. - Nie spostrzegłem, kiedy Sal znalazł się koło mnie i oczywiście poczuł się w obowiązku nawiązać rozmowę; zupełnie nie rozumiałem, dlaczego znów przyczepił się akurat do mnie. - Trzy samice i trzy samce, bo one żyją w parach, łączą się na całe życie. - W jego głosie pojawiła się tęskna nuta. - Normalnie żyją gdzieś na wschodzie, strasznie daleko stąd. I są dzikie, takie dzikie, że nawet czary Auberona nie utrzymały ich w niewoli. Uciekły i tak się zaszyły, że naszemu dobremu władcy kilka ładnych dekad zabrakło wytropienie pierwszej pary. W końcu zapędził ptaki na mokradła, lecz broniły się tak zajadle, że musiał je zabić, gdy połowa przybocznego hufca stanęła mu w ogniu.

Zwierzaki na ramionach Kurczaka wyglądały dziobami pióra, a czuby na ich głowach drżały lekko, całkiem jak płomienie na wietrze.

- W ogniu? - zapytałem bez tchu.

- One płoną. - Sal zniżył głos, jakby wyjawiał tajemnicę. - Dlatego nazywamy je żar-ptakami. Kiedy nie mogą poradzić sobie inaczej, rozniecają ten żar, który zawsze noszą ukryty głęboko pod sercem, i ziemia wokół nich staje w płomieniach. Jeśli nie zdołają uciec, giną w pożodze, którą rozpętały. Niektórzy wierzą, że potem odradzają się z własnych popiołów - dodał po chwili - jednak to zwyczajne bajdy. Jeżeli spłoną, to na dobre, jak wszystko inne.

Skinąłem głową. Komu jak komu, ale mnie nie trzeba było tego tłumaczyć.

Przypomniał mi się tamten stwór, którego zastrzeliliśmy na skraju lasu. Prawdę powiedziawszy, mieliśmy sporo szczęścia, zwierzak pewnie bronił dostępu do gniazda i jeszcze moment, a skończylibyśmy jak podpałka, i to z gatunku tych dobrze podlanych naftą. No, ale nie był przygotowany na spotkanie z lewisem Marvina. Ani z moim kleifem, skoro już o tym mowa.

- Musieliście natknąć się na samicę - wyjaśnił, wciąż szeptem, Sal. - Przemiana przychodzi im z większym trudem niż samcom i zwykle trzymają się blisko młodych.

- Czy to znaczy - zagadnął go ostrożnie Myszak - że wlecze się za nami jeszcze wkurzony tatuś?

Sal pokręcił głową.

- Nie sądzę. Onegdaj jakiś żar-ptak walczył z Taraskiem i choćby przeżył, jest teraz zbyt wyczerpany, by próbować pościgu. Ale tak, kiedy dojdzie do siebie, zechce odzyskać młode, a wówczas żadna siła nie zdoła go powstrzymać. Nawet Auberon nie próbował nigdy podbierać jaj żar-ptakom - dorzucił na koniec tonem wyjaśnienia.

Spojrzałem badawczo na Kurczaka i jego nowych pierzastych ulubieńców. Zwierzaki chyba się trochę ośmieliły, bo zaczynały go skubać w uszy i popiskiwać nerwowo. Jak na mój gust brzmiało to tak, jakby dopominały się o żarcie, widząc uznawszy młodego za swoją mamusię. A Kurczak minę miał nietęgą, co właściwie mnie nie dziwiło: najwyraźniej już zrozumiał, że dźwiga na ramionach dwa wygłodniałe samozapłony. Niedługo zacznie się zastanawiać, co też się stanie, jeśli w któregoś z tych żar-skrzeków ugodzi pocisk.

Ludzie w ogóle za dużo myśleli o takich sprawach. Dlatego tak rzadko udawało mi się znaleźć kogoś do noszenia pojemnika z mieszanką.

- Chętnie je oddam - wyrwało się Kurczakowi, kiedy jeden ze zwierzaków zabrał się do pracowitego iskania jego czupryny.

- One raczej nigdzie nie pójda - odparł z powagą Sal. - Musiały być już bliskie wyklucia, kiedy wygarnęliście je z gniazda, i ogień tylko przyspieszył przebudzenie. Ale dojrzewały w ciepłe jego ciała - wycelował paluchem w Kurczaka, który i bez tego wyglądał niezbyt szczęśliwie - i najwyraźniej uznały go za matkę.

- Cholera, wiedziałem, że z tego zbieractwa będzie nieszczęście! - zezłościł się Lloyd. - Pamiętacie jeszcze Nieuchwytnego Zbója?

Pamiętaliśmy, a jakże. Pewnego pięknego dnia Kurczak przywłókł do domu niedobitego psiaka. Zwierzak wyglądał jak kłębek włosów, pozlepianego krwią i błotem, bo młody wypatrzył go w zatoczce, ulubionym łowisku krokodyli. Zdążyły psa nieźle poturbować i odtąd kulał na tylną łapę, ale reszta ran przyschła na nim błyskawicznie. Kurczak był zachwycony. Przez najbliższe miesiące nie rozstawał się ze swoją nową maskotką, a zwierzak wykorzystywał to z całą bezwzględnością

przybłądy z buszu. Nawet sypiali razem. Co gorsza, Kurczak w tajemnicy przed matką przemycił go do kuchni i podrzucił mu co tłustsze kąski, ku zawiści pozostałych kundli, bo innych zwierzaków nie wpuszczano za próg, i niemałej części czarnych, którzy zawsze wałęsali się w pobliżu farmy i nierzadko mieli kłopoty z napełnieniem brzuchów. Z drugiej strony, biedak nie miał lekko. Kurczak tarmosił go nieustannie, przebierał we własne kamizelki, a niekiedy wręcz kąpał w matczynej balii z mydlinami, które to upokorzenie psiak przyjmował z objawami najwyższej niechęci, miał jednak dość rozsądku, by nie gryźć swojego dobroczyńcy.

My oczywiście stukaliśmy się w głowę na to nowe dziwactwo. Owszem, każdy dzieciak chce mieć własnego zwierzaka i zrozumielibyśmy, gdyby ukochał jakiegoś żrebca albo jagnię, ale nie zwyczajnego kulawego śmierdziela z buszu. W każdym obozowisku tubylców kręciło się kilka tuzinów tych na pół zdiczałych, złodziejskich stworzeń, tyle że znały swoje miejsce i na widok białego zmykały co sił w nogach. Tymczasem psiak Kurczaka rozzuchwalił się tak, że ledwo co podnosił łeb z jego poduszki, kiedy ktoś wchodził do pokoju, a starą ciotkę Lizzy, która pomagała w kuchniach, potrafił złapać zębami za rękę, jeżeli usiłowała go odgonić od garnków. Wałęsał się po farmie, spasiony jak wieprzek, bez powodu szczyrzył kły, a jeśli próbowałeś pogonić go kamieniem, od razu rzucał się do gardła. Na dodatek złośliwy był i sprytny, że uchowaj Boże.

Kiedyś dla zabawy posypałem mu pieczeń mydłem - wiecie, nie po to, żeby się otruił, bo Kurczak by się zapłakał, ale żeby się trochę pomęczył. Żaden normalny pies nie tknąłby tego świństwa, ale ten zeżarł do ostatniego kąska, jeszcze mu było mało: albo tak zgnuśniał od Kurczakowych pieszczot, albo nigdy nie doszedł do siebie po tym spotkaniu z krokodylami. Zaraz zaczął się pieniść, i to tuż przed werandą, gdzie dorośli raczyli się wieczornym piwkiem, bo nie miał dość rozumu, żeby zejść ludziom z oczu. Naprawdę nieźle mi to wyszło. Miotał się jak wściekły, toczył pianę z pyska, rzygał dalej, niż widział. Miód, powiadam wam. Wszyscy się nabrali.

Mc Andrews złapał za strzelbę i dalejże strzelać. Ciotka Lizzy biadoliła, że ją pies z rana ugryzł, więc ona też niezawodnie dostanie wścieklizny. Kurczak zawodził rozpaczliwie i czepiał się rąk ojca, utrudniając celowanie. I pewnie tylko dlatego upiekło się śmierdzielowi. Czmychnął na pastwisko. Wuj Chuck szybko zorganizował pościg, żeby pies nie pozarażał innych zwierząt, ale aż do wieczora nie udało im się go znaleźć.

No i wtedy się przyznałem. Starzy by nie popuścili, a nie miałem ochoty całą noc włóczyć się po buszu.

Kurczak strasznie się obraził, to fakt. Ze trzy tygodnie się do mnie nie odzywał, co przy jego gadulstwie stanowiło nie byle jaki wyczyn. A pies zniknął na tak długo, że straciliśmy już nadzieję na jego powrót. Dopiero w porze kocenia owiec, kiedy zdążyłem zupełnie zapomnieć o Kurzącym pieszczochu, ktoś zakradł się do naszej zagrody i jednej nocy zamordował wszystkie nowo narodzone

jagnięta. A następnego wieczoru, powiadam wam, sąsiedzi, morderca zasadził się na mnie.

Musieliśmy z tatuńkiem ukoić żal po naszej stracie, więc nieźle tamtego dnia popiliśmy z Wujem Chuckiem. I kiedy nad ranem wlokłem się do domu, coś mnie zaatakowało na kładce przy Rozlewisku Krokodyli. Nie, nie próbował mnie gryźć, jak zrobiłby każdy z naszych kundli, gdyby odważył się zaatakować człowieka. Nie, tamten zwierzak z piekła rodem był na to za mądry. Wiedział, że jeśli tylko zdołam się wyrwać, jednym kopniakiem przetrączę mu kark. Skoczył więc na mnie, całym ciężarem walnął w pierś i, powiadam wam, strącił mnie prosto w wodę, między krokodyle.

Dotąd nie wiem, jak mi się udało dopłynąć do brzegu. W każdym razie zabrało mi to naprawdę sporo czasu, ale żadna z bestii mnie nie tknęła. Może wyczuły gorzałę Wuja Chucka i postanowiły nie ryzykować.

Następnego ranka, kiedy trochę doszedłem do siebie, miałem mętne wrażenie, że rozpoznałem charakterystyczne utykanie ulubieńca Kurczaka. Ale jeszcze nie mogłem uwierzyć, że zwyczajny kundel, choćby najbardziej wredny, miał dość sprytu, by mnie tak podejść.

Podczas kolejnych dwóch tygodni powoli zmieniałem zdanie. Na naszą farmę spadł bowiem istny potok plag egipskich. Ginęły jagnięta i prosiaki. Coś zagryzło cielaka przy wodopoju - w biały dzień, tuż pod nosem pastucha - i zostawiło ledwo napoczęte ściervo. O świcie znajdowaliśmy w kurniku kilka zaduszonych niosek. A na końcu bydlak zakradł się do gołębnika i zezarł tatkowi jego wspaniałe grzywacze.

Chciałbym wam powiedzieć, że miarka się przebrała i dopadliśmy śmierzdiela. Ale nie. Nie uwierzycie, jaki był sprytny. Nazwaliśmy go Nieuchwytnym Zbójem, bo nigdy nie udało się nam go złapać. Nie nabrał się więcej na żadną trutkę, nie złapał w pułapkę, nie wystawił na strzał. Oglądaliśmy jedynie ślady jego trzech łap, a niekiedy też słaby odcisk tej czwartej, chromej, którą zwykle podkulał. Z czasem jego nienawiść do mnie zelżała - znudził się czy też raczej rozszerzył pole działania. Znikał na parę miesięcy i z rzadka zaledwie dochodziły nas wieści, że widziano go w którymś z pobliskich hrabstw. Lecz kiedy tylko świtała nam nadzieja, że pozbyliśmy się go na dobre, powracał i zaczynał mordować ze zdwojoną energią. Przeszły ze trzy lata, zanim ostatecznie przepadł.

Z początku Kurczak próbował tłumaczyć ulubieńca. Nawet przylaźł do tatka i zaoferował mu odszkodowanie - miał wtedy najwyżej siedem lat i chyba rozbił swoją pierwszą skarbonkę - za wyduszone jagnięta, ale zarobił tylko kilka kopniaków. Potem już po prostu nie odzywał się ani słowem, kiedy relacjonowano przy nim kolejne wyczyny psiaka. Jednak i tak się prosił o porządny łomot, bo trudno kryć, że to on ściągnął nam na kark tego parszywego zwierzaka.

Wiecie, dlaczego mu w końcu odpuściliśmy? Bo Zbój okazał się paskudnie niewdzięczny i za

osobliwy obiekt nienawiści obrał sobie drób, a w szczególności kurczaki. Zwyczajnie nie umiał im przepuścić, wyobrażacie sobie? Na dodatek regularnie przypominał sobie, czym był niegdyś ulubieńcem, bo co parę dni Kurczak znajdował pod swoim oknem zaduszone kury, perliczki i indyki, a kiedyś nawet trafiły się dwa emu.

Oczywiście cała okolica wkrótce się dowiedziała o tych niezwykłych hołdach i właściciele wymordowanego drobiu zaczęli się równie regularnie meldować na farmie, żądając odszkodowań. Wszystko to doprowadzało starego Mc Andrews do jasnej cholery. Narzekał, że przez wysoki Kurczaka pójdą z torbami, lecz wobec namacalnych dowodów bytności Zbója w żaden sposób nie mógł się wyprzeć ulubieńca syna. A my z Myszakiem woleliśmy dręczyć młodego, strasząc go, że te zaduszone ptaki nie są bynajmniej dowodem wdzięczności, tylko zapowiedzią, jak Zbój ma ochotę odplacić swemu dobroczyńcy za wielobarwne kokardy, które wiązano mu na ogonie.

W każdym razie odetchnęliśmy z ulgą, kiedy Zbój wreszcie zniknął. McAndrews cieszył się, że widmo ruiny oddała się w bliżej nieokreśloną przyszłość, ale i tak zabronił Kurczakowi przynosić na farmę cokolwiek większego od żaby.

Tak, to było tuż przed tym, jak młody znalazł funnelweba.

- Żar-ptaki wcale nie są podobne do Zbója - bronił się nieudolnie Kurczak. - Są śliczne.

Miał rację, naprawdę były śliczne. Jednak Lloyd okazał się całkowicie odporny na ich wdzięk.

- Śliczne, śliczne - burczał pod nosem, zezując nieprzychylnie na ptaki: ich czuby rozprostowały się już i przybrały barwę sosnowego ognia. - Papugi widziałem ładniejsze niż toto. Zresztą wszystko, póki małe, to śliczne. Tyle że potem urosnie i zacznie żreć. I kto je wyżywi? Bo jeśli ich nie nakarmisz, tak mi się widzi, żeżrą cię razem z butami, tornistrem i zasobnikiem.

- Wyżywić to one się same wyżywią - zaczął ostrożnie Sal. - Bardziej niepokoi mnie...

- Mówię, rzucić je w krzaki - zżymał się Lloyd. - Albo odesłać temu Auberonowi, niech je sobie weźmie, skoro mu tak zależy. Może wtedy sam z siebie odpali nam trochę złota...

No, tu się nieco zapędził. Bez słowa popatrzyliśmy na niego jak na idiotę, a Sal pozwolił sobie nawet na nieznaczne wzruszenie ramion.

- A właściwie co za kłopot jest z tym całym Auberonem? - włączył się nagle Mick, który wprawdzie myślał wolno, ale skutecznie. - Nie da się go przekonać, żeby dał nam spokój? Lepszym od niego wybijaliśmy zęby.

Sal wytrzeszczył oczy i zagulgotał coś z oburzeniem, widać do głowy mu wcześniej nie przyszło, że można tak bezceremonialnie potraktować Jego Karłą Wysokość. Mnie zaś, powiem wam szczerze, też jakoś nie urzekła surowa prostota Mickowego planu, chociaż normalnie nie miałem nic przeciwko porządnemu mordobiciu.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. - Podrapałem się po brodzie - jeden dzień z dala od sierżanta wystarczył, żebym wyhodował sobie niezgorszą szczecinę - i szybko streściłem kumplom, czego się dowiedziałem od nieznajomej znad stawu.

- Mnie się i tak zdaje, że trzeba po prostu porachować kurdupłowi kości - upierał się Mick po wysłuchaniu moich rewelacji.

Zwyczajnie mi zazdrościł, bo spotkałem kobitę jak się patrzy, a jemu, nie przymierzając, trafił się w wiosce postarzały dziobak.

- Nie walczyć - odezwał się zniecka Snowy. - Nie z małym człowiekiem.

Kiedy mówiłem, czarny kręcił się na skraju polanki, niezobowiązująco zbierał jakieś suche patyki, coś tam dorzucał do ognia i ogólnie wydawał się całkowicie niezainteresowany, a tu, popatrzcie, nie uronił ani słóweczka.

- Co ty, Snowy? - napadł go Mick. - Z małym to nawet przyjemniej.

Wspominałem wam wcześniej, że Mick miał dość swobodne podejście do zasady fair play?

- Mały człowiek, wielkie nieszczęście - upierał się Snowy. - Nie walczyć. - Wyrzucił w górę ramiona i zaczął szybko po swojemu bulgotać do braci Mc Andrews.

Podszedłem, żeby mu nagadać, ale Myszak ostrzegawczo zacmokał i powiedział jedno słowo:

- Burgingin.

W ogóle nie wiedziałem, o co mu chodzi - ktoś powinien wreszcie przestrzec starego McAndrewsa, że jego pierworodny stanowczo za dużo czasu spędza między czarnymi - ale natychmiast zrozumiałem, że nie ma co strzępić języka. Jeśli Snowy wbił sobie coś do głowy, nic się nie dało zrobić. Widzicie, często uchodził za białego: wychował się na farmie, nieraz jeździł z nami do miasteczka, umiał obsługiwać radio, podróżował koleją, a w końcu wybrał się z nami na tę wielką wojnę na krańcu świata, jednak w gruncie rzeczy stanowiło to jedynie cienki pokost, pod którym był tak samo dziki jak jego czarni pobratymcy. Owszem, ojciec Molloy pokropił go święconą wodą, jak zresztą każdego z dzieciaków, które biegały po farmie, a stary McAndrews dopilnował, żeby Snowy wyuczył się wszystkiego co trzeba w szkółce przy misji. I co, dużo to pomogło? Dalej wierzył w te swoje sny, omeny, zakazy, w Tęczowego Węża i straszliwe karły, które się kryły w buszu - wprawdzie nikt ich nigdy nie widział, lecz każdy tubylec był święcie przekonany, że zginie okrutną śmiercią, jeśli tylko podniesie na nie rękę.

I teraz nasz Snowy, ten sam, który przeprowadził nas przez plażę Gallipoli, nocami wyprawiał się na ziemię niczyją jedynie z tym swoim wielkim nożem i sam nie wiem ile razy wyciągał naszych chłopaków spod ognia, trząśł się ze strachu. Mówię wam, jego twarz spopieliała, jakby odpłynęła z niej cała krew, z ust sączyła mu się strużka śliny. Owszem, mogliśmy go powlec ze sobą, tyle że niechybnie skończyłoby się tak samo, jak z tymi czarnymi, którzy uroją sobie, że zostali przeklęci -

wyśpiewani - przez swoich. Możecie wierzyć albo nie, lecz niejednokrotnie widziałem, jak wesoly, krzepki tubylec pewnego dnia bez przyczyny zaczynał uskarżać się na straszliwe bóle, przestawał jeść i pić, a wreszcie popadał w dziwaczny paraliż, który kończył się śmiercią, jeśli żaden z ichnich znachorów nie zdjął klątwy.

Łypnąłem pytająco na Lloyda. Zdegustowany przewrócił oczami, po czym powiedział:

- Wcale nie będziemy walczyć z Auberonem. Bierzemy nasze złoto i spadamy stąd bez dodatkowego zamieszania. A ty, Mick, zamknij się wreszcie. Mam serdecznie dość twoich pomysłów.

- Właśnie - potaknął Kurczak, a oba żar-ptaki na jego ramionach zaświergotały z aprobatą. - Przecież chyba chcemy zdążyć na tę nową ofensywę, nie?

Z oburzenia aż mnie przytknęło. Co tam smok, karły, złoto - Kurczaka najwyraźniej już piliło do świeżej awantury.

Myszak i Lloyd odwrócili się do niego i zgodnie, jak na komendę, rzucili:

- Och, zamknij się, Kurczak!

- Jeśli się wszyscy nie zamkniecie i nie zabierzecie do roboty - odezwał się Marvin - niebawem nie pozostanie nam nic innego, jak dać się zabić na tej durnej ofensywie, bo złota już na pewno nie powąchamy. Więc jak będzie? Zbieracie wreszcie tyłki?

O dziwo, posłuchaliśmy go bez większych ceregieli. Tylko Wielki Bill trochę zwłóczył, dożerając resztki pieczonego węża, ale dopędził nas za drugim pagórkiem. I dobrze, bo zaraz później znaleźliśmy wóz.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY



Niestety, jego widok nie dostarczył nam wiele radości, raczej odebrał nadzieję. Najwyraźniej taszczono go za szybko, pchano za mocno, dokładnie jak można się było po nich spodziewać. Bo wiecie, Bosze, nieważne czy prawdziwi, czy udawani, już tacy byli. U nich wszystko musiało być równiutko i na komendę, czy chodziło o zatkanie armatnim mięsem luf naszych vickersów, czy o przeprowadzenie przeciążonego wozu wąską przesieką, poprzecinaną korzeniami i

wykrotami. Skończyło się tak, jak musiało się skończyć, urwali koło i złamali oś. Tępaki i tyle. Niestety, przy tym i ostateczni skąpcy, bo został sam drewniany szkielet, wyczyszczony ze złota jak martwy kangur z mięsa przez mrówki.

Musieli się nieźle zwijać, bo wszędzie walały się rozłupane resztki skrzynek, ostemplowanych tym czarnym, na wpół zatartym godłem, cośmy je już raz widzieli. Powiem wam, że jak na Boszów był to wręcz apokaliptyczny nieporządek. Ale chociaż się spieszyli, tym razem nie przeoczyli żadnej sztabki. Mick długo i namiętnie szukał, sprawdzając swoje szczęście, aż wreszcie zrozumiał, że ma takie, jak zwykle.

Śladów widziałem mnóstwo, małych, drobnych, rozchodzących się we wszystkie strony. Wskazać kierunek, w jakim tamci uszli, wydawało się najprostszą rzeczą na świecie, wystarczyło wyciągnąć przed siebie rękę - gdziekolwiek. I takeśmy się jeden w drugiego zafrasowali, bo nawet Snowy zaczął się kręcić bezradnie po przesiece i krzakach w okolicy, mamroląc coś pod nosem i pocierając dłonie jak w modlitwie. Chyba jego bożkowie wybrali akurat ten moment, żeby się na niego efektownie wypiąć.

- Sal, przyjacielu - odezwał się Lloyd i dla lepszego efektu przeładował enfielda, a pocisk, który wyskoczył z zamka, złapał pewnie jak pajak muchę - dokąd dalej?

Ale Sal milczał.

- Głuchy jesteś? - dołączył Mick, spoglądając spode łba. - Mówiłeś, że wiesz, gdzie jest złoto.

- A-a-ale... - Sal się zawahał.

- W szkółce słyszałem - dorzucił Myszak - że jąkanie się jest wadą wymowy, którą znacznie łatwiej wyleczyć niż bagnet wetknięty w krtań.

Kurczak pokręcił głową na słowa brata.

- Nie słuchaj go, Sal. Przypomnij sobie po prostu, co się stanie, gdy się rozejdzie po lesie, żeś ochrzczoney.

Nie szło zaprzeczyć, że Salamander był jednak istotą racjonalną.

- Nigdy nie byłem w tej części lasu - rzekł w końcu. - Jesteśmy w otulinie włości Nibelungów. Tu zaczynają się skaliste wzgórza, pod którymi karły zbudowały swoje tajemne pałace. Ale po drodze jest też uświęcona polana, na której rosną runy. Jeżeli faktycznie próbują zwabić Tarasque'a gdzieś, gdzie będą mogli go pokonać, to właśnie tam.

- Czy to daleko? I którądy?

Sal bez wahania wskazał kierunek.

- Ze dwie mile.

To był bodaj najgorszy etap od samego początku tej wyprawy. Nie dlatego, że ścieżka pięła się

w górę szerokimi zakosami po zboczach kolejnych pagórków porośniętych gęstym - jak na te okolice - borem. Ale wszyscyśmy poczuli zdobycz i poszliśmy na całość. Nie było na co czekać i człowiek wspinał się przed siebie jednostajnym morderczym marszobiegiem, którego sierżanci w obozie szkoleniowym długo i bez powodzenia próbowali nas nauczyć. Sal, chociaż bez bagażu i broni, a jedynie w lekkich ciuchach, włókł się w ogonie kawalkady. Zwiesił głowę i nawet go już nie musieliśmy pilnować. Zrozumiał, że albo jest z nami, albo jest martwy. Przebierał nogami jak umiał, ale do Micka prącego na przodzie miał dobre sto jardów. Potem przynajmniej przestał dyszeć, bo pagórki się skończyły, a droga poszła taką wydłużoną niecką, a co najważniejsze - w dół.

Trudno zaprzeczyć, że zwyczajnie nas poniosło i nabraliśmy nieoczekiwanego impetu, który bez najmniejszych wątpliwości zdecydował o takim a nie innym rozwoju wydarzeń. Tak sobie myślę, że nie dało się tego uniknąć. Tak samo jest z pogonią za postrzelonym kangurem. Wiesz, że dostał, krwawi i jest twój, więc im bliżej niego jesteś, tym szybciej przebierasz nogami. Doskonała sytuacja, żeby wleźć w czyjeś wnyki.

Wytoczyliśmy się na opisaną przez Sala polanę jeden za drugim, prosto spomiędzy drzew, rozpędzeni jeszcze od schodzenia z pochyłości. To nie była zwyczajna leśna łąka, oj nie. Takiej trawy w życiu nie widziałem. Szara i niska, niepozorna, wydawała się jak gdyby spopielona. Rozciągała się wszędzie dokoła i jedynie dzięki falowaniu niziutkich łańców dało się poznać, że to faktycznie nie jest tylko zmielony pył.

Dziwne wrażenie robiły też okoliczne drzewa. Polana leżała w kotlinie i widziana z daleka wyglądała jak jednorodna kołdra zielonego lasu - z wyjątkiem drzew na samych krawędziach, które także były wyprane z kolorów, wyłysiałe z liści, a nawet gdzieniegdzie przezroczyste jak świeżo umyta szyba: Przez to zblaknięcie kolorów najbliższego otoczenia zupełnie nie rzucały się w oczy szare placki dużych kamieni, wkopane w różnych konfiguracjach w ziemię na całej polanie. Gdy przyjrzałem się kilku z nich, zauważyłem, że na każdym starannie wyrzeźbiono wyraźny znak, jakby z jakiegoś kanciastego alfabetu. Snowy stał nad jednym i badawczo mu się przypatrywał. Śmieszne, ale wydawało mi się, że te kamienie świecą, trochę jak promienie słońca zza chmur, szerokie i dobrze widoczne w zawirowaniach pyłu nad skrubem.

Potarłem oczy, ten dziwaczny powidok zaczynał mnie naprawdę wnerwiać. Zaraza jakaś z tym gadającym nietoperzem.

Nie warto było zresztą poświęcać większej uwagi jakimś tam kamieniom - wreszcie zobaczyliśmy nasze złoto! Ktoś ułożył sztabki w zgrabną piramidę, na mile połyskującą żółto w ogólnej szarości okolicy. Stos nie imponował wysokością, ale miał solidną podstawę i od samego patrzenia przypominało mi się wszystko to o cyfrach, co pastor w parafialnej szkole bezskutecznie wkładał mi do głowy w tamto jedno jedyne lato, kiedy tatuniek wyprawił się na Tasmanię i

McAndrewsowie uznali, że powinienem zakosztować trochę dobrodziejstw edukacji.

Tyle że zanim Myszak czy Mick zdążyli ruszyć z kopyta, zdaliśmy sobie sprawę, że mamy konkurencję. Pod drzewami na skrajach polany coś błyszczało, na wprost nas, po lewej i prawej. Nie był to jednak ów miły naszym duszom słodki żółtawy poblask złota, raczej prozaiczna jaskrawość wypolerowanej stalowej powierzchni. Mick świadomie ją zlekceważył i popędził na środek łąki w kierunku uporządkowanych sztabek, ale myśmy się jednak trochę zafrasowali. Bo wiecie, tamtych było naprawdę mrowie, więcej chyba, niż oglądałem raz na defiladzie naszej brygady. W dodatku nie sami zakuci w pancerze piesi, ale i kawaleria na wielkich, masywnych koniach, o dziwo również lśniących stalą.

- Sal - Lloyd rozejrzał się po polanie - co to za ludzie?

- Lennicy króla Auberona - odpowiedział skwapliwie Salamander. - Widzę chorągwie wszystkich ważniejszych możnych.

- A czego tak stoją? - spytał nieufnie Wielki Bill.

- Czekają na smoka.

Lloyd strzyknął przez zęby śliną. Widziałem wyraźnie, że liczył tamtych. W każdym razie próbował. Tymczasem Mick dopadł do stosu, wskoczył na sam czubek i, zdaje się, próbował się w nim zakopać.

- No to - powiedział Kurczak pobłażliwym tonem - niech sobie czekają. My tylko zabierzemy nasze złoto i nie będziemy przeszkadzać.

- Młody - Myszak osadził go w miejscu - oni bez smoka złota nie oddadzą. Zgadza się, Sal?

Salamander skinął energicznie głową.

- Nie oddadzą. Tarasque da się tutaj zwabić, tylko jeżeli łup będzie znaczny.

- W takim razie załatwimy im tego smoka - ciągnął niezrażony Kurczak. - Weźmie się Marvin...

- Żeby ja się do ciebie nie wziął - rozsierdził się grubas.

- ...i się smoka zdejmie z nieba. Może i nie zdechnie od razu, ale jeśli uda mu się strzelić w łeb, na pewno na jakiś czas się od nas odczepi. Lepiej kulturalnie zrobić interes, zamiast znowu wdawać się w mordobicie.

Stary koniokrad przyjrzał się młodszemu McAndrewsowi badawczo.

- Ty chyba jesteś jakiś nie nasz - mruknął, wyraźnie zde gustowany tym nieoczekiwanym powiewem rozsądku.

Polubowne rozwiązywanie sporów nie leżało w naturze Dana Lloyd.

Na polanie piramidka złota pod naporem Micka padła na bok, rozlewając się po szarej trawie

jęzorem żółtych sztabek.

- A kto tam pójdzie tego interesu dobić? - Marvin wyczuł okazję, żeby błysnąć ironią. - Ty?

- No, skąd! - Kurczak wywinął się natychmiast. - Niech Lloyd idzie. On z nas ma największe doświadczenie. Co prawda w sprzedaży cudzych koni, a nie smoków, ale i tak się liczy.

Lloyd chciał znowu strzyknąć śliną, ale z wrażenia się zakrztusił.

- Co? I może jeszcze sam? Żeby mnie tym swoim żelastwem przerobili na barbecue? A niedoczekanie!

- Miałeś się nami opiekować. - Myszak uderzył w zasadniczy ton, którego jak nic musiał się nauczyć od ojca. - Mną i moim małym braciszkiem - wskazał Kurczaka, mniej więcej pół cala niższego od siebie. - A dobra opieka nie oznacza, że ta gromada dzikusów ma nas poszatkować. Ruszże tyłek i dobij targu.

Ten zasadniczy ton to jest straszna rzecz, mówię wam. Na farmie przez niego chodziliśmy równiutko jak kościelne zegary.

Świetnie rozumiałem wahanie Lloyd'a. Gdyby chociaż był w stanie jakoś ogarnąć tego ich króla i możnych, wyobrazić sobie, że stoją za jakimś bankowym kontuarem, a potem po prostu zawołać „To jest napad!” i załatwić sprawę, jak umiał najlepiej. Ale Myszak wymagał od niego spokojnej rozmowy z tamtymi, i to prawdopodobnie bez użycia broni. Paskudne doświadczenie.

- Ruszyli! - krzyknął nagle Sal i aż podskoczył z wrażenia.

Rozejrzeliśmy się i, niestety, miał rację. Ludzie w pancerzach podjęli decyzję za nas, najwyraźniej wyprowadzeni z równowagi ekscesami Micka. Krótkie szpalery kawalerii na obu skrzydłach i na wprost rozwinęły się ku nam, z każdą chwilą nabierając prędkości. Pozostał zaledwie moment na wybranie właściwego miejsca do obrony.

- Biegiem do złota! - zakomenderował Lloyd i wszyscyśmy pognali ku Mickowi.

Pusty, płaski środek polany kiepsko się nadawał do odparcia szarży kawalerii, ale przecież nie mieliśmy wyboru. Jak zgiąć, to raczej po kolana brodząc w kruszcu. Zajęliśmy pozycje w półokręgu, dookoła bezkształtnej teraz przyzmy, większość po lewej. Prawą flankę Marvin wziął na swojego lewisa. Lloyd wydawał urywane, chrapliwe komendy, zupełnie jakbyśmy sami z siebie nie wiedzieli, co trzeba zrobić.

Ja zresztą znowu byłem ostatni. Pustawą maszynkę zrzuciłem z pleców, ale się przygotowałem. Z szyi zdjąłem enfielda, pas mnie jak zwykle paskudnie obtarł. Sal przydreptał za mną, więc machnąłem tylko ręką, żeby się schował za moimi plecami.

Snowy też stał na tyłach, ale nie dotknął przerzuconego przez plecy karabinu, bo, jak już wspominałem, nożem robić umiał, ale gdy strzelał, to nawet bezpieczniej było znajdować się po stronie wroga.

Kawalerzyści pancernych zbliżali się do nas z trzech stron, jednostajnym równym tempem wyszkolonej jazdy. Profesjonaliści w każdym calu, bez galopu, równe odstępy. Gdy pochylili długie dzidy, to równocześnie i pewnymi ruchami.

Podpuściliśmy ich jeszcze trochę i zaczęliśmy strzelać. Zaraz zrobiło się prawie jak na Synaju. Tam nasi najpierw na konikach gonili abdulską piechotę, aż tamci pogubili te swoje turbany i obrusy, a jak turecka kawaleria próbowała odpłacić tą samą monetą, nasi zsiadali z koni i strzelali - przede wszystkim do pierwszego szeregu, aby pozostałe miały szansę pozabijać się o powalone rumaki z przodu.

Szyk pancernych był zwarty, miejsca na manewr mało, a wierzchowce przeciążone, więc po kilku salwach i gęstych seriach mieliśmy przed sobą niewiarygodne kłębowisko. Skręcone karki, połamane nogi, pognieciona blacha, do tego kwiki i wrzaski, przekleństwa. Mniejsza część jeźdźców zdołała jakoś wyhamować i teraz była zajęta taktycznym odwrotem. Wyglądali na takich, co to zaraz zawrócą, najwyżej za paręnaście mil.

Nie wiem, czy na coś liczyliśmy, czy Lloyd coś sobie planował, albo obaj McAndrewsowie. Ja miałem nadzieję, że ta mała demonstracja da pancernym do myślenia. Wiecie, w naszych czasach szarża kawalerii na piechotę rzadko wychodzi tej pierwszej na zdrowie. I w gruncie rzeczy każdy mógł dostać tak samo w nos, piechurzy też.

Tak sobie dzisiaj rozważam, że jednej rzeczy nie brałem pod uwagę. Ci na skraju polany nie zauważyli, co dokładnie się stało, i nie sądzili, aby było się czego bać. Więc gdy już wykończyliśmy im kawalerię, poczuli się w obowiązku przyjść i pokazać, co o tym sądzą.

Najpierw odezwał się jakiś instrument muzyczny. Długi, przeciągły skowyt przywodził na myśl nieszczęśliwego dingo w wilczym dole. Przez szeregi pod drzewami przemknął szum metalu trącego o skórę, a potem ruszyła na nas gęsta, nieprzeliczona fala. Chwilę biegli bez słowa, z jednostajnym łomotem stóp o ziemię, ale dłużej nie wytrzymali i ryknęli. To było najgorsze, co mnie spotkało, gorsze od bombardowania artylerii przed ofensywą, kiedy dwie noce kulilem się bez snu w ziemiance, co chwila mając wrażenie, że niebo właśnie się zawało i oto spada mi na głowę.

W tym ryku pobrzmiwały spodziewany tryumf, wściekłość, duma, ale bodaj ni krztyny strachu. Chyba nadszedł stosowny czas, żeby poznali i strach.

Widzicie, enfield jest nieźle przystosowany do prowadzenia szybkiego ognia, nie raz, nie dwa z tegośmy korzystali, przepędzając natarcia Boszów, którym później zdawało się, że ich skrapiamy z karabinów maszynowych. Wystarczyło poprawić we właściwym momencie ładownicę, przykłęknąć, mniej więcej wycelować i strzelać jak na ćwiczeniach, odpowiednio szybko wsuwając w zamek następne łódki z nabojami. Karabin lubił się wprawdzie przy szybkim ogniu zacinać, dlatego dobrze było umieć strzelać, a nie tylko naciskać spust. Myśmy umieli. Ładowaliśmy więc w ten pozbawiony

jakiegokolwiek szyku tłum pocisk za pociskiem, dokładnie tak, jak nakazywały metody wypracowane do rozstrzeliwania watah rozmaitych dzikusów, wpojone przez sierżantów podczas szkolenia.

Te tutejsze dzikusy nie były inne. Padały nieledwie rzędami czy grupami, gdy pełnopłaszczowe pociski karabinów przy stale malejącej odległości przebijały ich na wylot, rażąc dwóch czy nawet trzech kolejnych. Ale ich pobratymcy bez wahania przeskakiwali ciała i prowadzeni falą ryku rwali w naszym kierunku.

Nie przekonałiśmy się, czy pozostało nam dość amunicji, bo tamci zbyt prędko do nas dobiegli. Jak byli już prawie na nas, wetknąłem karabin bagnetem w ziemię i złapałem maszynkę, co ją bacznie trzymałem na podporządku. Ciśnienia w zbiorniku niemal nie miałem, chociaż zawór odkręciłem najmocniej, jak się dało. Na moje szczęście, gdy nacisnąłem spust, na końcu dyszy najpierw zakwitły elektryczne iskry, a zaraz potem trysnęła płonąca struga, smagając czoło zbliżającej się ludzkiej ściany. Paliwa starczyło na dwie długie jasno-pomarańczowe smugi, po nich kleif stał się jedynie ciężkim kawałem żelastwa.

Efekt przeszedł jednak moje najśmielsze oczekiwania, choć coś podobnego zdarzało się już przedtem. Gdzie zawiódł grad pocisków, granatów, bomb, ostrzał ciężkiej artylerii, tam miotacz płomieni potrafił najtwardszych obrońców wykurzyć samą plotką o pojawieniu się. Widziałem, jak chłopaki z naszego regimentu zmykali ze świeżo zajętych pozycji, gdy na horyzoncie ledwie zamajaczyła fala ognia z przenośnego werfera. Bo widzicie, prawdziwy żywy ogień to piękna i niezmierna potęga, nigdy w to nie wątpiłem.

Chwilę wcześniej miałem przed sobą zwartą falę piechoty zbrojną w długie ostrza i wydawało się, że nic jej nie zatrzyma. Teraz poubierani w pancerze wojownicy jakimś cudem rozpięchli się we wszystkie strony z wyjątkiem mojej, ryczeli już nie z furją, ale ze strachem, klęli, deptali się nawzajem, odpychali, rzucali broń, wiali na oślep, gubiąc tarcze i fragmenty ekwipunku. Nie mogłem nie podziwiać ich chyżości, na grzbietach mieli w końcu ciężkie funty żelaza. Motywacji dostarczał im tuzin pechowców, których ogień dosięgnął i zaczął łapczywie pożerać. Biegali dookoła, padali na ziemię, daremnie wzywając pomocy, bo co tylko miało dwie nogi, czym prędzej opuszczało ich okolicę.

- A więc to tak - odezwał się zniecierpliwiony Sal.

- No, to tak - odpowiedziałem odruchowo, ale zaraz się poprawiłem: - Ale co i jak?

- Ty nie jesteś... nie jesteś... - urwał i zaczął się gwałtownie śmiać.

- Czym nie jestem? - syknąłem przez zęby.

- *Salamandre!* - Po prostu wił się ze śmiechu. - Nie jesteś nią!

Byłem w sumie zajęty, lecz tak mnie wkurzył, że zapomniałem o wszystkim.

- Przestań kwiczeć! Czym nie jestem? Gadaj, Sal, albo w ryja!

Uspokoił się powoli, ale nadal chichotał.

- Obserwowałem was od samego początku - wyjaśnił z ociąganiem. - Jeszcze w zamglonym lesie, jak tylko wynurzyliście się ze ścieżki. Ciekaw byłem, coście za jedni.

Coś sobie przypomniałem.

- Więc to ciebie Snowy widział wtedy w krzakach?

Wychodziło na to, żeśmy się niepotrzebnie nabijali z czarnego.

- Nieważne. - Z lekceważeniem machnął ręką. - Ważne, że zobaczyłem, jak tworzysz ogień. - Ostatnie słowo wypowiedział miękko i z namaszczeniem. - Kolor płomienia mnie zachwycił, sądziłem że jesteś Salamandre. W naszej krainie żadna się nie ostała, słyszałem zaledwie legendy i bajkowe opowieści.

Purpura wyskoczyła mi na twarz, natychmiast to poczułem.

- Chwilka, ja babą miałem być? Ja? Sal, ja ci łeb urwę!

Nie żartowałem ani trochę i chyba to poznał, bo przestał rechotać.

- To była pomyłka, Red. Spokojnie. Teraz zrozumiałem. Nie ty tworzysz ogień, ale twoje metalowe pudło.

- Nie, to ja tworzę ogień. Za pomocą miotacza, owszem. Inaczej się nie da.

Sal uśmiechnął się i po raz pierwszy było w tym sporo jawnego zadzierania nosa.

- Nie da się? To popatrz.

Odwrócił się do przeredzonych chwilowo szeregów przeciwnika, który, jak się ku mojemu zdumieniu okazało, jednak nie całkiem był w odwrocie. Grupka zgarbionych wojowników udekorowana dużą ilością metalu biegła z lewej wprost na mnie i Sala. Złapałem za enfielda, zaniepokojony tym, że tubylec bez broni rusza w ich kierunku. Wkurzył mnie, ale jednak był trochę tak jakby moim kumplem, a nie lubię, jak mi ktoś próbuje kumpla zabić.

Mogłem sobie darować, powiedzmy ucziwie. Jeszcze tamci się na dziesięć jardów nie zbliżyli, gdy Sal się nieco pochylił do przodu i westchnął głęboko, jak pływak przed nurkowaniem. A potem zionął ogniem prosto z oczu i ust.

Mówcie co chcecie, to robiło wrażenie. Jakby płomień buchał z paleniska, znacznie lepiej niż z maszynki, bo tu nie było żadnej gęstej mieszanki zapalającej, której struga ciążyłaby w dół, ograniczając zasięg. Jasno-żółty wpadający w biel płomień trysnął jak z gardzieli połykacza ognia i na chwilę otulił całe towarzystwo w pancerzach.

To było strasznie piękne, mówię wam, potwornie wspaniałe.

Tymczasem z lewej pancerni gromadzili się do kolejnego natarcia. Byli nieco za daleko, ale kto wie, co Sal trzymał w zanadrzu. Wskazałem ich.

- Jeszcze raz! - krzyknąłem. - Sal, jeszcze raz! Ale jak na niego spojrzałem, od razu zrozumiałem, że nic z tego. Klęknął bezwładnie i pochylony, podparł się rękami. Błady był jak

świeżo krochmalone prześcieradło.

- Daj mi chwilę - wysapał, ale wzrok miał zmałowany. - Zaraz do siebie dojdę.

Zanim zemdłał, złapałem go za kaptotę i podniosłem do pionu. Ocuciłem kilkoma energicznymi ciosami w papę.

- Obudź się! - krzyknąłem mu prosto w ucho. - Jak padniesz, będzie po tobie.

Gdy go puściłem, ciągle się chwiał, ale chyba do niego dotarło. Ja w każdym razie już nie miałem głowy, żeby się nim przejmować, bo rozejrzałem się uważniej. Część szarżujących na mnie nagle odplynęła na boki, mieszając się z biegnącymi po mojej prawej i lewej stronie.

Po prawej Marvin budował za pomocą lewisa zaporę z ciał i raczej był wdzięczny za podrzucenie materiału budowlanego. Za to z lewej nie wyglądało to tak różowo. Wielu dzikusów pozderzało się ze sobą i powywracało jeden o drugiego, ale reszta jakoś ominęła wszystkie przeszkody i ogarnęła strzelających do ostatka McAndrewsów, Wielkiego Billa, Lloyda i Snowy'ego. Czarny to właściwie nawet wybiegł im jak wariat naprzeciw z tym swoim nożem, żeby szybciej dopaść przeciwnika. Myślałem, że już po nich, bo ta tłuszczka opadła ich naraz ze wszystkich stron i przykryła jak spieniona fala, lecz chwilę później zobaczyłem pierwsze ciała śmigające w powietrzu. Wielki Bill stanął pośrodku jednego z tych dużych wkopanych kamieni i energiczną pracą rąk oczyścił teren wokół siebie, tak jak to zwykle robił w knajpie. Pozostali skupili się wokół niego, desperacko parując karabinami padające ciosy. Źle z nimi było.

- Marvin! Mick! - krzyknąłem za siebie, chwytając swojego enfielda.

Marvin właśnie przestał strzelać. Stał, spowity smugami dymu palącej się lufy lewisa i podziwiał swoje piekielne dzieło - hałdę ciał wysoką na pięć stóp. Przeciwnicy przed nim nie wytrzymali nerwowo i wiali pod zbawczą osłonę drzew, byle dalej od człowieka, któremu nawet Śmierć pozazdrościłaby tego, co trzyma w dłoniach. Sam bohater był zresztą do niej podobny, blady, z wytrzeszczonymi oczami, i wyglądał jakby zamierzał powtórzyć ten sam występ co na polanie pustelnika.

Mick stał nieopodal i radził sobie na własną rękę. Strzelając, ile wlezie, dźgając bagnetem i waląc kolbą, załatwił kolejne pół tuzina przeciwników i dwa razy tyłu skłonił do ucieczki. Gdy zawołałem, obaj w mig zorientowali się w sytuacji. Doskoczyli do mnie i razem we czwórkę runęliśmy do swoich.

Przebić się nie stanowiło problemu, dziadek starego McElroya by sobie poradził. Problem pojawił się dopiero później - mianowicie, co robić dalej? Wrogów było tak wielu, że wzajemnie sobie przeszkadzali i chociaż lepiej ich uzbrojono i wyszkolono do starcia wręcz, tępiiliśmy ich bez wysiłku, stojąc twardo w kółeczku. Jeden krok w tył oznaczałby śmierć nas wszystkich.

Na szczęście tamci zbyt się wściekli, by odstąpić i wypróbować na nas łuki, proce czy czym

tam tutejsze dzikusy polowały, żeby mieć co nad ogniskiem upiec. Rozumiałem jednak, że tkwiąc tak pośrodku tej tłuszczy, osuwamy się powoli w kompost. Na przewagę liczebną trudno coś poradzić, wiedzieliśmy o tym świetnie, bo samiśmy stosowali tę metodę przy wypadach do knajp na obcym terenie.

Nie minęło wiele czasu, a pot zalał nam oczy. Każda rzeźnia, nieważne jak bezproblemowa, gdy trwa zbyt długo, zaczyna obfitować w trudności, wszyscyśmy się nie raz o tym przekonali. Sam pamiętam, jak przyszło nam kiedyś sprawić tuzin cielaków na wesele Wielkiego Billa. Wesele się naturalnie w końcu nie odbyło, ale ostatniego cielaka musieliśmy trzymać we trzech, żeby wszystko poszło jak trzeba. Ci tutaj w żelazie okazali się znacznie trudniejsi do sprawienia, zwłaszcza że ich początkowy entuzjizm jakoś się ulotnił i nacierali ostrożniej. Nie było rady, musieliśmy ustępować, choć łatwiej to powiedzieć niż zrobić. Od frontu Bill, Lloyd i Mick trzymali wspólnie szyk zupełnie jak w domu, gdy tymczasem na tyłach ja, McAndrewsowie i Marvin odpychaliśmy zbity tłum jakichś zielonych kurdupli, którym wydawało się, że są w stanie zagrozić nam drogę. Snowy'ego zasadniczo nie było widać, ale na skrzydłach naszej kompanii niekiedy robiło się dziwnie pustawo, wiedziałem więc, że się nie leni.

Swoją broń dawnośmy postradali, bo cokolwiek by mówić, pancerni dobrze się bili i łoża enfieldów szybko połamały się od parowania ciosów. Jedno ostrze przecięło Marvinowi lewisa równiutko na pół, jakby to był wiecheć słomy. Na szczęście mieliśmy z czego dobierać, bo nam przeciwnicy naznosili własnego oporządzenia. Teraz zamiast bagnetu na kiju trzymałem w ręku porządne toporzysko o lśniącym ostrzu, na którym ktoś coś wygrawerował, jak u nas wędrowni handlarz cenę. Kurczak znalazł jakąś prostą szablę, lecz zaraz ją wyrzucił i zaczął szukać innej, bo Myszak miał dłuższą. Marvin, Sal i inni też sobie coś skombinowali, ale machali tak zawzięcie, że nie widziałem dokładnie, co to było.

Tylko Lloyd się wyróżniał, jak zwykle. Stał na podwyższeniu z ciał i zataczał szerokie kręgi dwuręcznym metalowym czymś, a ciżba przed nim kładła się jak pszenica pod kosą starego McElroya.

Uszliśmy tak jakieś dziesięć jardów. Tamci musieli zrozumieć, że nas nie zatrzymają, bo wezwali jeszcze kogoś na pomoc. Znienacka pojawiła się duża grupa dryblasów całych na czarno, a tak szczelnie okutanych w metal, że po prostu nic a nic ich nie widziałem. To już nie były żarty, bo chłopiska wyglądały na wielkie, widać, że nie na korzonkach wypasione.

Wszyscy ci mniejsi z chęcią się rozstąpili, robiąc miejsce przybyłym. Ci, nim zabrali się do rzeczy, stanęli ramię w ramię, salutując nam ostrzami swoich szabel, ale skoro na nas spadli, to aż się Bill, Lloyd i Mick ugięli. Nasi nowi przeciwnicy nie robili żadnych takich tanecznych sztuk, co je nam raz dwaj wachmistrze w Egipcie pokazywali, gdy już się tego napili; żadnych tam skoków, susów, zwrotów czy innych zręczności, nic z tego. Zwyczajne młócenie jak po żniwach albo kiedy

nasz kowal z miasteczka na chleb zarabia, a tłucze wtedy z zamachu tak długo, aż się materiał zmęczy.

Chłopcy ze Speewah są z tych, co się łatwo nie męczą, ale nawet dla nich nie było to już przyjacielskie jeden na jednego za knajpą i do pierwszej krwi.

Kiedy załatwiliśmy czwarty kolejny szereg tych na czarno, teraz jednak nie czekając, aż zakończą pełen namaszczenia salut bronią, Lloyd ni stąd, ni zowąd krzyknął:

- Idźcie! Ja ich zatrzymam.

Może i słyszeliśmy, co powiedział, ale nie słuchaliśmy. Po prostu nie wiedział, co mówi. Chyba że chciał, żeby w domu w knajpie ludzie nas sobie palcami pokazywali, szepcząc: „O, to ci, co zostawili Dana Lloyda i uciekli”. A nie był aż tak mściwy, żeby chcieć nam coś takiego zrobić.

- Powiadam, wynocha! - warknął ponownie, gdy załatwił następnego przeciwnika. - McAndrewsowie, marsz mi stąd! Tak jak obiecałem waszej matce, dopilnuję, żebyście wrócili w jednym kawału.

- Ty to masz jaja, Dan! - zawołał z podziwem Przygięty Mick.

Nie przestawał jednak rąbać i wyraźnie nigdzie się nie wybierał. Zupełnie jak Kurczak i Myszak.

- Nie wkurzaj mnie, Mick, nie tym razem - wysapał Lloyd. Strużki potu od dawna płynęły mu po skroniach. - Dobrze radzę, słuchajcie, co mówię. Bo jak się jeszcze trochę wnerwię, dam radę tym, co tu się do mnie pchają, a wam dołożę w przerwach. Brać mi tu zaraz McAndrewsów. Bill jednego, Red drugiego.

W milczeniu zwawo rąbaliśmy.

- Won mi stąd! - wrzasnął Lloyd tak, aż ci na czarno cofnęli się o krok.

Rezon w nich oklapł, ani chybi tak samo, jak w nas. Wielki Bill złapał Myszaka za łeb, omijając ostrze, którym starszy z braci desperacko próbował go dziabnąć. Ja Kurczaka też już miałem. W tym chwycie, którym zwykle wyduszałem z krokodyla pożartego cielaka. Szczerze wam tu przyznam, z krokodylem szło łatwiej.

- To się Nedowi udało - perorował Lloyd, nie patrząc na nas. - Wyrolować takiego szczeniaka jak ja. W ostatniej chwili. Jeden strzał w nogę i dalej z nami nie jedziesz, chłopcze. - Skoczył nagle i ciał zamasyście, gruntownie oczyszczając sobie przedpole. - Gdybym był wtedy z nimi, dałbym radę im pomóc. Uratować. Ocalić. Tak jak teraz dam.

Odwrócił się na moment i smagnął nas wszystkich wzrokiem, z lekka półprzytomnym, jakby mnie kto pytał.

- Wtedy oni zostawili mnie. Teraz ja zostawiam was. Idźcie!

Jakby się wszystko na chwilę zatrzymało.

- Idźcie!

I tak się stało, żeśmy Dana Lloyd'a zostawili samego. Stał otoczony stosami powalonych przeciwników i rąbał wokoło tak zajadle, jak nigdy wcześniej w żadnej bójce, nawet z O'Halleyami.

Efekt osiągnął, bo większość przeciwników wzięła na ambicję, żeby go powalić, a my w tym czasie spokojnie przez przerzedzone szeregi parliśmy tam, skądśmy przyleźli. Tym szybciej nam poszło, że po paru krokach Kurczak mi się wyrwał, a Bill z własnej woli odpuścił Myszakowi. Bałem się, że McAndrewsowie zrobią coś głupiego, czyli rzucą się ratować Lloyd'a, ale dali dowód w pełni zdrowego rozsądku, ruszając z wrzaskiem do przodu na przeciwników zagrażających nam drogę ucieczki.

Powodzenie jednak nie trwało długo, bo znów nas osaczyli i naporli jak jeszcze nigdy wcześniej. Ostrza i ciosy dookoła, nic z tego nie pamiętam i nie wiem, jakeśmy przetrwali na tyle długo, by usłyszeć przerażający i zbawienny wrzask.

- Tarasque! - zawyły tłumy wojowników i jak na zawołanie olbrzymi cień przykrył połacie polany.

Zdążyłem spojrzeć w górę i aż mi serce stanęło, bo to w istocie był on. Wielki, czerwono-złoty kształt, rozmazany na tle zachodzącego słońca, opadał zdawałoby się prosto na nas. Wyhamował jak ptak nad ziemią, kilkoma ruchami olbrzymich skrzydeł, ich podmuchy wyrzucały zakuty w żelazo wojowników w powietrze, a całe polacie położyły pokotem. Smok przysiadł z gracją obok rozwalonego przez Micka stosu złota i ryknął potężnie, z przemożną, niską nutą, którą poczułem aż w żołądku. Na moment zapadła zupełna cisza.

- E, to nasze złoto - przerwał ją rzeczowo Mick.

Wtedy pancerni się ocknęli. Jeśli ryk smoka ich zdeprymował, to szybko się pozbierali, bo wrzasnęli nieledwie tak samo głośno. Potem zaczęli się rozpraszać w kordony rzadkiej tyraliery i osaczać stwora ze wszystkich stron.

- Tak jest, dobrzy ludzie - dorzucił Mick z rosnącym entuzjazmem. - Załatwić go!

W odpowiedzi stojący opodal brodaty drab z toporem nieomal rozplątał Przygiętemu głowę i nasza sytuacja zasadniczo się nie zmieniła, z tym że teraz mogliśmy jeszcze dostać co nieco od smoka, o ile nas zapamiętał. Sal, dotąd robiący obok mnie jakimś ostrzem, na widok gada jakby się nieco wycofał. Też bym się pewnie bardziej przejął, ale nie dano mi czasu. Gdy tak sobie rąbałem, pograżając się w coraz to mniej wesołych myślach, nagle zza mnie wynurzył się Snowy.

- Iść teraz. Iść.

Nie wiem, czego mnie się czepił. Ani nie byłem po Lloydzie najrozumniejszy czy największy, ani też za nim specjalnie nie przepadałem. Ale widać miałem najmniej do roboty, bo walczyłem po prawej Wielkiego Billa, który machał żelastwem w moją stronę z nieudawanym zaangażowaniem i

zostawiał mi mniej zajęcia.

- Czego chcesz?! - krzyknąłem, żeby mnie czarny w tym zgiełku bitwy dobrze zrozumiał.
- Z tego kamienia iść do domu. Iść teraz.

Spojrzałem pod nogi i faktycznie, Snowy stał na jednym z wkopanych kamieni. Zdawało mi się, że bije z nich lekka księżycowa poświata, ale może po prostu w zamęcie dostałem w łeb. Nic poza tym nie rozumiałem, nie sądziłem jednak, aby „iść do domu” znaczyło coś innego dla dzikusa i dla mnie.

- No to idziemy - zgodziłem się skwapliwie. - Prowadź.

- Jak my iść teraz, oni iść za nami.

Do dzisiaj nie wiem, dlaczego sądził, że to ma jakieś znaczenie.

- Teraz albo nigdy - odciąłem się słownie i nie tylko. Skinął głową.

- Panowie, Snowy prowadzi nas do domu! - krzyknąłem do pozostałych. - Ja idę za nim, wy za mną.

Nie odpowiedzieli, ale lepiej dla nich, żeby usłyszeli.

Wtedy Snowy odwrócił się i poszedł prosto, jak mi się wydawało, ku plecom Marvina siekącego żelastwem wszystko, co miał przed sobą. Machinalnie zrobiłem kilka kroków za nim...

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY



Pocisk odłamkowy trzasnął naprawdę niedaleko, a ziemia, która jeszcze przed chwilą wydawała się pewna i niewzruszona, trysnęła wokół kaskadami ciężkich grud, zupełnie jakbyśmy się zniemacka dostali do wnętrza olbrzymiej, błotnistej fontanny. Coś zawyło mi koło ucha, najpierw szrapnele, a później już normalnie - ogień maszynowy, moździerze, suche pojedyncze strzały z enfieldów i mauserów, jednocześnie ze wszystkich stron, jakbym zniemacka wpadł do balii z

tymi odgłosami. Nawet nie wiem, kiedy znalazłem się na ziemi: stare dobre przyzwyczajenia jednak się człowieka trzymają. Jeszcze porządnie nie leżałem, a coś ścięło przebiegającą obok postać. Poszarpany trup w feldgrau runął niemal prosto na mnie, podtaczając mi pod nos zerwany stahlhelm z sadzonkami rogów, jakie Bosze nosili na łbie. A zaraz potem do kolegi dołączył kolejny trup.

Nic to dla mnie nowego i wystraszyłem się dopiero wtedy, gdy niespodziewanie obok mnie pojawili się Mick, Myszak i pozostali. Rozejrzałem się nerwowo, ale byli sami, bez zakutego w pancerze towarzystwa. Następnie poświęciłem chwilę, żeby ogarnąć okolicę i zrozumieć, co tu się, do cholery, działo.

Szeregi Boszów, całe mrowie ich, chociaż, zważywszy na moje ostatnie doświadczenia, nie jakoś przerażająco liczne, gnały przed siebie, prowadząc natarcie z naszej prawej na okopy po naszej lewej. Kimkolwiek byli ci, co w nich siedzieli, strzelali jak diabły. Mieli najwyżej dwa vickersy na improwizowanych stanowiskach, a żęli Jerrych jak doborowy pułk w świetnie przygotowanej reducie. Przez miejsce, gdzie przycupnęliśmy, przebiegała następna grupa Boszów, ale byli tak otumanieni łupaniem artylerii i ogniem od czoła, że nie zwrócili na nas uwagi.

Wskazałem reszcie w lewo, że tam są nasi, a potem gestem rozkazałem się rozproszyć. Póki trwało natarcie, nie dało się podejść do własnych okopów, bo kto by się tam specjalnie rwał do zastrzelenia przez swoich. Warto było najpierw zaczekać do zmroku. Ale powiem wam szczerze, sytuacja nie wyglądała zachęcająco. Nasi strzelali, jakby się wściekli, ale Boszów była po prostu masa, całkiem jak owiec pędzonych na doroczne strzyżenie. Bez ciężkiej artylerii, która z niewiadomych przyczyn milczała, to armatnie mięso zwyczajnie zdepta naszych.

Znienacka napatoczył się jakiś gruby podoficer Boszów i zaczął na nas wrzeszczeć, wymachując pistoletem. W zamieszaniu wziął nas widać za dekowników i dopiero Mick wyprowadził go z błędu, gdy strzelił mu ze zdobycznego mausera prosto w łeb. Na szczęście przy młócącej artylerii nikt tego nie zauważył.

A chwilę później sprawy się jeszcze bardziej skomplikowały, bo stało się dokładnie to, co zapowiedział Snowy - za nami, w środku pasa ziemi niczyjej pojawiła się cała polana, wypełniona tłumem wkurzonych pancernych i jednym smokiem. Przez moment walczący stali się zupełnie niewyraźni. Jak horyzont, gdy go człowiek próbuje obserwować przez dno pustej butelki piwa. Jak nałożone na siebie krajobrazy - ziemia niczyja z mrowiem Boszów, gęste watahy pancernych i górujący nad nimi rozwścieczony Tarasque, wszystko jednocześnie.

Wspominałem już, że wcześniej panował chaos i zamieszanie? No to wyobraźcie sobie, co się stało potem. Raz byłem w takim młynie, jeszcze jako szczeniak, jak mnie Wuj Chuck zabrał w sąsiednim hrabstwie na wielką ucztę po zakończeniu zbiorów. Mieli tam sporo Szkotów i zamiast swojskich O'Halleyów, klan, co się nazywał MacLaren. Na czas święta właśnie zawiesili na kołku.

Kiedyśmy tam sobie z Wujem Chuckiem i jego Argyllami oraz MacLarenami biesiadowali w spokoju, ciesząc się, że jest co jeść i wypić, zniemacka zjawili się w dużej liczbie Campbellowie. To, co potem nastąpiło, wyglądało, jakby wlać do gliceryny mieszaninę nitrującą, wymieszać, po czym energicznie potrząsnąć.

U nas też w jednej chwili wszystko się przemieszało i wszyscy zaczęli walczyć ze wszystkimi. Bosze na przodzie zaroili się w naszych okopach, tłuszczą pancernych ni stąd, ni zowąd znalazła się między Boszami i zaczęła ich natychmiast wyrzynać. Smok ryczał jak potępieniec, zagłuszając wybuchy niespecjalnie nasilonego deszczu pocisków. Ział z paszczy ogniem zupełnie jak Sal, rwał pazurami i kosił ogonem, cokolwiek się zbliżyło do niego i do stosu złota, na którym siedział.

Człowiek nigdy nie jest przygotowany na moment, gdy otwiera się przed nim tyle nowych możliwości - wiać do swoich okopów i dać się zastrzelić, wyleźć przed oczy Jerry'emu i dać się zastrzelić, napatoczyć się na dzikusów z najeżonymi ostrzami i dać się zarżnąć albo na koniec wpaść smokowi przed pysk, żeby podpalił, gdy ze wszystkiego innego jakoś się uda wywinąć. Siedząc jak trusia w kącie knajpy i słuchając, jak ranczerzy sobie opowiadają podobne historie, zawsze marzyłem, żeby coś takiego przeżyć i potem snuć nad kuflem do zasłuchanych ludzi.

No właśnie, przeżyć...

- Na co my właściwie czekamy?! - wrzasnął Myszak wystarczająco głośno, żebyśmy zrozumieli. - Na co czekamy?

- Właśnie! - dołączył się Kurczak. - Jeszcze chwilę tu poleżymy i załatwimy nas na bank.

- Buzia w ciup, dzieciaki! - Mick próbował ich zmiękczyć. - Dostyc pchania się w kłopoty! Leżeć!

Poczułem przemożną chęć, żeby przynajmniej jednemu przyłożyć kolbą. Za późno. Obaj młodzieńcy popatrzyli na siebie.

- Na razie, leszcze - odezwali się jednocześnie, poderwali się na równe nogi i pobiegli w stronę naszych okopów.

Wyszarpnąłem mausera z rąk trupa obok mnie, ale zanim zdołałem przeładować i złożyć się do strzału, zniknęli mi z oczu.

- Zabiję! - wydarł się Mick i skoczył jak sprężyna za nimi.

Zdaje się, wyobraził sobie to samo, co ja. Oto siedzi na sofie z filiżanką herbaty w dłoni, ogolony i w świeżej koszuli, a mamusia McAndrews patrzy na niego i cierpliwie pyta jakoś tak:

- Dobrze, Mick, chłopcy pobiegli jak wariaci prosto na śmierć, rozumiem, a ty, mówisz, byłeś wtedy gdzie?

Nawet nie wiem, kiedy znalazłem się na nogach i biegłem. Snowy wystartował łeb w łeb ze

mną, Wielki Bill został nieco z tyłu, ale niewiele. Marvin i Sal nie musieli się wcale ruszać ze swoich kryjówek, lecz rozwój wydarzeń dał im do myślenia. I najwyraźniej zdecydowali, że wolą zginąć ze swoimi niż czekać samotnie, co przyniesie los.

Oba szczeniaki osiągnęły już ze sto jardów przewagi, a w dodatku między nimi i nami biegło sobie sporo Boszów, których musieliśmy załatwić, zanim uda się nam sprawić manto tym, co na nie najbardziej zasłużyli. Gnali jak wiatr, bo wszyscy McAndrewsowie mają długie nogi i nie miałem szans dogonić ich przed okopami.

Ostatnie, co dane mi było zobaczyć, to jak jeden za drugim wskoczyli do okopów, jeden nadal strzelał, drugi, z bagnetem w zębach, wywijał mauserem jak maczugą. Wielki Bill zawył z rozpaczą, aż się Bosze przed nami zaczęli obracać, a niektórzy wręcz zatrzymali.

Ależ w tym momencie nienawidziłem wszystkiego i wszystkich.

Nie wiem, kiedyśmy wystrzelali i wyrznęli tych nieszczęśników w zasięgu wzroku. Marvin zadzgał dwóch wlekących wielkie, ciężkie 08/15, które służyło im za erkaem, i zaczął robić, co umiał najlepiej. Krótkimi seriami zwał sylwetki w feldgrau, kłębiące się po prawej i lewej nad krawędziami okopów.

Bill wpadł do pierwszego okopu i rozpoczął czyszczenie ręcznie, tak efektownie, że niemal natychmiast pierwsi Huni dobrowolnie zaczęli wyłazić na powierzchnię i porzucając oporządzenie, wiali do siebie. Mick wskoczył w to samo miejsce co Kurczak i wkrótce ujrzałem, jak sieje stamtąd granatami, szybciej niż moździerz i celniej - pewnie bardziej niż kiedykolwiek żałował, że go nie wzięli do artylerii.

Snowy w ogóle zniknął mi z oczu, a jeżeli czuł się choć trochę tak jak ja, to powinno mi być żal tych wszystkich Boszów, co mu staną na drodze.

Przeskoczyłem dalej, przez okop i zmieloną ziemię do drugiej linii, a potem do trzeciej. Wszędzie wrzała walka. Jerrych było jak mrówek i niemal zdusili już naszych. Z prawej zobaczyłem ich większe skupisko, tłoczyli się przy skrzyżowaniu, rzucali granaty i strzelali. Zabrałem się do nich i ponownie początek był łatwy, bo zaaferowani walką, długo się nie zorientowali, że ktoś strzela im w plecy. Później wpadłem na nich osobiście, robiąc użytek z kolby i bagnetu. Jakoś szło, ale za którymś kolejnym ciosem łożo mojego mausera pękło i nagle stanąłem wśród Boszów ze śmiesznym złomkiem w rękach.

Natychmiast zebrałem na twarz. Ścięło mnie na płasko i jucha poszła z nosa, a przed oczami zobaczyłem gasnące czerwone kręgi. Naskoczył na mnie wielki Jerry i zamachnął się do ostatecznego uderzenia.

- *Verfluchte...* - zaczął.

Nie wiedziałem, że Sal pobiegł za mną. Nigdy nie wyglądał mi na chojraka i gdyby mnie ktoś zapytał, założyłbym się o pieniądze, że został z tyłu, wciśnięty w jakąś dziurę na ziemi niczyjej. Ale

gdyby się tak stało, nie miałby wam kto opowiedzieć tej historii.

Ogień poszedł prosto nade mną, nie żółty tym razem, ale biały. Smagnął Boszów i, przysięgam, po prostu ich spopielił jak postacie wycięte z bibuły. Rozległy się wrzaski, ze wszystkich stron, potępieńcze i pełne przerażenia. Mick potem gadał, że płomień omiatał całą okolicę, smażąc, piekąc i parząc Jerrych na poziomie ziemi i w tych częściach okopów, które udało im się opanować. Raz po raz wybuchała amunicja, ta w ładownicach, ale i skrzynie granatów pochowane w ścianach okopów, miny mózdzierzowe na stanowiskach, taśmy do karabinów maszynowych. Po prostu masakra.

Długo to nie trwało, ale gdy się skończyło, Bosze gromadnie wyskakiwali z okopów i wiali do siebie, prosto przez ziemię niczyją, gdzie watahy pancernych walczyły ze smokiem i nadchodzącymi do drugiego uderzenia odwodami Hunów. Tego popołudnia piekło spadło na drugie miejsce listy miejsc najokropniejszych i pogrążonych w najbardziej chaotycznej makabrze.

A zanosilo się, że będzie jeszcze gorzej, bo smok zaczął jakby puchnąć w oczach. Jego złocona skóra gdzieniegdzie szzerwieniała i cała gadzina się nadeła, zyskując dobre pięć jardów wzrostu. Coraz szybciej zamiatał wokół ogonem, wyrzucając w powietrze mielonkę z mięsa, blachy i feldgrau. Zaryczał potężnie, aż na moment zupełnie zagłuszył rąbiącą - rzadko, ale jednak - artylerię.

Krew mi jeszcze szła z nosa i niespecjalnie się zebrałem do kupy, ale jak spojrzałem w jego kierunku, w te zimne oczy, zmroziło mnie do szczytu. Sala po tym ostatnim wyczynie nigdzie nie było widać. Miałem nadzieję, że wysiłek go nie zabił.

Wtedy obok mnie pojawiły się szczeniaki, ich buty łomotały w szybkim biegu o dechy na dnie okopu. Kurczak trzymał się za głowę, próbując zatamować ciekącą krew, a Myszak ciągnął go za rękę byle szybciej i darł się przy tym niemiłosiernie:

- Przebieraj, młody! To już tu, jeszcze kilka kroków!

Zaferowani wcale mnie nie zauważyli i skręcili w okop łącznikowy w odległości kilku jardów dalej. Z miejsca się ucieszyłem, że sam ich będę mógł zamordować, zanim mnie Bosze albo ta gadzina wyręczą, więc zaraz ruszyłem za nimi. Ale nie było potrzeby się spieszyć, bo zastałem ich niedaleko, na stanowisku okopowego mózdzierza.

To było sześciocalowe cudeńko Newtona, zupełnie nowe. Chyba sobie nie postrzelało, bo obsada leżała wykoszona szrapnelami. Pechowcy. W lufie nadal tkwiła załadowana czerwona bania pocisku z wymalowanym białym pasem. Myszak i Kurczak już przy niej stali, oglądali płytę oporową i prostackie - nawet na oko kogoś wychowanego na farmie - pokręta do zmiany nastawy.

- Mam was! - chciałem wrzasnąć, ale tylko wykrztusiłem to słabo. - Jak wam nie wstyd! Wszystko matce powiem.

Jakoś nie bardzo zwracali na mnie uwagę. Kurczak podskoczył do krawędzi okopu i wyjrzał na ziemię niczyją.

- Później, skarżypyto - odciął się sucho, a jego brat zaczął manipulować pokrętłami, zupełnie jakby wiedział, co robi. - Myszak, w prawo dwadzieścia pięć stopni. Siedemset jardów, może siedemset pięćdziesiąt.

Myszak stłumił przekleństwo.

- To będzie diabelska robota, trafić z tego w tamto.

- Gadać mi zaraz, co robicie! - wrzasnąłem, a ręce mi po prostu chodziły jak obdarzone własną wolą.

Dobrze, że nie miałem karabinu, bo jak nic kogoś bym postrzelił.

- Zabijamy smoka - wyjaśnił Myszak, nie przestając kręcić przy moździerzu.

Zamrugąłem.

- Ale dlaczego? Przecież robi tam dobrą robotę.

- A pamiętasz, co pustelnik mówił o smoku?

- On mówił bardzo dużo. O wielu różnych rzeczach. Jak miałbym wszystko spamiętać?

Kurczak sarknął, ale się nie odwracał i nie odrywał wzroku od ziemi niczyjej.

- Smok po tej stronie może poszerzyć ścieżki. Otworzyć je na zawsze i sprawić, że całe królestwo znajdzie się tutaj z powrotem.

- Nie widzę, no nie widzę po prostu, w którym miejscu to mój problem.

- Ta wojna ci jednak zaszkodziła. - Myszak, choć zajęty, zdołał się nawet zdziwić. - Gdybyś w domu na farmie bywał taki tępy, toby cię tatko pejczem na pustynię przegnał. On nie znosi przygłupich darmozjadów.

No, że też nie miałem tego karabinu!

- Kto niby jest przygłupi? Kto niby jest darmozjadem?!

Kurczak spojrzał na mnie.

- Po drugiej stronie ścieżek czeka Auberon i reszta jego armii, wrychutowanej na smoka.

Naprawdę chcesz, żeby pognali w te pędy i wpadli do nas z wizytą?

Wcale nie byłem przygłupi. Zaraz znalazłem się przy podstawie newtona, pomagając Myszakowi zmieniać nastawy. To było zupełnie wariackie, nie miałem pojęcia, jak wycelować z tego w cokolwiek mniejszego niż stodoła. Na szczęście Tarasque w tym aspekcie nie robił trudności. Kurczak nagle dał znak, żeby przestać kręcić.

- Już - oznajmił.

- Już? - Myszak zmarszczył brwi. Podbiegł i wyjrzał z okopu. - A w życiu. Jeszcze dziesięć obrotów.

- Wiesz, gdzie cię zaprowadzi twoje dziesięć obrotów?

- Do celu, młody.

- Do którego? Nie zapytałem, w co ty celujesz? We Francję?

- Powiedziałaś dwadzieścia pięć stopni, siedemset jardów.

- Siedemset pięćdziesiąt! Tak jest dobrze!

- Jeszcze dziesięć obrotów! Starszy brat ci to mówi.

- Nie słyszę na to ucho.

Atmosfera zaczęła się na poważnie rozgrzewać i wyglądało na to, że skończy się jak zwykle. Byłem sam, więc próba przerwania kłótni skończyłaby się tak, że zanim wzięliby się za łby, dostałbym zgodnie od obu. Wychodziło, sam że muszę podjąć decyzję, co w sumie było raczej przygnębiające.

Zanim się jednak ostatecznie załamałem, zauważyłem coś. To samo wrażenie, które miałem wcześniej, ta skaza widzenia, co mnie nią gadający nietoperz pobłogosławił. Klęcząc przy newtonie, nie widziałem niczego, bo okop dla mózdzierza zwykle jest naprawdę głęboki - ale miałem silne wrażenie, że wiem, gdzie jest Tarasque. Zupełnie jakby smok świecił przez przeszkody niezwykle srebrzystą aurą.

Kiedyś w młodości bawiliśmy się sami z dala od farmy i Snowy przyniósł takie dziwne grzybki, które znalazł w jakimś niedostępnym miejscu. Namówił nas do spróbowania i o ile dobrze pamiętam, efekt był dość podobny - cały świat wydawał się skąpany w ciepłej gęstej poświacie, która sprawiała, że wszystko stawało się możliwe. Całe popołudnie śmialiśmy się do siebie i cieszyliśmy jak wariaci, a potem postanowiliśmy wrócić do domu. Nim doszliśmy, napatoczył się stary McElroy w bryczce i tak sobie nagle zdecydowaliśmy, że zrobimy z nim to, co zawsze się złośliwemu staruchowi należało.

No i wtedy na jaw wyszło najgorsze - jak nam się zdawało, że wszystko jest możliwe, to właśnie nam się tylko zdawało.

Tutaj było podobnie, tyle że Tarasque'a widziałem wyraźnie, chociaż nie wprost. Nerwowo podkręciłem jeszcze nastawę, tyle obrotów, ile wydawało mi się właściwe. Potem odsunąłem się nieco i pociągnąłem sznur spustowy.

Huk wystrzału natychmiast przerwał kłótnię McAndrewsów. Spojrzeli na mnie z mieszaniną przerażenia i wściekłości, ale szybko im przeszło i zaczęli śledzić tor lotu wystrzelonej miny. Wysoko szła, bardzo wydłużoną trajektorią, bo cel był na granicy zasięgu. Dopadłem do skraju okopu i też zdążyłem wyrzucić, zanim spadła.

Trafiła Tarasque'a idealnie w kark i zdjęła z gadziej szyi głowę razem z uwalanymi cudzą krwią rogami. Oczywiście nie wybuchła, jak się tym cholernym kulistym pociskom często zdarzało. Na szczęście nie trzeba było nic więcej. Szyja gada natychmiast opadła, a jego kadłub wykonał kilka

nieskoordynowanych ruchów kończynami i przeszedł do gasnących drgawek, do ostatka trzebiąc atakujących go ze wszystkich stron ludzi w pancerzach i feldgrau.

Że niby smoka nie można zabić, tak?

Nie wiem tylko, czy warto było się tak denerwować i naprężyć, bo wtedy właśnie nasza artyleria obudziła się na dobre. Na kontynencie w armii funkcjonowało takie powiedzenie, że im ważniejsze wieści, z tym dostojniejszą prędkością się rozchodziły. O zbyt luźnym opinaczu dowódca kompanii zwykle wie po dwóch-trzech kwadransach, podczas gdy fakt rozpoczęcia przez Boszów nowej ofensywy dociera do świadomości szczebla decyzyjnego po dwóch-trzech dniach. A prośby o wsparcie artylerii bywały, niestety, tymi najbardziej dostojnymi. Pół biedy, gdy nawała pojawiała się po prostu za późno, gdy pozycja była dawno stracona, a my w okopach milę z tyłu. Gorzej, gdy nasi otwierali ogień z ciężkich dział, kiedy właśnie zwycięskim kontratakiem odbiliśmy pozycję i szliśmy przez ziemię niczyją dać wycisk Hunom.

Teraz artylerzyści przysnęli tylko trochę, raptem kwadrans czy dwa, a więc przez czas, w jakim Bosze potrafili wyróżnić cały batalion. Opóźnienie postanowili nadrobić jednak gorliwością, i to, co się zaczęło jak typowy ostrzał przeciwszturmowy, prędko zmieniło się w regularną nawałę, a potem wściekle mielenie terenu. Strzelali tak sobie, nieco za krótko, skoro jednak nasze stany były przerzedzone, mniej mogli nam zaszkodzić. Inaczej rzecz się miała z kłębowiskiem na ziemi niczyjej. Pociski padały tam bardzo gęsto, po kilka czy kilkanaście naraz. Nim zanurkowałem na dno okopu, zerknąłem jeszcze tęsknie na stos złota, który ścierwo smoka częściowo przykrywało. Nadal kłębili się tam walczący, wyraźnie zdezorientowani, co się właściwie wokół dzieje. Ale szybko musieli zrozumieć, gdy pocisk z haubicy trzasnął prosto w stertę sztabek, a zaraz po nim spadło pięć kolejnych.

Wszystko, co tam było, dostało się pod bodaj najostrzejszy ogień w tej akuratnej kampanii. Na długo zrobiło się mrocznie i mgliście od pyłu wyrzucanego w powietrze setkami eksplozji. Wyglądało to tak, jakby nad całym polem bitwy ktoś zaciągał kurtynę wybuchów i niebotycznego łośkotu.

Po co najmniej dwóch godzinach takiego tępego łupania, gdy sądziłem, że lada moment pękną mi bębniaki, kanonada wyraźnie osłabła. Ostrożnie się poruszyłem, zsypując z munduru kilka dobrych centymetrów ziemi, jaka mnie zdążyła pokryć. Gdy wyjrzałem na przedpole, zupełnie nie poznałem krajobrazu. Bosze, pancerni i smok całkiem zniknęli, a ja, chociaż intensywnie wypatrywałem, nie byłem w stanie dostrzec po nich najmniejszego śladu.

Zebrałem się jakoś, chociaż osiągnąłem już stan, w którym człowiek ma dość wszystkiego. Pomogłem wstać Myszakowi i razem odkopaliśmy Kurczaka, którego do pasa przysypała ziemia. Nie odzywaliśmy się do siebie ani słowem, bo uszy nadal nas bolały od kanonady.

Kiedy zwlekliśmy się noga za nogą z powrotem do trzeciej linii okopów, znienacka z boku

zaskoczył nas głos.

- Patrzcie, oni chodzą. Jeszcze im widać mało - odezwał się ktoś z boku.

Nie słyszałem jeszcze dobrze, ale głos brzmiał znajomo. Spojrzałem i kamień spadł mi z serca. Pokotem na dnie okopu siedzieli wszyscy pozostali. Wielki Bill wyglądał, jakby go ktoś pobił, Mick miał łupki na zakrwawionej nodze, a Marvin chyba schudł dobre parę kilo. Tylko Snowy stał nad nimi, przygarbiony i milczący, a ręce miał po łokcie umazane we krwi. Nie wyglądała na jego własną.

- Wybieracie się do Boszów z rewizytą? - odezwał się kpiąco Mick. - Nie macie sumienia. Oni tego nie zniosą. Zupełnie jak my.

- Szliśmy właśnie na drugą stronę was szukać.

- My właśnie szukaliśmy was - dodał Wielki Bill.

- I was! - warknął Mick do wymiętoszonych Mc Andrewsów. - Jakbym was musiał szukać i w końcu znalazł, tobym zastrzelił. Czy wiecie, co by powiedziała wasza...

Myszak uśmiechnął się bezczelnie.

- Też się cieszymy, że żyjesz.

Mick machnął ręką i pobluznił sobie pod nosem.

- Blisko było, co? - odezwał się Marvin. - Nasz nowy przyjaciel w ostatniej chwili uratował sytuację.

- Sal? Gdzie on jest?

Jak na zawołanie pojedyncza szczupła postać wynurzyła się zza naszych pleców. To był Salamander, blady, ale jakiś odmieniony - i wcale nie tylko przez mundur z naszego batalionu. Wydawał się zadowolony i o wiele bardziej pewny siebie niż kiedykolwiek wcześniej. W ręce miał złomek drzewca, z którego zwisał sztandar pułku, nieco przybrudzony, ale nadal w jednym kawałku.

- Sal - wyszczerzyłem do niego zęby - to ty mnie uratowałeś? Jak mnie ten dryblas chciał zatłuc kolbą?

Kiwnął głową. Nawet hełm skądś wyciągnął i włożył.

- Człowiek honoru nie pozwala na krzywdzenie przyjaciół.

- A skąd masz pułkowy sztandar? Wzruszył ramionami.

- Tym szarym bardzo zależało, żeby go zabrać, więc im nie pozwoliłem - wyjaśnił skromnie.

Zarechotaliśmy jeden przez drugiego. Sal dołączył po krótkiej zwłóce.

- Znakomity ruch, przyjacielu. Major Osborne bardzo by się zmartwił - skwitowałem i była to całkowita prawda.

- Mało powiedziane - dorzucił Mick.

- Uderzająca pewność siebie, strzelcy - dodał głos zza moich pleców.

Dziwna sprawa, ale major Osborne jakoś zawsze powodował, że niezachęceni, sami z siebie, stawaliśmy na baczność. Zupełnie jak duży głodny krokodyl skłania do szybszego przebierania nogami.

Wyprężyliśmy się.

- Najstarszy stopniem strzelec Mc Andrews melduje żołnierzy drugiego plutonu pierwszej kompanii - odezwał się Myszak gromko.

Osborne wszedł między nas i przystanął. Nie miał czapki i wyglądał nie lepiej od nas, zakurzony i poturbowany. W dłoni ścisnął webleya, w większej części poplamionego krwią.

- Spoczniej - zadysponował. Odprężyliśmy się - w myślach.

- Wyszło wam prawie dobrze, strzelcy. Nie wystarczy jednak mieć miotacz płomieni, dobrze jeszcze wiedzieć, jak go porządnie używać, jak strzelać czy walczyć wręcz.

Milczeliśmy, a on przyglądał się nam po kolei. Złamał webleya, żeby go załadować, bo komory miał puste. Z ładownicy wyjął ostatnie trzy kule.

- Wystarczyło kilku Hunów, żeby z zadbanych żołnierzy zrobić poobdzierane chochoły zawinięte w szmaty. Jestem zdegustowany waszym wyglądem i zachowaniem. Macie jak najszybciej doprowadzić się do porządku.

- Tajest! - wyszło z naszych gardeł jak jeden okrzyk.

- I posprzątajcie tu, zanim zluzuje nas inny batalion. Nie chcę, żeby po korpusie krążyły opowieści, jakimi obdartusami dowodzę.

Spojrzał na Sala, który nadal kurczowo ścisnął sztandar naszego pułku.

- Chłopcze, odłóż to. Wyczyść delikatnie, wytrzep, znajdź zapasowe drzewce i zanieś na miejsce. Jasne?

- Oczywiście. Jasne - odpowiedział Sal prawie natychmiast.

Osborne mrugnął, raz.

- Mówi się jasne, panie majorze.

- Jasne, panie majorze. Jeszcze raz nam się przyjrzał.

- Na was wołają Przygięty Mick? - zapytał Micka.

- Tak jest, panie majorze.

- Bracia McAndrewsowie? Snowy Wie Dokąd? Jerry Lou Marvin? Bill Puttnam? I wy, jak was tam wołają, Red Farrell?

- Tak jest, panie majorze. Pokręcił głową.

- A gdzie Dan Lloyd?

- Poległ, panie majorze - odpowiedział Myszak po krótkiej chwili milczenia.

Major pokręcił z dezaprobatą głową.

- Zakały pułku. Dobrze, że podpisałem rozkaz o doprowadzeniu i rozstrzelaniu dezerterów, którzy nosili wasze nazwiska.

Poczułem, jak spływa po mnie zimny dreszcz.

- Prawdziwa szkoda, że spalił się dzisiaj razem z resztą papierów w mojej kwaterze. Cóż, wszyscy musimy z tym jakoś żyć.

Zanim zdążyliśmy odetchnąć z ulgą, coś zaczęło spadać z nieba - leciutkie drobinki wirujące bezładnie w powietrzu jak płatki śniegu, ale znacznie od nich mniejsze. Popatrzyliśmy w górę. Spadały razem z pyłem wyniesionym przez wybuchy. Major spojrzał na swój rękaw, po czym strzepnął cieniutki nalot znajomej ciepłej żółci, zmielonej na ledwo dostrzegalny pył.

- Hm, ciekawe. Wygląda jak złoty śnieg.

Mick jęknął, ale cicho. Major to w końcu major, a w dodatku też pochodził ze Speewah.

EPILOG



- I tak się to wszystko... czk!... - Krępy rudzielec podniósł do ust ostatni z dwunastu kufli ustawionych przed nim szpalerem, jednym haustem wciągnął zawartość i dorzucił: - ...właśnie skończyło.

Przez moment w gospodzie Starego Jacka panowała taka cisza, że dało się usłyszeć muchy brzęczące nad kontuarem. Było to zjawisko w tym miejscu tak nieoczekiwane, że w drzwiach pojawił

się zaniepokojony żołnierz. Rondo kapelusza zasłaniało jego twarz, lecz na ramionach miał dwie jaskrawożółte, osobliwie upierzone papugi - Stary Jack był człowiekiem tolerancyjnym i pobłażliwym dla rozlicznych przywar swoich bywalców, lecz stanowczo sprzeciwiał się wszelkim próbom wprowadzania w jego progi gospodarskiego inwentarza i innych zwierzątek. Do tych ostatnich zaliczał zresztą również czarnych, dlatego nikogo nie zdumiewał widok tubylca, który cierpliwie czekał na skraju podestu przed wejściem. Może pewne zaskoczenie stanowił jego mundur, lecz bosa stopy, którymi przebierał w kurzu, wydawały się całkiem na miejscu.

Żołnierz skinął ręką, usiłując wywołać rudzielca na zewnątrz, i zaraz potem przez salę przetoczył się gromki rechot.

- Oj, Red, aż trudno uwierzyć, co ty potrafisz wymyślić, żeby się napić za darmo! - odezwał się w imieniu wszystkich czerstwy staruch w spłowiałej koszuli.

Pod oknem skrzypnęła ława. Dwóch ogromnych mężczyzn w spłowiałych uniformach ANZAC drgnęło niespokojnie, jakby chcieli wstać i przyjść z odsieczą swojemu kumpłowi przy barze, ale powstrzymał ich wysoki, jasnowłosy chłopak, bliźniaczo podobny do tego, który czekał przed progiem. Jak reszta, nosił na ramieniu trójbarwne naszywki weteranów spod Gallipoli.

- A ja tam wierzę, że się na tej wojnie nakradł, ile wlezie! - rzucił pogardliwie rostry mężczyzna, który siedział przy osobnym stole z pozostałymi poganiaczami McElroya. - I nic dziwnego, bo cała jego rodzina to złodzieje i podpalacze. Tylko ten smok i reszta trąci bujda.

- Ty, Red - zakpił ktoś z tyłu, rozpinając pasek od spodni - a moją magiczną aurę widzisz? - I wypiął ku niemu goły tyłek.

Tym razem buda aż się zatrzęsała od śmiechu. Rudzielec zacisnął szczęki i bez słowa zrobił kilka kroków w kierunku żartownisia. Szedł usztywnionym krokiem, a oczy miał lekko zmętniałe od wypitego piwka.

Przy stole McElroyów zapanowało radosne poruszenie. Okazja do dobrej bójki nie trafiała się ostatnio zbyt często.

Ze stołka w najciemniejszym kącie podniósł się chudy, mizerny człeczyzna w sfatygowanym, bezkształtnym ubraniu. Na jego bladej, wąskiej twarzy mocno odcinały się czerwone cętki, ale nie robiło to na nikim wrażenia. Niejeden chłopak z tych stron przeżył w okopach bliskie spotkanie z gazem musztardowym.

- Macie tu pożary buszu? - zapytał chudy. Bywalcy obrócili się ku niemu z zaskoczeniem. Nie było przyjęte, żeby obcy tak bezczelnie wcinali się do cudzej rozmowy.

- Nie - odpowiedział ktoś z wahaniem.

Reszta najwyraźniej nie umiała się zdecydować, czy od razu zdzielić go w łeb, czy może próbować grzecznie tłumaczyć, żeby się zabierał w cholerę.

Chuderlak uśmiechnął się zachęcająco.

- A chcecie mieć?